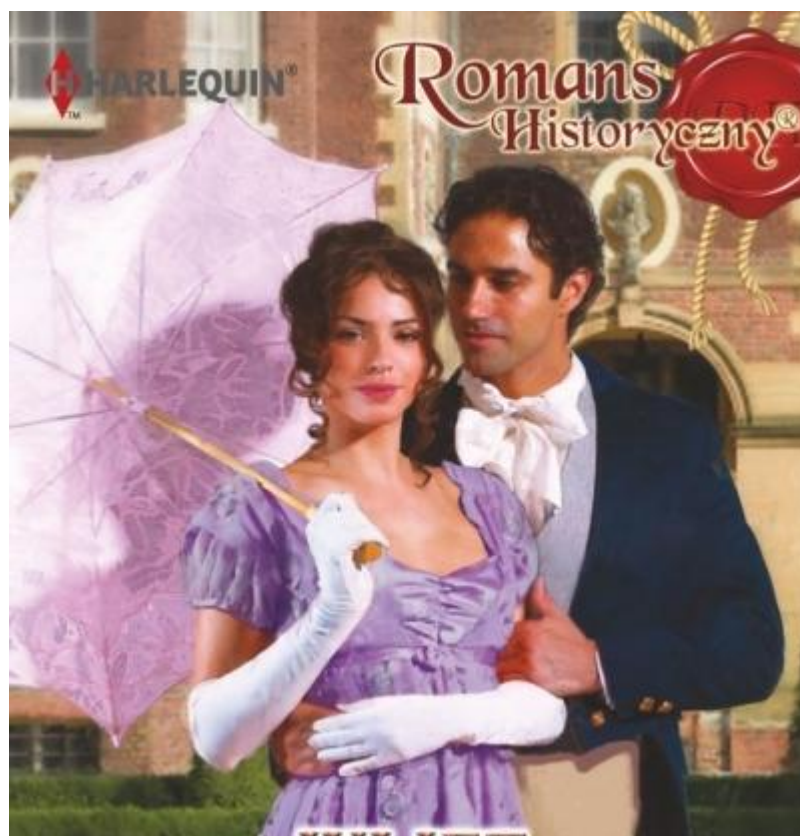




Juliet Landon



Ogród namiętności

Część pierwsza

1676 rok

Rozdział pierwszy

- Wreszcie zobaczę tę pannicę - zwrócił się książę Lauderdale do żony, podając jej ramię. Ledwie jednak zaczęli schodzić po reprezentacyjnych schodach imponującej rezydencji, jego spojrzenie oczu o ciężkich powiekach padło na bogate złocenia rzeźbionych boazerii i natychmiast odezwało się w nim szkockie skąpstwo. - Mówiłaś, że ile to kosztowało?

- Złocenie nie jest tanie, milordzie. Już jako młoda dziewczyna marzyłam o tym, żeby pomalować te tarcze i hełmy. Gładkie drewno jest mało efektowne. A co do Phoebe, nie myśl sobie, że specjalnie starałam się nie dopuścić do waszego spotkania. Nic z tych rzeczy. Gdybym jej jednak powiedziała, że tu będziesz, określiłaby się na pięcie i pognęła z powrotem do Mortlake niczym łania ścigana przez sforę psów. Moim zdaniem, czas znów się do tego zabrać. W końcu minęły trzy lata.

- Czas się zabrać? Ale do czego lub za kogo? Za Leo? Czyżby moja księżna ponownie zaczynała się bawić w swatkę? Jeżeli tak, to chyba tracisz czas, najmilsza. Przecież oni nie mogą na siebie patrzeć.

- Oboje nadal są stanu wolnego, Johnie. To chyba mówi samo za siebie.

Gdy dotarli do zakrętu schodów, niewidocznego zarówno z dołu, jak i z góry, John Maitland, książę Lauderdale, otoczył ramieniem ciasno zesznurowaną talię żony i przyciągnął ją do siebie z wigorem, jakiego nie powstydziliby się mężczyzna dwa razy młodszy. W rzeczywistości liczył sobie lat pięćdziesiąt dziewięć i był starszy od żony o dekadę. Dla obojga było to drugie małżeństwo, w którym każde znalazło znacznie więcej miłości niż w pierwszym związku, mimo że księżna jako żona sir Lionela Tollemache'a aż jedenaście razy była w stanie błogosławionym.

- Elizabeth, daj mi buziaka, kobieto, i przestań knuć choć przez chwilę - powiedział z silnym szkockim akcentem książę. - Leo nigdy nie mógł się uskarżać na brak kobiet. Dobrze wiesz o tym.

- Nie martwię się o twojego Leo, kochany - zaczęła mówić, ale jej odpowiedź stłumił ognisty pocałunek o smaku owsianki, wędzonego boczku i wszystkiego, co je się na śniadanie.

Wcale jej to zresztą nie przeszkadzało. Tym, czego najbardziej nie lubiła, były przymusowe nieobecności Johna, gdyż funkcja sekretarza stanu obligowała go do wielotygodniowych wyjazdów, po których pragnął wynagrodzić sobie z nawiązką brak jej uścisków. Tolerowała więc bez odrazy jego zdrowe apetyty, podobnie jak on jej, włącznie z jej głodem uznania.

- To już cztery lata, a ja wciąż pragnę cię jak żółtodziób, dziewczyno.

Elizabeth uśmiechnęła się, całując rozgrzany policzek męża.

- Tego bym nie powiedziała, mój panie. Minionej nocy nie zachowywałeś się wcale jak żółtodziób. Będiesz pod ręką, kiedy przyjedzie panna Laker?

- Tak, o ile sobie tego życzysz. A może Leo powinien spotkać się z nią sam na sam?

Księżna odsunęła się lekko i troskliwym gestem zdjęła mu z rękawa jasnorudy włos, niemogący żadną miarą pochodzić z jego peruki.

- Nie irytuj mnie; jesteś okropny. Przecież to jasne, że nie możemy na to pozwolić. Powitamy ją we dwoje, a Leo pojawi się później. A tak na marginesie, ona musi wiedzieć, że skoro ty tu jesteś, to on też będzie.

Sir Leo Hawkynne, osobisty asystent i sekretarz księcia Lauderdale'a, był Szkotem w każdym calu, podobnie jak jego pan. O trzydzieści lat młodszy, wykazywał się znacznie większą elastycznością. Doceniał także znaczenie kurtuazji - tego balsamu, który pomagał trybom dyplomacji obracać się gładko i który potrafił łagodzić wszelkie zadrażnienia. Był jednak taki czas, kiedy typowo szkocką skłonnością do mówienia prawdy narobił sobie wrogów. Stało się to dla niego źródłem problemów znacznie poważniejszych niż notoryczny brak taktu księcia Lauderdale'a.

Jeden z takich przypadków miał miejsce przed trzema laty, kiedy to panna Phoebe Laker poczuła się głęboko dotknięta rzuconą bezmyślnie uwagą na jej temat, o której doniosły jej złośliwe plotkarki. Nawet przed tym przykrym incydem mało było między nimi sympatii, a później, rzecz jasna, jeszcze mniej. Reperkusje okazały się jednak poważne, gdyż Phoebe odwiedzała od tamtej pory księżną Elizabeth w Ham House jedynie wówczas, gdy miała pewność, że nie bawi tam księżę ze swoim sekretarzem.

- Jak sobie życzysz. Mam dla niego trochę papierkowej roboty w bibliotece.

Księżę ujął żonę za łokieć i poprowadził ją na dół, do wykładanego marmurem holu, pośrodku którego królował ogromny stół bilardowy. Mimo iż był czerwiec, w palenisku buzował ogień. Na półce nad kominkiem stały dwie duże gipsowe figury w antycznych hełmach i kusych, fałdzistych szatach. Mars i Minerwa, jak wyjaśniła Elizabeth mężowi, gdy na początku ich małżeństwa niezbyt taktownie wyraził swoje zdumienie. Modelami mieli być jej rodzice - hrabiostwo Dysartowie, po których odziedziczyła tytuł, gdyż szkockie tytuły mogły być dziedziczone również w linii żeńskiej. Natomiast od czterech lat, czyli od jej ślubu z księciem Lauderdale'em, zwracano się do niej per księżno.

- Dobrze - powiedziała. - Zatrzymaj go dopóty, dopóki nie dam wam znać. Phoebe nie widziała jeszcze moich najnowszych nabytków.

- Podobnie jak ja - zauważył księżę. - Mogę wiedzieć, czyim pomysłem był ten stół bilardowy?

Widząc, że mąż podlicza w myślach wydatki, Elizabeth uprzedziła dalsze, nieuniknione pytania.

- Moim, Johnie. To dla ciebie - odparła. - Chyba nie zamierzasz besztać mnie za rozrzutność? Po tych wszystkich przebudowach nasz dom musi wyglądać jak należy. Nie ma co liczyć na to, że członkowie rodziny królewskiej zechcą się tu zatrzymać, jeżeli nie zaoferujemy im wszystkiego, co najlepsze.

- Och, moja dziewczyno! Przecież cię nigdy za coś takiego nie beształam. W pałacu rzeczywiście pilnie potrzebne były dodatkowe pokoje i niewielkie malowanie. Wiem też, że musiałaś uzupełnić srebra przetopione, aby wesprzeć wojnę naszego ostatniego króla. Czy dlatego zaprosiłaś przyjaciółki, żeby im pokazać najnowsze cacka?

Elizabeth przyglądała gęste złotorude loki i marszcząc brwi, spojrzała na lokaja, który pojawił się w drzwiach.

- Nie, bynajmniej. Zaprosiłam Phoebe, bo przyjaźniłam się z jej matką. Poza tym obiecałam jej, że będę mieć oko na Phoebe, tak na wszelki wypadek. Wywiązałam się z obietnicy, prawda? O co chodzi, człowieku? - rzuciła do lokaja, który podczas jej przemowy parokrotnie otworzył i zamknął drzwi. - Nie widzisz... Co takiego? O mój Boże!

Za kwadratowymi szybkami z grubego zielonego szkła pojawił się nagle ciemny kształt powozu zaprzęzonego w dwa konie. Przybył jakby znikąd, mimo że podjazd prowadzący od głównej drogi widać było aż do samej rzeki. Nie czekając na jej polecenia, lokaj otworzył na oścież ciężkie drzwi, w samą porę, by księżna zdążyła przepchnąć przez nie swoje obszerne brokatowe spódnice i zbiec na pierwszy stopień schodów, gdzie się zatrzymała, niezdecydowana. Niestety, choć perfekcyjnie zaplanowała w czasie całego wydarzenia, nie uwzględniła entuzjazmu panny Laker. Skutkiem tego dwoje antagonistów, których miano trzymać jak najdalej od siebie, póki pani domu nie zadecyduje inaczej, stało teraz oko w oko jak dwa nastroszone koguty.

Pojawienie się księżnej wybawiło pannę Laker z niewygodnej sytuacji, kiedy ani z jej ust, ani z ust sir Leo nie padło choć jedno słowo powitania. Sir Leo przybył na miejsce za późno, aby można go było ukryć w bibliotece. Skłonił się, gdy Phoebe wyfrunęła z powozu niby piękny motyl, a powiewna srebrno-błękitna chusta, przewieszona przez ramię, potęgowała jeszcze to złudzenie. Zgrabne kostki znikły pod rąbkiem ciemnoniebieskiej spódnicy. Na nogach miała atłasowe trzewiczki ze srebrną klamrą, w identycznym jak suknia odcieniu. Z rękawów wylewały się pienne koronki, błysnął też skądś szafir, odbiwszy słoneczny promień. Patrząc na nią, sir Leo pomyślał, że jest jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał, i pewnie bardziej uszczypliwa, będąc bogatszą w doświadczenia o trzy lata, które minęły od ich ostatniego spotkania. Bujne czarne loki podrygiwały sprężysto, otaczając idealny owal twarzy masą lśniących pierścionków, gdy podbiegała do przyjaciółki. Mimo że różnica wieku między nimi wynosiła aż dwadzieścia sześć lat, uściskały się jak stęsknione siostry.

- Phoebe, najdroższa... co za radość!

- Droga księżno, wiem, że przyjechałam za wcześnie, lecz nie mogłam się doczekać. Kazałam stangretowi poganiać konie, biedne stworzenia. Proszę mi wybaczyć.

- Wybaczyć tobie, kochanie? Też coś! Siedzimy tu od rana jak na szpilkach. Sir Leo bardzo wyczekiwał twojego przyjazdu.

- Naprawdę? To miło z jego strony. - Phoebe roześmiała się i spojrzała przez ramię na atletycznego mężczyznę, który kierował właśnie powóz z jej pokojówką na tyły pałacu. - Gdybym wiedziała, że...

- Tak, tak, kochanie - ucięła Elizabeth jej protesty. - Od naszego ślubu minęły cztery lata, a ty nadal nie poznałaś mojego męża. - Cichy ślub zaaranżowany zaledwie dwa miesiące po śmierci pierwszej żony księcia dał asumpt do wielu plotek. - A oto i on. Pozwól, że cię przedstawię. Mój panie? - Skinęła na męża, który zszedł po schodach. - To panna Phoebe Laker, moja najmilsza sąsiadka.

- Najwyższy czas, moja panno! - zagrział książe, kłaniając się szarmancko.

Wykonując stosownie niski i wdzięczny dyg, Phoebe zlustrowała go wzrokiem. Wiedziała, że był członkiem rady ministrów króla Karola*, człowiekiem aktywnym, wykształconym i mimo potężnej tuszy energicznym, cieszącym się powszechnym szacunkiem, choć nie uwielbieniem. Szeroką twarz o nalanych rysach wieńczyła długa peruka koloru mysiego, opadająca mu na ramiona. Nie było w nim jednak nic z abnegata, jako że księżna bardzo tego pilnowała.

* Karol II z dynastii Stuartów (1660-1685) (przyp. red.).

Wystarczyło mu jedno spojrzenie spod ciężkich powiek, aby ją otaksować. Musiał też wiedzieć o antypatii, jaką darzyła jego sekretarza, bo gdy się znów wyprostowała, dostrzegła, że mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Wasza wysokość - powiedziała, rezygnując z podstawienia mu policzka do pocałunku, póki nie będzie bardziej pewna jego sympatii.

Książe nie miał zwyczaju owijać w bawełnę.

- Co za ładne, zgrabne dziewczę - skonstatował. - Pojmuję, dlaczego moja pani tak długo cię przede mną ukrywała. Witam w Ham House, panno Laker. Sir Leo, zechciej podejść i złóż uszanowanie.

Na takie dictum sekretarz zbliżył się z melancholijnym uśmiechem.

- Poznaliśmy się z panną Laker kilka lat temu, milordzie. Sługa uniżony.

Zdjął kapelusz i skłonił się przesadnie nisko, zamiatając ziemię pękiem strusich piór. Czy był w tej ostentacji rys cynizmu, trudno dociec. Wyprostował się o sekundę później niż Phoebe po wykonaniu zdawkowego dygnięcia, spoglądając jej wymownie w oczy, jakby chciał jej przypomnieć to, co zaszło między nimi i stało się później przyczyną jej obrazy. Nie było w tym ani trochę jej winy, tylko jego, i najwyraźniej nadal mu nie wybaczyła.

Phoebe nie mogła, będąc gościem, okazywać humorów w obecności księstwa. Mogła natomiast, obrzuciwszy Leo zdawkowym, niezbyt przychylnym spojrzeniem, odświeżyć wspomnienie tego zabójczo przystojnego mężczyzny. Nadal wzbraniał się przed noszeniem peruki, a ciemne falujące włosy, których linia tworzyła charakterystyczny załek na czole, zaczesywał do tyłu i wiązał je na karku ciemną kokardą. Pęki czerwonych wstążek powiewały mu na ramionach i przy cholewach butów. Miał długą grafitową kamizelkę i żakiet ze złotymi szamerunkami przy kieszeniach oraz rękawach sięgających łokcia, spod których wystawały białe bufki lnianej koszuli z koronkowymi mankietami. Pierś przecinał mu skórzany pas, a zamiast zwykłych pończoch i trzewików z kłami nosił wysokie rajtarskie buty o czerwonych obcasach. Phoebe zdołała dostrzec wysuwającą się spod krótkich pludrów koronkową górę jego pończoch. Dobrze opłacana pozycja pozwalała mu nadać za modą, był jednak zdolny kreować własny styl, godny naśladowania. Ostrogi przy butach sugerowały, że zamierzał jeździć konno.

- Jeżeli wybiera się pan na przejażdżkę, sir Leo, nie chciałabym pana zatrzymać - powiedziała Phoebe, siląc się na uprzejmość.

- Nie odsyłaj go tak szybko, moja panno. - Księżę próbował załagodzić sytuację. - Poczekaj przynajmniej, aż...

- Tak, mój drogi - włączyła się księżna - ale najpierw panna Laker będzie chciała odświeżyć się po podróży. - Ujęła Phoebe pod rękę. - Chodź, moja kochana. Czyżbyś

tym razem nie przywiozła ze sobą pani Overshott? A może weszła już tylnym wejściem, razem z twoimi bagażami?

- Nie, pani Overshott była trochę niedysponowana, więc jej powiedziałam, że tym razem księżna weźmie mnie pod swoje skrzydła. Prosiła, aby przekazać od niej ukłony wraz z przeprosinami. Bardzo żałuje, bo chciała obejrzeć najświeższe przeróbki. Zmienili państwo także styl ogrodów, prawda?

Gdy spojrzała w stronę trawników i klombów, całkiem przypadkowo jej wzrok napotkał spojrzenie sir Leo. Niezrażony jej postawą, przyglądał jej się tak otwarcie, że zmieszana odwróciła oczy. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, zdawało się mówić spojrzenie. A jeżeli ci się nie podoba, że tu jestem, to będziesz musiała się przyzwycząić.

- Istotnie, zmieniliśmy wiele w ogrodach - odparła księżna, otrzepując spódnice. - Nawet ksiązę nie widział jeszcze tych zmian. On i sir Leo przybyli zaledwie wczoraj wieczorem.

- Ach, rozumiem. A kiedy...?

Za jej plecami sir Leo parsknął śmiechem.

- Panno Laker, nigdzie się nie wybieramy. Przynajmniej przez jakiś czas. Czyżby miała pani nadzieję, że będzie inaczej?

- Oczywiście, że nie, Leo - odparła księżna. - Czemu jesteś nieznośny? Który z szarmanckich dżentelmenów otworzy nam drzwi? Co się dziś dzieje z tą służbą, na Boga? Dziękuję.

Po wejściu do holu nagła zmiana temperatury sprawiła, że ramiona Phoebe pokryła gęsia skórka. Tak niecierpliwie przez nią wyczekiwana wizyta zaczęła jej nagle ciążyć. Pomyślała, że znowu będzie musiała zmobilizować siły, aby przekonać wszystkich wokół siebie, iż jest w wyśmienitym humorze.

Elizabeth, księżna Lauderdale, traktowała przyjaciół bardzo poważnie. Ona i matka Phoebe zapalały do siebie wielką sympatią przed dwudziestu laty, kiedy Phoebe i jej starszy brat Timothy byli jeszcze dziećmi. Mistrz Adolphus Laker był wówczas świetnie prosperującym złotnikiem, na tyle zamożnym, by nawiązać koneksje z przedstawicielami wyższych sfer i zdobyć klientelę w kręgach dworskich. Elizabeth i jej pierwszy mąż kupowali złoto i srebro w sklepie Lakera na londyńskiej Królewskiej Giełdzie.

Kres tej przyjaźni położyła straszliwa epidemia dżumy, która nawiedziła Londyn w 1665 roku i pochłonęła wiele ofiar, między innymi Lakerów. Śmierć obojga rodziców była ogromnym wstrząsem dla Phoebe i jej brata. Timothy, wówczas zaledwie osiemnastoletni, nieomal z dnia na dzień stał się głową rodziny i wykazał się ogromną dojrzałością. Przejął interesy po ojcu i rozwinął je, mimo że liczba mieszkańców Londynu poważnie się zmniejszyła na skutek zarazy. Kupił nowy dom dla siebie i siostry w Mortlake, żywiąc nadzieję, że w tym sielskim, zdrowym otoczeniu będą mogli odzyskać równowagę po przeżytej tragedii. Oboje uważali, że los i tak wyjątkowo im sprzyjał w owych ciężkich czasach, ponieważ mogli zamieszkać razem, wraz z daleką krewną, panią Overshott, która pielęgnowała ich rodziców w śmiertelnej chorobie.

Niestety, już we wrześniu następnego roku dotknęło ich kolejne nieszczęście. W wielkim pożarze Londynu spłonęła większa część śródmieścia, w tym również Królewska Giełda, w której znajdowały się pracownia i sklep Lakerów. Timothy zdołał uratować cały cenny towar i przetransportować go do Mortlake i postanowił wrócić do Londynu po najważniejsze dokumenty: książki zamówień, pokwitowania, rejestr akcjonariuszy, katalogi wzorów biżuterii, narzędzia złotnicze oraz korespondencję.

Niestety, sklep opuścił za późno, gdyż budynek już w momencie jego przyjazdu płonął i był zagrożony. On i jego agent zostali uwięzieni w środku i gdy gmach Królewskiej Giełdy zawalił się, zginęli pod jego gruzami. Tak więc los okazał się wyjątkowo okrutny dla Phoebe; nie odnalazła szczątków brata. Została sama jak palec, pozbawiona rodziny. Zdrowa, zamożna i zabezpieczona, ale bez choćby jednej mogiły, nad którą mogłaby opłakiwać utraconych bliskich.

Zgodnie z przyjętym obyczajem, młode panny w jej położeniu przeprowadzały się do najbliższych krewnych, lecz ona nawet nie chciała słyszeć o przenosinach do Manchesteru, do owdowiałej ciotki, której nie widziała ani razu przez całe trzynastoletnie życie. Została więc pod opieką pani Overshott, dalekiej krewnej, osoby bardzo jej oddanej i szlachetnej. Chociaż dom w Mortlake był dla nich obu za duży, Phoebe trzymała się go kurczowo, gdyż było to miejsce, w którym wciąż unosił się duch jej ukochanego brata. Poza tym okoliczni mieszkańcy wspierali ją na wszelkie możliwe sposoby, próbując choć trochę ukoić jej ból.

Jak się można było spodziewać, owe tragiczne wydarzenia odcisnęły na dziewczynie trwałe piętno. Miała wyrzuty sumienia, że to ona przeżyła jako jedyna z całej rodziny. Dlaczego? Czemu przypadły jej w spadku bogactwa będące owocem ciężkiej pracy rodziców i brata? Co miał na myśli Tim, gdy wyjeżdżając do płonącego Londynu, wyjaśnił, że musi tam wrócić po coś, co należy tylko do niej? Czy to znaczy, że przez nią zginął? Nikt, niestety, nie potrafił udzielić odpowiedzi na te pytania i rozgonić chmur, w których cieniu upływała jej młodość.

Phoebe wyrosła na uznaną piękność. Przez okres dojrzewania przeszła jednak zbyt szybko, biorąc z życia, co tylko się da, z obawy, by znów los nie odebrał jej wszystkiego.

Jedyną osobą, z którą Phoebe potrafiła rozmawiać na swój temat, była Elizabeth, hrabianka Dysart, obecnie księżna Lauderdale, również ciężko doświadczona przez los. Dorastała w burzliwych czasach Olivera Cromwella. Ojciec jej, zmuszony przez wrogów do ucieczki, zostawił w Ham House żonę oraz cztery córki, w tym trzy ułomne. Elizabeth, jedyna zdrowa, poślubiła później sir Lionela Tollemache'a i urodziła mu jedenaścioro dzieci, z których przeżyło tylko pięcioro. Pochłonięta licznymi obowiązkami, znajdowała czas dla Phoebe, ilekroć ona tego potrzebowała.

Elizabeth żałowała, że takie okazje nie zdarzały się częściej, zwłaszcza gdy dotarły do niej wieści, że wokół urodziwej panny kręci się wielu typowych łowców posagu. Reputacja Phoebe jako nieposkromionej piękności dotarła nawet na królewski dwór. Żadne towarzyskie wydarzenie nie mogło się bez niej odbyć. Mówiono, że panna Phoebe Laker, niepomna przestróg, czerpie z życia pełnymi garściami. Nawet Elizabeth nie była w stanie jej przekonać, że przyjemności mają swoją cenę i za niektóre trzeba słono płacić. Jeżeli skończyło się tylko na opinii „nieposkromionej”, to jedynie dzięki pani Overshott, która metodą łagodnej perswazji potrafiła do pewnego stopnia utrzymać Phoebe w ryzach.

Idąc przez świeżo przebudowane, południowe skrzydło pałacu, Phoebe była pod wrażeniem jego ogromu, bogactwa wystroju oraz szerokiej palety tak ulubionych przez Elizabeth żywych kolorów.

- Przejdziemy przez nową jadalnię - powiedziała z dumą księżna. - Powiększyliśmy ją kosztem holu. Myślę, że ci się spodoba.

- Lepiej się zachwyć, dziewczyno - rzekł książe, idąc za nimi wraz z sir Leo. - Bo jak nie, to dostaniesz na obiad tylko chleb i wodę.

- Nonsens! - skarciła go z kokieteryjnym uśmiechem żona. - Jak mogłaby jej się nie podobać? Przed przebudową była dwa razy mniejsza, a nie można podejmować rodziny królewskiej w pomieszczeniu tych rozmiarów, prawda? Wielki hol nie jest nam potrzebny - podkreśliła.

Zdaniem Phoebe, zamiast wyklądać jadalnię kosztownym marmurem, można było ułożyć drewniane posadzki. Epatowanie bogactwem musiało być reakcją księżnej na jej dzieciństwo, które przypadło na wojnę domową, gdy nie można było nawet myśleć o wydatkach na coś innego niż zaspokojenie podstawowych potrzeb.

Idąc przez ociekające przepychem pokoje, nie sposób było się oprzeć wrażeniu, że księżna starała się odbić sobie tamte chude lata z nawiązką. Phoebe widziała wokół siebie polerowane parkiety, szkarłatne portierey, obszyte frędzlą poduszki, jedwabne sznury ze złotymi chwostami, cherubinki, rogi obfitości, sekretarzyki z laki, kariatydy podtrzymujące rzeźbione stoły, pozłacane lustra, dziesiątki obrazów i portretów, plafony z kwiatowym ornamentem, złożone klamki i zasuwki, aksamitne fotele, sofy i krzesła obszyte złotym galonem, który księżna chyba musiała kupować nie na jardy, ale mile.

Gdy księstwo zajęli się oględzinami sekretarzyka, Phoebe usłyszała za plecami szept:

- Musi pani powiedzieć, że jej się to wszystko podoba, bo potem będzie jeszcze gorzej, to znaczy... lepiej.

Odwróciła się błyskawicznie do sir Leo, który wypowiedział na głos jej myśli, tłumiąc uśmiech, tak by przypadkiem nie sięgnął jej oczu.

- Niech pan nie traci bezcennego czasu na mówienie do mnie - odparła cicho, lecz ostrym tonem. - Gdybym wiedziała, że pan tu będzie, zostałabym w domu, aby pielęgnować moją opiekunkę.

Widząc, że księstwo ruszają dalej, chciała do nich dołączyć, ale sir Leo zastąpił jej drogę.

- Co to ma znaczyć? - wyszeptał bez uśmiechu. - Po trzech latach przyszedł czas, by sobie wyjaśnić pewne sprawy, nie uważa pani?

Oczy Phoebe pociemniały z wściekłości.

- Nie chcę pana widzieć, to wszystko. Pogarda i niechęć z pańskiej strony, a z mojej - czysta nienawiść. Czy można się wyrazić jaśniej?

- Nawet gdyby miała to być prawda - a nie jest - tak dłużej być nie może.

- Sir Leo, nie dbam o pańskie odczucia. Wiem, że nie chcę, aby przypominano mi coś, o czym przez ostatnie trzy lata próbowałam zapomnieć. Pan nie pojedynkował się w obronie mojego honoru, tylko własnego. A jedynym skutkiem owego nieszczęsnego zdarzenia była śmierć dobrego człowieka. Jeżeli pan uważa, że wystarczą trzy lata, aby wymazać z pamięci tę tragedię, to wie pan mniej o kobietach, niż się panu wydaje.

- Mam więc panią przekonać, tak?

Wywinęła mu się i pobiegła do drzwi, zza których dobiegały głosy.

- Niech pan sobie znajdzie jakieś lepsze zajęcie - rzuciła przez ramię. - A mnie proszę zostawić w spokoju.

Co miał robić? Pozwolił jej odejść.

- Tego akurat, panno Phoebe Laker, nie może pani ode mnie żądać - rzekł pod nosem, ruszając w ślad za nią.

Usytuowane na pierwszym piętrze, na wprost schodów, apartamenty Phoebe składały się z pięknej słonecznej sypialni oraz dwóch przylegających do niej mniejszych pokojów. W jednym z nich umieszczono łóżko dla Constance, pokojówki, tak by mogła być w pobliżu swojej pani.

- To jest zupełnie nowe - oznajmiła księżna, wodząc upierścienioną dłonią po intarsjowanym blacie biurka. - Natomiast żółte tapety pochodzą z manufaktury w Mortlake. Cena była bardzo korzystna, ale może je zmienię.

Na szczęście, Phoebe nie musiała odnosić się do tej wypowiedzi, gdyż księżna zobaczyła nagle przez szybę kolejne nadjeżdżające powozy i zostawiła ją samą. Stojąc w oknie, Phoebe widziała, jak figurka w zielonych brokatakach wyłania się z wrót na południowej fasadzie, przechyla się przez kamienną balustradę u szczytu schodów, po czym schodzi na dół, aby powitać gości. Powozy jeszcze się nie zatrzymały, a służący już podbiegali, aby otworzyć drzwiczki. Czego jak czego, ale braku gościnności nie można było zarzucić księżnej Lauderdale.

W pewnej odległości, tam gdzie droga prowadziła wśród drzew, Phoebe dostrzegła samotnego jeźdźca, który na widok mijających go powozów zatrzymał się i odwrócił. Czerwone pióra na jego kapeluszu powiewały na wietrze. Błysnęły białe koronki na tle grafitowego żakietu. Phoebe szybciej zabiło serce; już wiedziała, kto to. Sir Leo uniósł głowę ku jej oknu, a ona, zamiast się cofnąć, stała bez ruchu, wymieniając z nim spojrzenia, dopóki nie zdjął kapelusza, by ukłoniwszy się, odjechać. Po przykrych słowach, które padły między nimi, można by się spodziewać, że opuszczał na dobre Ham House, ale ona wiedziała, że to nie w stylu sir Leo.

Nie po raz pierwszy patrzyła, jak odjeżdża, choć poprzednio czynił to w towarzystwie swojego pana, w jego interesach. Książę był człowiekiem możnym i potężnym, dobierał więc sobie odpowiednich ludzi. Sir Leo zdecydowanie się wśród nich wyróżniał: był zdolny, inteligentny, uczciwy i na tyle wpływowy, że liczono się z jego zdaniem. Mężczyzna z jego pozycją nie mógł sobie pozwolić na inny mariaż, jak tylko z dobrze ułożoną panną z najwyższych sfer, a Phoebe się do takich nie zaliczała. Córka złotnika, znana ze swoich nierozważnych postępów, piękna i zamożna, ale pozbawiona męskiej opieki, stanowiła wdzięczny temat plotek, a także łatwy cel nie zawsze zasłużonej krytyki.

Niestety, była równie nieodporną na wdzięki sir Leo jak wszystkie inne kobiety na królewskim dworze. Jednak w przeciwieństwie do nich, bardzo pilnowała, aby się nie domyślił, jak wielkie zrobił na niej wrażenie i jak bardzo pragnęłaby mieć takiego opiekuna, protektora oraz kochanka. Jego nazwisko łączono z damami bardziej dojrzałymi, o nienagannym rodowodzie, głównie dwórkami królowej, które wiodły równie wędrowny żywot jak on i nie miały nic przeciwko jego częstym wyjazdom do Szkocji. A tymczasem jej - nawet gdyby nie budził w niej gorących uczuć - wielomiesięczne nieobecności utrudniałyby nawiązanie bliższego kontaktu. A poza wszystkim sir Leo nie okazywał najmniejszego zainteresowania ani nią, ani żadną z jej przyjaciółek.

Owszem, czasami zdarzało jej się przyłapać go na tym, że się jej przygląda, najczęściej jednak w sytuacjach wysoce żenujących, gdy głośny wybuch śmiechu lub niemądry wybryk kogoś z jej grupy sprawiał, że miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Siłą rzeczy musiał ją uważać za osobę niepasującą do jego kręgów, a ona nawet

nie próbowała go przekonać, że jest inaczej, gdyż wydawał jej się nazbyt dumny i pewny siebie. Jego dezaprobata przejawiała się w zdawkowych ukłonach, gdy go mijała, w zimnych spojrzeniach oraz milczeniu, ilekroć się spotykali w tańcu. Ich dłonie się stykały, ale choć odpowiadałaby na jego zaproszenie, nigdy nie zatrzymał się na dłużej, aby z nią porozmawiać.

To właśnie w takich momentach najbardziej nienawidziła towarzystwa sir Piersa Kellowaya, zaborczego młodziana o mentalności średniowiecznego rycerza.

Jego upór, żeby być wszędzie tam, gdzie ona, początkowo ją wzruszał, szybko jednak zaczął irytować. Kelloway pisał dla niej poematy miłosne, śpiewał pieśni, chodził za nią jak cień i brał jej stronę we wszystkich dyskursach, jakby sama nie potrafiła sobie poradzić. Właśnie on z dziecinną naiwnością powtórzył jej pewna rzuconą mimochodem uwagę, która dotarła do jego uszu. Później wyzwał na pojedynek jej autora, sir Leo Hawkynne'a, żądając, aby natychmiast cofnął swoje słowa i przeprosił Phoebe.

Głuchy na wszelkie zaklęcia, jej samozwańczy protektor zgodził się pojedynkować na miecze, mimo że wiedział, iż sir Leo uchodzi za jednego z najlepszych szermierzy. Gotów umrzeć w obronie honoru Phoebe, sir Piers nie chciał słuchać głosu rozumu ani Phoebe czy swoich przyjaciół, a także sir Leo, który stwierdził, że nie rozumie, o co ten krzyk. Przecież tylko powtórzył krążącą opinię, którą panna Laker musiała już wcześniej słyszeć. Sir Piers nie dał sobie jednak wyperswadować myśli o pojedynku, domagając się przeprosin, a na to sir Leo nie chciał się zgodzić. Koniec końców, sir Leo stwierdził, że jeśli ten dureń chce zrobić z siebie widowisko, to należy mu na to pozwolić.

Pogłoski o niepokojącym zachowaniu Phoebe były już nieaktualne, gdy dotarły do księżnej. Mimo niewielkiej odległości dzielącej ich domy panie nie widziały się od co najmniej dwóch lat. Księżna, jako żona jednego z najbardziej wpływowych ministrów, przebywała w tym czasie głównie w Londynie, w apartamencie w Whitehall lub w innych posiadłościach męża. Zaangażowała się też w zakrojone na szeroką skalę prace remontowe, miała więc mało okazji, aby wymieniać wiadomości. Gdyby częściej widywały się przy różnych towarzyskich okazjach, księżna pewnie zauważyłaby, że maniere Phoebe zmieniły się diametralnie od czasów skandalu, który wstrząsnął londyńską śmietanką. Dziewczyna przestała się otaczać rzeszami pochlebców, zyskując reputację niedo-

stępnej, a nawet pustelnicy. Skandal z udziałem sir Leo Hawkynne'a oraz sir Piersa Kellowaya ogromnie ją poruszył. Pozbawiona rodziców, którzy mogliby jej służyć radą, w sytuacji, gdy księżna była często nieuchwytna, Phoebe zareagowała w jedyny znany jej sposób, czyli przechodząc z jednej skrajności w drugą.

Dopiero po południu, gdy goście zaczęli się schodzić na obiad, księżna miała okazję ujrzeć odmienioną Phoebe. Przed jej przyjazdem uprzedziła męża, że może się spodziewać żartobliwego przekomarzania połączonego z pewną dozą kokieterii. Rubasznym powitaniem księżę dał Phoebe szansę na zalotną odpowiedź, jednak się jej nie doczekał.

- Czy ona źle się czuje? - zapytał żonę tubalnym szeptem. - Myślałem, że przynajmniej zatrzepocze długimi rzęsami.

- Och, dojdzie do siebie - odparła księżna. - Posadziłam ją pomiędzy sir Geoffreym i lordem Salisportem. Zna ich obu, więc szybko się rozkręci.

Myliła się, gdyż Phoebe nie rozkręciła się tak, jak by się można spodziewać, a księżna nie potrafiła powiedzieć, czy była tym zawiedziona, czy jej raczej ulżyło.

Sir Leo słyszał pogłoski o intrygującej zmianie Phoebe i był ciekaw, czy jej awersja obejmowała cały rodzaj męski, czy tylko jego osobę. Posadzony przy stole naprzeciw niej, zauważył, że rzadko się uśmiechała, mówiła poważnie, nie reagując na próby flirtu, i nie próbowała nastawiać siedzących obok niej mężczyzn przeciwko sobie, jak to zwykła dawniej czynić. Nie trzepotała też rzęsami, zatem jego informacje musiały być prawdziwe. Nasunęła mu się refleksja, że wcześniej każdy mógł się o nią starać, a teraz wyglądało na to, że nikt.

Tymczasem prawda była taka, że wcale nie każdy mógł się do niej zalecać, gdyż jedyny mężczyzna, któremu skłonna była oddać serce, gdyby tylko ją o to poprosił, zranił ją swoimi uwagami bardziej niż wszyscy jej przyjaciele razem wzięci. To właśnie on siedział teraz naprzeciw niej; ten, który nie zawahał się wypowiedzieć swojej opinii w pokoju pełnym pochlebców; ten którego chętnie przebiłaby mieczem, gdyby miała bodaj cień okazji. A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że aż do tego dnia wymieniła z nim zaledwie parę słów.

Bez deprymującej obecności sir Leo Phoebe bawiłaby się znacznie lepiej tego popołudnia i wieczoru, gdyż znając większość towarzystwa, nie miała żadnych kłopotów z

poznaniem reszty. Pojawiły się także dwie córki księżnej, Elizabeth i Katherine Tollemache'ówny, które w wieku lat piętnastu i siedemnastu były już na tyle dorosłe, aby móc się bawić z gośćmi, a zarazem nie dość dojrzałe, żeby ukrywać zauroczenie sir Leo. Ich rozmodlone oczy śledziły jego każdy gest i krok.

Po obiedzie towarzystwo udało się na przechadzkę po zalanych słońcem ogrodach, aby podziwiać rozarium, oranżerię i ptaszarnię, fontanny oraz posągi otaczające rezydencję. Jedna z alei prowadziła nad rzekę, gdzie ksiązę trzymał swoją barkę, gotową zabrać go do Londynu. Do kamiennych stopni nabrzeża podpływały łabędzie, czekając na resztki jedzenia. Potem wszyscy poszli przez łąkę, parami i trójkami, ku widokowym platformom na obu końcach alei Melancholii. Za nimi znajdował się bankietowy pawilon, w którym miano podać desery.

Lord Salisport, młody galant, znał Phoebe od kilku lat. Nie należał on jednak do istot zbyt spostrzegawczych. Oko miał wyczulone jedynie na modę, nie przeoczył więc niczego, co mogłoby podkreślić jego wykwintny gust. Tego dnia w stroju przybranym pękami barwnych wstążek przywodził Phoebe na myśl drzewo obsypane wiosennym kwieciem. Biorąc jej rezerwę za pozę, gdy nie reagowała na jego zalotne zaczepki, mrugnął znacząco do swojego przyjaciela, sir Geoffreya Mawesa, podobnego strojnisia, zawsze chętnego do zabawy cudzym kosztem. Mawes także już zauważył, iż panna Laker nie była tak skora do flirtu jak przed kilku laty.

Niczego nieświadoma Phoebe czuła się na tyle swobodnie w ich towarzystwie, że bez zastanowienia przyjęła propozycję, by wspiąć się na nową platformę widokową i popatrzeć na Tamizę. Tymczasem ledwie znalazła się z nimi sama na wąskich schodach, zaczęli z impertynencką miną obejmować ją w talii. Oburzona, chciała zawrócić, ale zablokowali jej drogę.

- Daj spokój, Phoebe - wyszeptał idący przodem lord Salisport, dotykając jej ciemnych kędziorów. - Dawniej nie byłaś taka sztywna. To całkiem do ciebie niepodobne. Czy to dlatego, że jest tu Hawkynne?

Zaszokowana, zaczęła odpychać okrytą koronkowym żabotem pierś Salisporta, starając się uchylić przed jego rozpaloną twarzą, na której malowała się pożądlivość. Uniemożliwiały jej to jednak twarde fiszbiny gorsetu, a także stojący za nią sir Geoffrey.

Wzięta w dwa ognie, bezskutecznie próbowała się wywinąć, dżgając prześladowców łokciami.

- Przestańcie! - zaczęła krzyczeć. - Zostawcie mnie w spokoju! Nie po to tu przyszłam.

Na małej platformie widokowej zrobiło się nagle tłoczno, gdyż w drzwiach pojawiła się trzecia postać, zasłaniając dopływ światła. Narastające poczucie zagrożenia sprawiło, że Phoebe wpadła w histerię i zaczęła się miotać, drapiąc i kopiąc jak oszalała. W trwającym przez kilka sekund pandemonium przekrzywiła jednemu z napastników perukę.

- Księżę i księżna zaraz tu będą, moi panowie.

Wypowiedziane głębokim głosem z lekkim szkockim akcentem zdanie zabrzmiało bardziej jak reprimenda niż zaproszenie do wyjścia. Obaj niefortunni zalotnicy skierowali całą uwagę na siebie. Poprawili peruki i koronkowe żaboty i, otrzepawszy surduty, ulotnili się bez słowa. Słysząc było ich szybkie kroki na drewnianych schodach.

Phoebe próbowała się opanować, ale jej twarz wciąż wykrzywił spazmatyczny grymas, a ciężki oddech świadczył o wielkim wzburzeniu. Gdy do niej dotarło, że sir Leo patrzy na nią, poczerwieniała ze wstydu. Dlaczego akurat on musiał ją przyłapać w takiej sytuacji? I co on o niej pomyśli?

Sir Leo spojrzał za odchodzącymi, a potem znów na nią, lecz się nie zbliżył.

- Zrobili pani krzywdę? - zapytał cicho.

Przytknęła rękę do czoła - było zroszone potem.

- Nie - wyszeptała.

- Księżnej jeszcze tu nie ma, więc nie musi się pani spieszyć.

Grzbietem dłoni otarła twarz i pociągnęła nosem.

- Och, mój mankiet - wyszeptała. - Koronka się rozdarła. Ojej!

- Proszę pokazać. Może pani podnieść rękę i stać spokojnie?

Podniosła posłusznie rękę, a on spiał spinką brzezi koronki. Czowała, że jest nadal czerwona ze wstydu i złości.

- Pewnie uważa pan, że się sama o to prosiłam? - wypaliła, przerywając ciszę. - Wcale tak nie było. Przyszłam tu, żeby obejrzeć... popatrzeć... Czemu miałabym się przejmować tym, co pan o mnie sądzi? Przecież myśli pan o mnie jak najgorzej, prawda?

- Nie byłaby pani roztrzęsiona, gdyby sama się o to prosiła. Nie mam racji? Nie jestem ślepy, zdaję sobie sprawę z tego, co się stało. Poszedłem za wami.

- Dlaczego?

- Bo ci dwaj to para półgłówków. Widziałem, jak rozpaczliwie próbowali z panią flirtować w trakcie obiadu, a poza tym oni nie zwykli zapraszać kobiet w celu wspólnego podziwiania widoków.

- A ja powinnam była o tym wiedzieć, tak? - rzuciła ostro.

- Ćśś. Proszę się uspokoić. Chce pani poprawić kołnierz, zanim zejdziemy na dół? Ja zrobię to lepiej.

Phoebe spojrzała w dół, lecz bez lustra nie była w stanie sprawdzić, czy koronkowy kołnierz leży prosto na jej ramionach.

- Czy tak jest dobrze? - zapytała.

Sir Leo uśmiechnął się i, nie pytając o pozwolenie, przesunął odrobinę jeden koniec, a potem, zupełnie jakby robił to setki razy, zawiązał na ramieniu wstążkę łączącą rękaw ze stanikiem.

- Nie wiem, jak zdołała się pani wywinąć, będąc tak ściśnięta. To cud, że szwy nie puściły. Gotowa?

Skinęła głową.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Poszedł przodem, pomógł Phoebe zejść po schodkach, a potem szedł obok niej wolnym krokiem, wzdłuż rzeki. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Pewnie mu nawet przez myśl nie przeszło, że Phoebe wciąż czuła dotyk jego ciepłych palców na ramieniu, tam gdzie poprawiał kołnierz.

Rozdział drugi

W trakcie ich powolnego spaceru Phoebe miała okazję zauważyć, że oboje są ubrani na zielono, w kolor nadziei. Całkiem nieadekwatnie, pomyślała z westchnieniem. Strój sir Leo był ciemnozielony, we wzory z liści akantu. Przybrany pękami atlasowych wstążek i złotymi guzami, musiał kosztować majątek. Zauważyła też, że nie miał długiej kamizelki, tylko krótką, odsłaniającą sporą część białej koszuli. Wzrok jej padł na wyłaniającą się z koronkowego mankietu dłoń, wsuniętą za złoto-zieloną szarfę, z której zwisał miecz. Żaden szanujący się mężczyzna nie czułby się kompletnie ubrany bez broni.

Phoebe słyszała o wprawie, z jaką posługiwał się rapierem, na długo przed tym, zanim go poznała. Tacy mężczyźni stanowili osobną rasę, a ich pewność siebie graniczyła z arogancją, tym większą w przypadku Szkota, który musiał wyssać arogancję z mlekiem matki. Wkrótce po jego niesławnym pojedynku z sir Piersem Kellowayem Phoebe zaczęła brać lekcje fechtunku u najlepszego szermierza w Anglii, pochodzącego z Włoch signora Luigiego Verdiego. Nie liczyła na to, że przyjdzie jej użyć nowych umiejętności w walce, lecz nigdy nie wiadomo. Poza tym nie ona jedna spośród kobiet polubiła fechtunek jako sztukę dla sztuki. Zgodnie z ostatnią modą, młode kobiety mogły okazjonalnie zakładać męski strój, przybierała więc z radością postać mężczyzny na godzinę czy dwie każdego ranka, mając za świadka jedynie nauczyciela. Śmiali się często we dwoje, mówiąc, że teraz będzie w stanie pojedynkować się o siebie, zamiast narażać cudze życie. Zwłaszcza że zbyt wielu mężczyzn straciło je bez ważniejszej przyczyny.

Jej suknia miała odcień morskiej zieleni wpadającej w turkus, a dekolt, bufiaste rękawy i obcisły stanik obszyte były złoty-różowym galonem podkreślającym brzoskwińową cerę i lśniące czarne loki Phoebe. Jedwab szeleścił zmysłowo przy każdym jej ruchu. Gdy się zatrzymała, by unieść skraj spódnicy, sir Leo przystanął, żeby na nią poczekać, lecz nie podsunął jej ramienia, aby mogła się na nim wesprzeć.

Trzymał się w pobliżu Phoebe przez resztę popołudnia, ona zaś, co wszyscy zauważyli, nie miała nic przeciwko temu.

- Widzisz to, moja droga? - zwrócił się książę Lauderdale do żony. - Przyssał się do niej niczym pijawka, lecz ona nie robi rabanu z tego powodu.

- Tak, Johnie, widzę. Zastanawiam się, czy nie jest przypadkiem zły, że posadziłam ją przy stole pomiędzy Salisportem a Mawesem.

- Och, wydaje mi się, że to jemu bardziej zależy niż jej.

Księżna uśmiechnęła się.

- Nie byłabym tego taka pewna, Johnie.

- Pobożne życzenia - odparł książę, odchodząc. - On musi się zmobilizować, jeżeli chce dopiąć swego z tą twoją panną Laker.

Phoebe była bardzo zadowolona, że niespodziewanie zyskała obrońcę. Zwłaszcza po tym, gdy próbowano ją potraktować jak uliczną dziewczkę. Nagle przyszło jej do głowy, że Mawes i Salisport mogli nie być jedynymi mającymi o niej takie zdanie. Czuli się upokorzona, że to sir Leo zastał ją w żenującej sytuacji, pocieszała się jednak myślą, że gdyby uznał, iż grubiańskie zaloty sprawiały jej przyjemność, to by nie interweniował. Ulżyło jej też, że nie doniósł o tym incydencie księciu, który z pewnością zażądałby natychmiastowego wyjazdu młodzieńców, co popsułoby atmosferę towarzyskiego spotkania.

Wykwintny podwieczorek w pawilonie bankietowym nad rzeką minął im bardzo przyjemnie, wśród jedzenia i picia, słownych gier i śpiewów. Potem wszyscy udali się na specjalnie przygotowaną murawę i grali w kręgle aż do kolacji. Phoebe starała się ośmielać młode córki księżnej, zapraszała je, aby jej partnerowały we wszystkich grach, znała bowiem zbyt dobrze ból miłości spisanej z góry na straty. Wiedziała również, że plany matrymonialne księżnej wobec jej córek nie uwzględniają sekretarza męża.

Po kolacji przy blasku pochodni wszyscy goście oprócz Phoebe odjechali swoimi powozami. Mieszkańcy Ham House udali się na nocny spoczynek. W żółtym pokoju, który jawił jej się niby azyl, Phoebe mogła nareszcie zebrać myśli i przed zaśnięciem zastanowić się, czym wytłumaczyć konieczność wcześniejszego powrotu do domu. Pogorszeniem się stanu pani Overshott?

Brzmiałoby to nawet wiarygodnie, gdyby nie to, że jej opiekunka była tylko zaziębiona, a nikt nie przybył, wzywając Phoebe do Mortlake.

Następnego ranka nastroje Phoebe zmieniały się jak chorągiewka na wietrze. To chciała zostać w Ham House z mężczyzną, którego próbowała znienawidzić przez ostatnie trzy lata, to znów zamierzała pod byle pretekstem wracać pędem do domu. Po raz pierwszy spędziła tyle czasu w towarzystwie sir Leo, a początkowe wrażenie raczej nie przypominało tego najświeższego, kiedy wydał jej się znacznie mniej antypatyczny, za to bardziej swobodny. Koniec końców, ze względu na księżną postanowiła dać sobie jeszcze jeden dzień. Tak sobie powiedziała.

Po śniadaniu wszyscy łącznie z księżną, która zazwyczaj pozostawała w swoich pokojach aż do południa, wybrali się na przejażdżkę wokół posiadłości. Phoebe starała się trzymać z daleka od sir Leo, natomiast Elizabeth i Katherine nie odstępowały go, z czego wydawał się całkiem zadowolony. Phoebe także to odpowiadało, gdyż mogła w spokoju rozmawiać z księstwem, damami do towarzystwa, kapelanem oraz zarządcą majątku. Sir Leo zademonstrował dziewczętom kilka podstawowych sztuczek jeździeckich, zyskując ich jeszcze większe uwielbienie. Phoebe nie dołączyła do tych wesołych lekcji, żeby się ukarać. Zaczęła się zastanawiać, czy narzucona sobie pustka emocjonalna mogła sprawić, że nienawiść tak łatwo znalazła drogę do jej serca. A może rzeczywiście przyszła pora na wyjaśnienie pewnych spraw? Nie, znajdzie powód, aby wrócić wcześniej. Po co jej konfrontacja, która niewątpliwie przywoła tragiczne wspomnienia? Nie życzy sobie, aby sir Leo znów okazywał jej pogardę, zaprzeczając jednocześnie, jakoby jej nie lubił. Trzeba się głęboko zastanowić nad tym, dlaczego się kogoś nie lubi, a sądząc po tym, jak wesoło sir Leo bawił się z Elizabeth i Katherine, nie poświęcał zbyt wiele myśli jej, Phoebe. A skoro tak, będzie musiała wyjechać. Dalsze przebywanie w jego towarzystwie mogłoby się okazać ponad jej siły.

Patrzyła, jak bez wysiłku, wyprostowany, z wrodzoną gracją ujeżdża jabłkowitego ogiera. Gdy jego dłoń pogłaskała lśniąca szyję konia, odwróciła głowę, czując, że zaschło jej w gardle, a serce zachowuje się bardzo podejrzanie. O tak, będzie musiała wrócić do domu. Czas najwyższy.

Obiad podano o drugiej, a choć ruch na świeżym powietrzu pobudził apetyty, wewnętrznie rozdarła Phoebe jądra tyle co ptaszek. Trudno jej też było swobodnie

rozmawiać, mając naprzeciw siebie sir Leo. Rodzinne grono zebrało się w nowej jadalni. Dołączyła do nich siostra księżnej, przemiła starsza dama, która z powodu chronicznych niedomagań rzadko opuszczała swoje pokoje. Phoebe słyszała plotki o niekonwencjonalnych manierach księcia przy stole. Nie przeszkadzały one jego żonie, budziły jednak skrywaną wesołość w towarzystwie, a zwłaszcza u jego pasierbic. Książę zwykł, na przykład, używać kupionych przez żonę widelców do drapania się po głowie i dłubania w zębach, zamiast do jedzenia. Choć jego znajomość etykiety była ograniczona, Phoebe nie miałaby nic przeciwko temu, aby jej ukochany darzył ją taką miłością, jak on swoją księżną. Poza tym był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, jednym z najbardziej błyskotliwych umysłów na dworze królewskim, znał też biegle kilka języków, w tym łacinę i grekę.

Phoebe była zbyt dobrze wychowana, by całkowicie wykluczyć sir Leo z konwersacji, w głębi duszy złościła się jednak na siebie za swoją hipokryzję oraz brak zdecydowania.

Po obiedzie udała się do swojego pokoju, wkrótce jednak zamieniła tę kryjówkę na inną, w ogrodzie, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć. Przez furtkę w ceglany murze przeszła do okolonego murem sporego warzywnika. Woń ziemi i aromat ziół mieszały się z ożywczym zapachem cytrusów, napływającym przez otwarte drzwi oranżerii. Weszła do środka. Dzięki dużym oknom wewnątrz było ciepło i jasno. W ustawionych rzędem skrzynkach kiełkowały drzewka cytrynowe i pomarańczowe. Na drugim końcu, pod ścianą, dostrzegła wyściełaną ławkę - idealne miejsce, by usiąść i zastanowić się nad sobą.

Ogrodnik wszedł na chwilę, uchylił kapelusza i zostawił Phoebe samą. Od czasu do czasu któryś z ogrodników przesuwał się przed oknami i znikał, więc gdy znów usłyszała kroki, nie otworzyła oczu, tylko wdychała zapach roślin, delektując się chwilą spokoju. Jakiś szelest tuż obok sprawił, że uniosła powieki i ujrzała przed sobą człowieka, którego starała się unikać. Sir Leo Hawkynne przysiadł na brzegu skrzynki i, wyciągnąwszy nogi, zablokował jej drogę ucieczki.

Na głowie miał kapelusz zawadiacko przekrzywiony na bok i ozdobiony strusim piórem. Szerokie rondo rzucało cień na jego twarz, tak że nie mogła nic z niej wyczytać.

- Nie! - rzuciła, jakby od początku miała to słowo na końcu języka. - Proszę stąd iść. Nie chcę rozmawiać.

- To bardzo źle, moja panno, bo będzie pani musiała. To jedyne wyjście.

- Jedyne wyjście? Niby dokąd? Nie muszę się przed panem tłumaczyć, sir Leo.

- A ja myślę, że tak.

- Będzie pan tak uprzejmy i zabierze te nogi.

- Panno Laker - powiedział, nie ruszając się z miejsca - to już trzy lata. Naprawdę chce pani tak długo hołubić nienawiść? Czy ona pani nie przytłacza?

- Co to pana obchodzi? - zapytała, spoglądając przez okno. - Proszę się odsunąć.

- Nie ruszę się. Proszę usiąść.

- Ostrzegam, będę krzyczeć.

- Tak? W takim razie postaram się, żeby panna miała dobry powód.

- Czy to groźba? Bo jeżeli tak...

- To tylko grzeczna propozycja. Chcę pomóc pani rozprawić się z demonami. To nie może trwać wiecznie.

Sir Leo uniósł głowę. Na jego twarzy malowała się determinacja, a spojrzenie ciemnych oczu przeszywało Phoebe na wskroś. Wzmianka o nienawiści i demonach rozbudziła w niej gwałtowne uczucia.

- A właśnie, że może! - wykrzyknęła. - To, co się stało, już się nie odstanie. Nawet pan nie może cofnąć swojej obelgi. Nie mówiąc o przywróceniu życia tamtemu człowiekowi.

- Nie chodzi mi o przywracanie mu życia, tylko o to, że nie może pani obarczać mnie winą za jego śmierć. Sir Piers odebrał sobie życie z powodów, które miały więcej wspólnego z panią niż ze mną. Nie on pierwszy umarł z miłości, i nie ostatni. Miłość to potężna siła.

- Z mojej strony nie było miłości - podkreśliła Phoebe. - Między nami nic nie zaszło. To, co zrobił, było następstwem pojedynku i wstydu, jakim się okrył.

- Bzdura! Małe cięcie na ramieniu to nie wstyd i żaden powód, żeby odbierać sobie życie.

- Natomiast przegrany pojedynek to już jest powód. Pan dobrze o tym wie.

Phoebe usiadła na ławce, szeleszcząc jedwabną spódnicą, sztywno wyprostowana. Tłumione od trzech lat emocje powróciły ze zdwojoną siłą. Zdawała sobie sprawę z tego, że to, co zrobił sir Piers, nie było bezpośrednim skutkiem przegranej, ale jego impulsywności oraz wiary w średniowieczny kodeks, zgodnie z którym dama akceptowała miłość rycerza gotowego poświęcić dla niej życie. Tyle że ona tego od niego nie chciała. Próbowwała go przecież powstrzymać i niczego mu nie obiecywała. Rana była przyczyną przerwania pojedynku. Sir Piers stracił twarz, ale wierzył, że Phoebe ulituje się nad nim, opatrzy mu ranę i stanie się dla niego upragnioną matką, żoną i kochanką w jednej osobie.

Zataczający coraz szersze kręgi skandal okazał się jednak ponad siły Phoebe. Gdy przyjaciółka zaproponowała jej lokum w okolicach Canterbury, skorzystała z zaproszenia i ukrywała się tam do końca lata przekonana, że sir Piers miał więcej szczęścia, bo przeżył, natomiast jej imię pozostanie na zawsze zszargane. Żałowała, że to nie sir Leo Hawkynne stanął w obronie jej honoru zamiast tego niemądrego sir Piersa. Ten jednak był całkowicie oddany swojej sprawie, a gorączka, która wywiązała się na skutek odniesionej rany, zaatakowała jego mózg. Tak przynajmniej mówiono. Przyjaciele znaleźli go zwisającego z belki pod sufitem i skandal wybuchł na nowo.

- Ach, dziewczyno, przestanie się wreszcie pani oszukiwać? - zapytał sir Leo.

- Nie oszukuję się!

- Ależ tak. Proszę mnie uważnie posłuchać. Może wtedy coś pani zrozumie. Przegrany pojedynek to nie jest tragedia. Każdemu zdarza się to co najmniej raz.

- A panu się zdarzyło?

- Jeszcze nie, lecz nie w tym rzecz. To on wyzwał mnie na pojedynek z powodu tego, co powiedziałem, a co mu się nie spodobało, mimo że to go w ogóle nie dotyczyło. Nie był przecież pani ukochanym. Mój wybór był ograniczony. Musiałem przyjąć wyzwanie lub cofnąć swoje słowa, na co nie miałem ochoty. To on podjął śmiertelne ryzyko i przegrał, czego mógł się spodziewać. Jeżeli oczekiwał, że odpłaci mu pani uczuciem za to, iż stanął w pani obronie... No cóż, trudno to zrozumieć. Tymczasem pani wołała...

- Niczego nie wolałam, sir Leo! Wyjechałam na trzy miesiące, aby uciec przed plotkami, które pan zapoczątkował. Gdybyś nie rozgłaszał jawnie swoich opinii, nie doszłoby do pojedynku i sir Piers byłby nadal wśród żywych.

- Pewnie nadal by panią prześladował.

- Ta uwaga była zbędna i złośliwa. On zachował się po rycersku. Chciał bronić mojego dobrego imienia.

- Myślę, że musiał przy tym nieźle się natrudzić, skoro przez ten czas robiła pani wszystko, żeby szargać swoje imię - rzekł ostrym tonem sir Leo. - Nie mam racji?

- Jak pan śmie?! - Phoebe zerwała się na równe nogi. Stanęli naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. - Tylko starałam się żyć pełnią życia, darząc wszystkich miłością i przyjaźnią. Gdyby pan... - Głos jej się załamał pod wpływem bolesnych wspomnień. - Gdyby pan stracił całą rodzinę - podjęła po chwili - i w dodatku nie mógł jej pochować... Nawet nie miał miejsca, by opłakiwać bliskich, wtedy miałby pan pewne podstawy, aby krytykować tych, których spotkało takie nieszczęście. Prowadziłam otwarty dom, aby rozproszyć żal i smutek. Owszem, docierały do mnie plotki, lecz nie przejmowałam się nimi dopóty, dopóki... - Urwała, bo ze wzburzenia zabrakło jej tchu.

- Dopóki nie nadmienilem w towarzystwie...

- Że jestem dla pana za łatwa i nie przyjdzie pan do mnie, bo lubi polowanie, a nie siedzącą kaczkę. Czy dobrze zrozumiałam? Nie tak brzmiały pańskie słowa? W takim razie, elegancki kawalerze, pańska noga nie przestąpi mojego progu, nawet gdyby był pan ostatnim mężczyzną na tym świecie.

Phoebe wyminęła sir Leo, dopadła drzwi i wybiegła do zalanego słońcem ogrodu.

Musiał pójść za nią, bo nagle usłyszała za sobą jego głos:

- I dlatego postanowiła pani zmienić taktykę, dziewczyno? Jeżeli sprawiła to moja uwaga...

Odwróciła się z szelestem jedwabiów. Oczy jej miały błyskawice.

- Ty... gburze! - wykrzyknęła. - Przyczyną mojej odmiany nie była pańska impertynencja, ale samobójstwo sir Piersa i skandal będący jego następstwem. Mnie obarczono winą, choć Bóg jeden wie dlaczego. Po pojedynku wyjechałam, aby

przeczekać najgorsze, a gdy wróciłam, było jeszcze gorzej. Co miałam robić po powrocie? Tańczyć na grobie tego biedaka i żyć jak przed tym?

Trzęsąc się ze zdenerwowania, Phoebe przeszła obok zdumionych ogrodników, wyszła przez furtkę w murze i skierowała się w stronę domu, mijając po drodze fontanny. Raz tylko przystanęła, aby wyjąć kamyk z buta, ale gdy sir Leo chciał ją podtrzymać, kategorycznie odmówiła.

- Niech pan zostawi mnie w spokoju! Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

- Co pani zamierza? Znow będzie pani uciekać?

- Nie pański interes!

- Owszem, mój - mruknął sir Leo.

Idąc za nią, przeklinał w duchu siebie za to, że pozwolił, by sprawa aż tak nabrzmiała. Przecież mógł dużo wcześniej ją wyjaśnić. Wprawdzie zajmowane przez niego stanowisko wymagało nieustannych podróży, jednak inni mężczyźni potrafili lepiej rozwiązywać sercowe problemy. To prawda, że okazywał pannie Phoebe Laker lekceważenie, czekając, kiedy uda mu się porozmawiać z nią sam na sam, bez otaczającej ją zgrai pochlebców. Obserwował ją zazdrosny, zły i bezradny. Aż któregoś razu, w przyływie złości, zbyt głośno wypowiedział kąśliwą uwagę, nie spodziewając się, że sir Piers Kelloway usłyszy ją i opacznie sobie wytłumaczy. To prawda, że nie zamierzał wtedy odwiedzać panny Laker, co wcale nie znaczyło, że się nią nie interesował. Wręcz przeciwnie, spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, postanowił jednak przedstawić się jej w sposób mniej konwencjonalny. Uważał, że jest zbyt młoda i wrażliwa, a poza tym, wyraźnie się go bała. Niestety, taktyka wyczekiwania przyniosła opłakane skutki i mógł mieć o to pretensje tylko do siebie.

Tymczasem Phoebe zapominając o drodze na skróty, obiegła cały pałac, aż do bramy na północnej fasadzie, a za nią długimi krokami maszerował sir Leo. Na końcu wielkiego holu, gdzie rodzina spotkała się całkiem przypadkowo, tubalny śmiech księcia zamarł nagle, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i do domu wpadła jak burza panna Phoebe Laker, z depczącym jej po piętach sir Leo.

Zgromadzeni odwrócili się jak na komendę. Śliczna twarz panny Laker pałała gniewem, a oczy lśniły od łez. Sir Leo zamknął cicho drzwi i powiedział:

- No cóż, nikt inny nie kwapił się, by wyrazić swoją opinię, prawda? Co miałem wtedy do stracenia?

- To ja na tym najwięcej straciłam, i pan się o to postarał. - Phoebe odwróciła się i dopiero wtedy zauważyła barwną grupę przyglądającą jej się ze zdumieniem. - Uhm... przepraszam... wasza wysokość - wyjąkała. - Czy... czy byłby książę łaskaw pożyczyć mi powóz? Postanowiłam... to znaczy... lepiej będzie, jak wyjadę. Moja opiekunka... - Urwała i, ocierając łzy, zaczęła się bezradnie rozglądać.

Księżna podbiegła do niej, wyciągając ręce.

- Kochanie, o co chodzi? Nie ma mowy o wyjeździe. Jeszcze nie teraz. Możemy ci jakoś pomóc? - Chciała zamknąć dziewczynę w macierzyńskim uścisku, ale Phoebe cofnęła się, zbyt wzburzona.

- Dziękuję, milady. Nie mogę zostać dłużej, to wszystko.

Książę uznał, że musi natychmiast interweniować.

- Coś tam przeszkrobał, Leo? Wsadzałeś ręce tam, gdzie nie trzeba?! - zawołał z typową dla niego rubasnością, nie zwracając uwagi na obecność młodych pasierbic.

Sir Leo przywykł do manier swojego pana.

- Dyskutowaliśmy z panną Laker i ja wygrałem. Dlatego jest zła.

- Nie było dyskusji, książę - zaprzeczyła głośno Phoebe. - On wcale nie wygrał, a ja nie jestem zła. Chcę tylko wyjechać... Chyba że książę znajdzie mu wyjątkowo długi dokument do przetłumaczenia na łacinę, co zajmie mu kilka dni, po których będzie miał taką migrenę, że...

- Ćśś... dziewczyno! - Książę wystąpił do przodu. - Co się dzieje? Wiem, że za nim panna nie przepada, ale chyba nie życzy mu panna śmierci, prawda?

- Czemu nie? - odparła. - Niech go później pochowają na drugim końcu świata.

Książę gwizdnał przez zęby i znów spojrzał na sekretarza.

- Dziewczyna mówi serio. Jest aż tak źle? Myślałem...

- Tak, tak - wtrąciła się jego żona. - Wiemy, co myślałeś, mój drogi, ale trzeba rozwiązać problem, a ucieczka to żadne wyjście z sytuacji. Phoebe, kochana, nie możesz przyjąć przeprosin od sir Leo?

- Sir Leo nie próbował mnie przeprosić, milady.

- Nigdy nie zamierzał - mruknął do siebie sir Leo.

Oparł się o krawędź stołu bilardowego i zaczął oglądać kij wykończony kością słoniową.

- Nawet gdyby próbował, nie przyjąłabym jego przeprosin - ciągnęła Phoebe, potrząsając gniewnie czarnymi lokami.

- Zatem sytuacja patowa - podsumował księżę.

- Księżę ma rację. - Phoebe rozejrzała się za drogą ucieczki. - To jest pat. Nie przyjmuję wyjaśnień sir Leo i on nie chce przyjąć moich.

- W żadnej formie - mruknął sir Leo, smarując kredą czubek kija.

- Ależ sir Leo! - ofuknęła go księżna. - Proszę odłożyć kij i zachowywać się poważnie. Panna Laker jest gościem w Ham House, a naszym obowiązkiem jest sprawić, by ten pobyt zapisał się mile w jej pamięci. Granie w bilard z samym sobą nie rozładuje atmosfery.

Sir Leo wyraźnie się zmieszał.

- Proszę o wybaczenie, księżno, nie chciałem nikogo obrazić. Od przyjazdu panny Laker staram się wymyślić coś, co by jej pomogło. Zapewniłem ją o tym przy naszym pierwszym spotkaniu, ale ona ma swoje powody, żeby mnie nie słuchać.

- Coś jednak trzeba z tym zrobić - stwierdziła księżna.

- Najlepszy byłby powóz - odezwała się Phoebe. - Mogę też wrócić na piechotę. Przecież to niedaleko.

- Czym sir Leo tak bardzo rozgniewał pannę Laker? - wtrąciła się Katherine, która chciała pomóc, a zarazem pękała z ciekawości. - Czy chodzi o dzisiejszy ranek?

Starsza siostra trąciła ją łokciem, marszcząc brwi, i powiedziała:

- Cicho, Katherine. Już o tym rozmawiali i mama czeka teraz na jakieś propozycje. A co sądzicie o walce na miecze? - zapytała z niewinną miną.

- Nie bądź śmieszna, Betty - powiedziała księżna. - To taka sama propozycja jak bilard.

- Z całym szacunkiem, mamó, lecz to wcale nie jest śmieszne - upierała się Elizabeth. - Wiem, że panna Laker brała przez ostatnie trzy lata lekcje fechtunku u signora Luigiego Verdiego.

Przerażona, że wydała się jej tajemnica, Phoebe rzuciła nazbyt ostro:

- To moja prywatna sprawa. Gdzie o tym usłyszałaś?

Książę pospieszył pasierbicy w sukurs.

- Czy to ważne gdzie? Lepiej niech panna powie, czy to prawda.

Phoebe nie miała innego wyjścia, jak tylko wyjawić sekret.

- Owszem, książę, ale...

- W takim razie czemu by tego nie przetestować? Dobra staromodna walka na pałasze pomogła rozstrzygnąć niejedną dysputę.

- Moim zdaniem, to niezbyt dobry pomysł - stwierdziła bez większego przekonania księżna.

Sir Leo nie trzeba było namawiać. Jego odpowiedź była natychmiastowa i zdecydowana:

- Jestem za, lecz zapewne panna Laker nie zechce...

- Zechce! - przerwała mu Phoebe. - Czas najwyższy, by ktoś starł panu z twarzy ten przemądrzały uśmiech. Równie dobrze ja mogę to zrobić.

- Tak! - wykrzyknęła Elizabeth, chwytając siostrę za rękę. - Jeżeli sir Leo wygra, będzie musiał ożenić się z panną Laker. W przeciwnym razie...

- Jeżeli wygram, to będę musiała go zabić! - rzuciła Phoebe, unosząc dumnie głowę.

Na kilka minut zapadła cisza; słychać było tylko tykanie zegara. W końcu książę przerwał milczenie:

- Wszystko to pięknie - zaczął - ale taki uczynek podlega karze. Wiedziała panna o tym? Poza tym nie byłbym szczęśliwy, gdybym akurat teraz stracił znakomitego sekretarza. Ma mi napisać masę listów. Na twoim miejscu, moja panno, nie rzucalibyśmy się na oślep do walki na śmierć i życie z kimś takim jak on. Posieka pannę na kawałki w mgnieniu oka.

- Nie dbam o to, książę. Zniszczył moją reputację, więc niech dokończy dzieła.

Odpowiedź Phoebe wstrząsnęła wszystkimi, nawet tymi, którzy rozumieli ją lepiej niż inni.

- Kochanie, nie mów tak - wyszeptała księżna. - To głupi pomysł. Zapomnijmy o tym i spróbujmy znaleźć inne wyjście.

- Nie, milady, dziękuję. Móc oglądać go pocącego się ze strachu jak jego ostatni przeciwnik to zbyt piękne, bym miała z tego zrezygnować. Ktokolwiek zwycięży, gra jest warta świeczki.

- Nie zapominajmy, że stawka jest bardzo wysoka, panno Laker - oznajmił sir Leo.
- Po dwóch trafieniach biorę cię za żonę.

- Jak na razie, to czysto teoretyczne rozważania. - Phoebe zmierzyła go rozognionym spojrzeniem. - Dobrze, zgadzam się. Jeżeli ja zadam drugi cios, dopilnuję, by pan umarł równie mało godnie jak biedny sir Piers.

- Ćśś, dziewczyno! - sapnął książę. - Co on takiego powiedział, na Boga, że wzbudził w pannie taką nienawiść? Nie wystarczy, jak zniknie pannie z oczu?

- Mam rozumieć, że jeżeli sir Leo wygra, co jest mało prawdopodobne, to otrzyma nagrodę. Natomiast jeśli ja wygram, powinnam się zadowolić jego chwilowym zniknięciem. Miałam już przyjemność nie oglądać go przez trzy lata, a trzy dodatkowe to nie wieczność, prawda? A coś takiego przytrafiło się wszystkim, którzy byli zbyt blisko mnie: moim rodzicom, bratu i sir Piersowi. Co jest takiego w sir Leo, że powinno się go oszczędzić? Jeżeli już ma do mnie przyłgnąć jakaś reputacja, niech to będzie opinia femme fatale, która potrafi składać pocałunek śmierci. Myślę też, że nie należy lekceważyć moich szermierczych umiejętności. Mam za sobą trzy lata intensywnych ćwiczeń.

- A sir Leo dwadzieścia - odparł książę, na którym przemowa Phoebe nie zrobiła większego wrażenia. - Jeżeli nadal chce panna rozwiązać wasz konflikt w ten sposób, bardzo proszę. Nie sądzę, żeby to potrwało długo. Pójdę po szpady.

- Nie szpady, książę. Rapiery. Nie zgadzam się na ochraniacze na czubkach.

- Och, moja droga! - Księżna znów spróbowała chwycić Phoebe za rękę. - Jesteś pewna? Wiem, jak to boli, kiedy ktoś ukochany ginie śmiercią nagłą i gwałtowną. Nie zawiniłaś w sprawie sir Piersa. Nie miałam pojęcia, że ty i sir Leo... ja nie chciałam... O Boże, co też najlepszego zrobiłam? Nie wolno ci go zabijać, kochanie! Nie wolno! Naprawdę. Nie można tego rozstrzygnąć pokojowo? Nie chcemy rozlewu krwi.

- Zdajecie sobie sprawę z tego, że jeśli przegram, i tak będę musiał przebić się mieczem? - powiedział sir Leo. - Ulec kobiecie? Nie zniósłbym takiej hańby.

- Cieszę się, że nie traktuje pan tej sprawy zbyt poważnie, sir Leo - odezwała się Phoebe, kierując się w stronę schodów. - Pański upadek będzie tym większą dla mnie nagrodą.

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie do tyłu, a zaraz potem znalazła się z nim twarzą w twarz, z piersią przyciśniętą do jego koronkowego gorsu.

- Ależ traktuję to bardzo poważnie, proszę mi wierzyć. Ostrzegam, że nie może pani liczyć na fory. Przyjęła pani warunki w obecności świadków i po wygranym pojedynku nie pozwolę pani cofnąć słowa. To ostatnia szansa, żeby się wycofać. Wóz albo przewóz - proszę wybierać.

Długo czekała na możliwość zemsty, a jednak o ile łatwiej byłoby położyć głowę na piersi sir Leo i pozwolić mu wygrać bez walki, godząc się na wszelkie konsekwencje. Jednak ich zażarta kłótnia w oranżerii sprawiła, że znów otworzyły się dawne rany. Phoebe zapragnęła rekompensaty za zmarnowaną przeszłość oraz samotną przyszłość. Był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pragnęła, i jedynym, który jej nie chciał, na to przynajmniej wyglądało. Nie mogła mu więc wybaczyć, że rozgłosił to wszem i wobec.

Aż do momentu, w którym musiała wybierać, zawzięty upór kazał jej obstawać przy walce. Choć książę uważał, że to niezły pomysł, czuła instynktownie, że nie ma najmniejszych szans na zwycięstwo.

Co robić? Co czeka ją po przegranej? Niefortunne małżeństwo z człowiekiem, który nie zrobił dla niej nic ponad to, że uchronił ją przed grubiańskimi zaczepkami znajomych? Ślub z mężczyzną o kamiennym sercu, który okazywał jej wyłącznie dezaprobatę i chłód? A gdyby tak sprawić, że się w niej zakocha? Mogłaby go w sobie rozkochać, była tego prawie pewna. Niech poczuje tę samą rozpacz i tęsknotę, co ona. Dając mu zakosztować odrobiny miłości, przyciągnie go do siebie. Będzie ją błagał o trochę ciepła, dobre słowo, czuły dotyk, łagodne spojrzenie. Tymczasem ona obróci wszystko na swoją korzyść. To on będzie jej teraz pragnął tak jak ona jego przez te lata.

Nie miała żadnych złudzeń, że mogłaby wygrać pojedynek, ale zdecydowała już, że po przegranej zmieni życie sir Leo w piekło. Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Wybrałam - powiedziała schrypniętym głosem. - Niech pan idzie i zmówi pacierz.

Ku swemu zdumieniu, we wzroku sir Leo dostrzegła coś na kształt podziwu.

- To jest dla mnie dziewczyna - wyszeptał tak, że tylko ona mogła go usłyszeć. - Kiedy zostanie panna matką, będzie bronić naszych młodych jak lwica.

Nie musiała nawet pytać, dlaczego sir Leo tak ochoczo przystał na warunki wymyślone przez Elizabeth w przyływie egzaltacji. Była bogata i niewielu chętnych do ożenku dżentelmenów pogardziłoby szansą przejęcia jej majątku, zwłaszcza tak małym wysiłkiem. A sir Leo pod tym względem na pewno nie różni się od reszty.

Księżna dotknęła jej ręki.

- Idź więc i przebierz się, kochanie, jeżeli rzeczywiście chcesz walczyć, a my tymczasem odsuniemy na bok stół bilardowy. W długiej galerii jest o wiele za ciemno, a na podłodze leży dywan.

Phoebe spojrzała na córki księżnej, zastanawiając się, skąd Elizabeth wiedziała o jej lekcjach fechtunku. Miała żal do signora Verdiego o brak dyskrecji. Pewne kręgi tylko czyhały na takie pikantne rewelacje, a te dwie młode pannice nie miały nic lepszego do roboty, jak tylko przekazywać je dalej, nie bacząc na konsekwencje.

Stały teraz zalęknione, tuląc się do siebie i spoglądając na matkę, a gdy przeniosły wzrok na sir Leo, zaskoczyła je zmiana, jaka zaszła w mężczyźnie, który tego ranka śmiał się z nimi i szarmancko droczył. Nie spodziewały się po nim, że potrafi być tak gwałtowny wobec kobiety. Phoebe pozwoliła mu na to, by ją wziął za ramię i przyciągnął do siebie, mówił do niej rozkazującym tonem i spoglądał na nią gniewnie, a zarazem z podziwem. Zdeprimowane, podekscytowane i wystraszone patrzyły, jak panna Laker wbiega po schodach, by zniknąć za zakrętem. Gdy wreszcie sir Leo spojrzał w ich kierunku, nie posłał im czarującego uśmiechu, lecz jego wzrok poszybował gdzieś dalej, przechodząc przez nie, jakby były powietrzem. Wtedy pojęły, że to już nie romantyczne uniesienia, ale mroczna strona namiętności, której dotąd nie były świadome.

Rozdział trzeci

W tym momencie księżna mogła postąpić tak jak każda matka na jej miejscu, czyli odesłać córki do zajęć bardziej pożytecznych niż przyglądanie się niezwyklemu pojedynkowi. Tymczasem ona kazała im usiąść w kącie i nie ruszać się, a już, broń Boże, nie krzyczeć.

Rodzina księcia czekała w komplecie, gdy Phoebe zeszła na dół. Smukła i wdzięczna, prezentowała się nader atrakcyjnie w białej koszuli, skórzanych spodniach do kolan, białych pończochach i czarnej kamizelce ze złotymi guzikami. Ciemne loki związała na karku atłasową wstążką. Męski kostium, zamiast ukrywać kobiecość, w jej przypadku ją podkreślał.

Tym razem księżę zdołał się powstrzymać od rubaszných uwag, cisnących mu się na usta. Podeszedł do Phoebe i podprowadził ją do lokaja, który trzymał otwartą skrzynkę z rapierami. Obok stał sir Leo w koszuli i bryczesach, podobnie jak ona, bez butów.

- Sir Leo, panno Laker, przypominam wam, że to nie jest pojedynek - pouczył ich surowo księżę. - Dlatego nie będzie śmiertelnych ciosów, moja panno. Muszę przestrzegać praw, ustalonych przez Jego Królewską Mość, nie mogę zatem pozwolić na pojedynki w moim domu. Natomiast sprawdzian umiejętności to co innego. Kto pierwszy zada dwa celne ciosy, zostanie uznany za zwycięzcę. Można celować w korpus, od szyi do pasa, włączając w to ramiona, ale nigdzie indziej. A teraz muszę usłyszeć od was zapewnienie, że nie ukrywacie przy sobie nic, czym można by spowodować dodatkowe obrażenia. Panno Laker?

- Nic, wasza wysokość - odparła Phoebe.

- Nic, wasza wysokość - zapewnił Leo.

- Wobec tego wybierzcie broń i zaczynajcie.

Phoebe wzięła pierwszy z brzegu rapier i odwróciła się szybko, aby go zważyć w rękę i się z nim oswoić. Pod stopami, odzianymi w jedwabne pończochy, czuła zimną, gładką posadzkę. Przypomniała sobie, że sir Luigi z początku kazał jej nosić ciężkie buty, aby wzmocnić mięśnie nóg i wyrobić w sobie zwinność. Nadeszła pora, aby udowodnić, że lekcje fechtunku to nie były wyrzucone pieniądze.

Mimo że signor Luigi wciąż jej powtarzał, że powinna panować nad emocjami, nie była w stanie powściągnąć furii, jaka w niej wciąż kipiała od czasu rozmowy w oranżerii. Serce waliło jej głucho i gardło miała ściśnięte. Do tego dochodził jeszcze lęk przed przegraną i rozpaczliwe pragnienie, by wygrać. Sir Leo należał do najlepszych szermierzy w całej Anglii i na pewno wykorzysta każdy jej błąd, nawet najmniejszy, gdyż w grę wchodzi jego reputacja. Nazwał ją publicznie zbyt łatwą, to teraz pokaże mu, jaka jest łatwa. Będzie się musiał solidnie natrudzić, jeżeli chce płacić jej pieniędzmi za te swoje śmieszne guziki i kokardy, rasowe konie, brokatowe fraki i złote ostrogi. Odwróciła się do niego. O tak, obiecała sobie w duchu Phoebe, zrobię wszystko, by udławił się swoimi słowami, choćby to miało mnie dużo kosztować.

Sir Leo zachowywał się kurtuazyjnie i wcale się nie spieszył, niestety. Phoebe zbyt szybko zaatakowała. Częściowo w nadziei, że zbije przeciwnika z tropu, a po części dlatego, iż mimo najszczerzych chęci nie potrafiła zapanować nad gniewem. Sir Leo bez trudu odparował jej pierwszy szaleńczy atak, zorientowawszy się, że Phoebe poniósł temperament, zmusił ją, aby się cofnęła.

- Opanuj się - powiedział cicho. - Tylko spokojnie.

Zaczerpnęła tchu i zaczęła od nowa, wyprostowana, wyciągając przed siebie rękę trzymającą rapier. Stopy tańczyły po kamiennej posadzce. Skupiona, celowała to wyżej, to niżej, ale sir Leo zawsze był o krok przed nią, tak że musiała się wycofać aż do schodów na drugim końcu holu. Wiedząc, że może się potknąć o najniższy stopień, wskoczyła na schodek i, korzystając z tych kilku cali dodatkowej wysokości, zdołała odepchnąć sir Leo w stronę kominka. Od wyprowadzania i parowania ciosów Phoebe rozboleło ramię, a po paru minutach zorientowała się, że koszula lepi jej się do pleców, mokra od potu. Signor Luigi pozwoliłby jej w tym momencie na krótki odpoczynek, aby się napiła wody i otarła czoło, lecz sir Leo nawet nie był zdyszany i nie widział potrzeby przerywania pojedynku.

Nagle zrobił coś, co Phoebe wprawiło w furję, gdyż po błyskawicznej wymianie ciosów odciął czubkiem rapiera górny guzik jej kamizelki, który poszybował w powietrzu. Ta jawna bezczelność zbiła ją z pantafelku i uświadomiła jej przewagę

przeciwnika, a ostrzeżenie księcia, że sir Leo może ją pociąć na kawałki, zaczęło nabierać nowego znaczenia.

- Trafiona! - Głos księcia odbił się echem od ścian holu. - Punkt dla sir Leo.

Sprytny trik sir Leo zmusił Phoebe do większej koncentracji. Po wyprowadzeniu serii błyskawicznych ciosów otworzyła sobie drogę do pchnięcia, którym chciała dosięgnąć jego koszuli. Wreszcie udało jej się trafić go czubkiem rapiera w ramię.

- Trafiony! - zawołał książę. - Punkt dla panny Laker. Jest pan ranny, sir Leo?

- Nie, milordzie, ale dama będzie teraz miała co najmniej jedną koszulę do zaszycia.

- Wobec tego kontynuujcie.

Widząc, że Phoebe z trudem łapie oddech, sir Leo dał jej moment na otarcie czoła. Korzystając z tego, zdjęła kamizelkę i ostentacyjnie rzuciła ją w kąt. Nasunęła jej się przy tym refleksja, że jeśli zdoła zadać jeszcze jeden cios, sir Leo na zawsze straci swoją reputację. Zanim to jednak nastąpi, pomęcz go trochę, demonstrując nieco więcej tego, czego nigdy nie uda mu się osiągnąć.

Zebrawszy wszystkie siły, próbowała bronić się przed jego nieustannymi atakami za pomocą wyuczonych trików. Chciała mu pokazać, że nie tylko on ma fenomenalną kondycję. Niestety, zaczynała odczuwać coraz większe zmęczenie. Mając w pamięci to, co może wygrać, a co stracić, walczyła zajadle, z desperacją. Kątem oka widziała protoplastów rodu Dysartów, spoglądających z portretów na oniemiałych potomków, zlewające się w szarość czarno-białe kwadraty na podłodze oraz beznamietną twarz przeciwnika wyciskającego z niej siódme poty w bezlitosnym dążeniu do zwycięstwa. Gibkie ciało sir Leo było jak napięty łuk, idealnie wyważone i zwinne. Nic dziwnego, skoro uczył się fechtunku od dziewiątego roku życia.

Następnym huraganowym atakiem zmusił Phoebe do cofnięcia się na drugi koniec sali, po czym pozwolił, by przegoniła go przez całą długość holu po to tylko, żeby ją jeszcze bardziej zmęczyć. Od wyprowadzania i parowania ciosów ból ramienia był tak dotkliwy, że niemal ją oślepił. Czowała, że trzy lata treningów idą na marne. Gdzie się podział jej baletowy styl walki? Ruchy miała coraz bardziej niezdarne, a rapier zaczynał jej ciążyć niczym topór. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa i pot zalewał oczy, gdy

podczas kolejnej szarży musiała się cofać dopóty, dopóki na drodze nie stanął jej stół bilardowy. Oparła się o niego, ciężko dysząc.

- Rzuć broń! - zakomenderował sir Leo.

Wszystko zlewało jej się w oczach, oddychała spazmatycznie.

- Nie - wychrypiała.

- Mam ci zostawić znak? - rzucił ze złością. - Powiedziałem: rzuć broń!

Poczuła ukłucie jego miecza pod brodą i rozumiała, że lepiej będzie posłuchać sir Leo. Wciąż jednak wewnętrzny głos zaprzeczał wszystkiemu, co dla innych było oczywiste. Kiedy puściła rękojeść i stał zadzwięczała o kamienną posadzkę, z jej ust wyrwał się okrzyk:

- Nie... nie... nie! Nigdy!

Zasłaniając się rapierem na wypadek, gdyby ktoś chciał podejść, sir Leo wolną ręką objął Phoebe w tali i skutecznie uciszył jej krzyki, wybijające się ponad głosy zgromadzonych.

- Zwycięzcą został sir Leo Hawkynne - oznajmił dobitnie książę, lecz żadne z tych dwojga go nie usłyszało.

Kłęska objawiła się Phoebe w zaborczym pocałunku sir Leo, bijącym od niego zarze, przenikającym przez cienkie płótno jej koszuli i mocnym nacisku jego ud. Kłęska kryła się w bezwładnie zwisających rękach, ciężących jej ołowiem, i nogach miękkich jak galareta. Kłęską było również uprowadzenie Phoebe, zanim oniemiała widownia zdołała zareagować, gdy sir Leo chwycił ją na ręce i, przeciąwszy hol, zaczął wchodzić na górę.

Była tak wyczerpana, że oczy same jej się zamknęły i ledwie zdawała sobie sprawę z tego, że mijają kolejne zakręty na schodach. Upokorzenie jej było tym większe, że sir Leo nie wydawał się ani trochę zmęczony. Nawet gdyby później mówił, jak trudna była dla niego ta walka, zrobiłby to z litości. Już ja się na nim odegram, przysięgła sobie w duchu Phoebe. Podepczę jego dumę, wymuszę przeprosiny i przysporzę mu cierpień, zanim oddam mu się z własnej woli. Takie pocałunki jak ten będzie mógł policzyć na palcach jednej ręki, o ile mu się poszczęści. Swoją drogą, trochę szkoda, uznała, bo pocałunek okazał się równie wart zapamiętania jak szermiercze umiejętności sir Leo.

Miała pewne pole do porównań. Czy to nie dziwne, że nie potrafiła się oprzeć ustom sir Leo? Był to początek groźnego uzależnienia, mogącego mieć wpływ na jej decyzje i stanowiącego przyczynę jej wewnętrznych rozterek. A doszło do tego w ciągu zaledwie paru minut, kiedy była zbyt słaba, aby się bronić.

Gdy znaleźli się w słonecznej sypialni Phoebe, sir Leo ponownie zademonstrował jej swoje mistrzostwo. Zamknawszy ramieniem drzwi, postawił ją na podłodze, objął i, zanim zdążyła się zorientować, zagarnął jej usta w pocałunku jeszcze bardziej upojnym i godnym zapamiętania niż poprzedni. Rozmarzona i podniecona, potraktowała to jako zamierzony wstęp do celebracji zwycięstwa, jakkolwiek miałyby ona przybrać formę.

Tymczasem sir Leo zarzucił sobie bezwładne ręce Phoebe na szyję, po czym dłońmi zaczął badać miękkie kontury jej ciała, sunąc w dół, po mokrej koszuli i skórzanych spodniach, niczego po drodze nie omijając. Gładził jej piersi, biodra, wypukłość pośladków, zapuszczając się w zakątki, gdzie żaden inny mężczyzna nie śmiał sięgnąć. Mogła to przerwać, ale jednej chwili poprzednie postanowienia wzięły w łeb. Udawała bezwstydną niemożność. Zrobiłaby wszystko, aby przedłużyć ten błogi stan.

Niespodziewanie sir Leo sprowadził Phoebe na ziemię, zdejmując jej ręce ze swojej szyi i, musnąwszy po raz ostatni jej wargi, zaczął ją delikatnie popychać w stronę łóżka nakrytego żółtą kapą. Gdy krawędź mebla podcięła jej kolana, usiadła, wciąż oszołomiona zuchwałością zwycięzcy, a także własną gwałtowną reakcją. Nie mogła udawać, że jest jej obojętny.

Przerwa w pieszczotach, stwarzająca okazję do wzięcia się w garść, wywarła skutek wręcz przeciwny. Phoebe uznała, że to, co ma nastąpić, i tak jest nieuniknione. Oczywiście, obarczy go winą za to, że dał się ponieść zmysłom i wykorzystał wyczerpaną, bezbronną kobietę, ale dopiero później. Wyciągnęła się z westchnieniem na łóżku i, zamknawszy oczy, czekała, aż poczuje na sobie ciężar rozgrzanego męskiego ciała. Nie mogła się przy tym nadziwić własnej nagłej odmianie.

- Przyślę ci pokojówkę - usłyszała dobiegający z pewnej odległości głos sir Leo.

Otworzyła oczy.

- Co? - zapytała sennym tonem.

Sir Leo swobodnie opierał się o kolumnę łóżka, potrząsając pękiem ozdobnych frędzli jak dzwonkiem, i przyglądał jej się z niekłamanym zachwytem.

- Przyślę ci pokojówkę - powtórzył. - Dobrze wiesz, że gotowi wyciągnąć pochopne wnioski, jeżeli nie zjawimy się za pół godziny, umyć i przebrani. A przecież tego nie chcemy, prawda? Chyba że dla większego efektu wolisz zostać w męskim stroju. Och, przy okazji, od tej chwili jesteś wolna.

Phoebe usiadła powoli, próbując go zrozumieć.

- Wolna? - powtórzyła.

- Tak. Uwalniam cię od swojej osoby i odstępuję od umowy. Nie uważasz, że warunki były trochę nie fair? Skoro nie pozwolono ci przebić mnie na wylot, co byś z pewnością uczyniła, to nie mogę się domagać wygranej, czyli ciebie. Poza tym lamentowałaś, że tego nie chcesz. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie będzie narzucał się kobiecie będącej w takim stanie ducha. Przyznasz sama, że taki początek to zła zapowiedź dla przyszłego małżeństwa. Nie patrz tak na mnie, moja miła. Nie byłoby ci ono w smak. Nie mam racji?

Bolesna prawda zwała się na Phoebe jak grom z jasnego nieba, pozostawiając pustkę tam, gdzie jeszcze przed chwilą malowała się świetlana przyszłość. Sir Leo przejrzał jej grę i nie zamierzał wziąć w niej udziału.

- Co to miało znaczyć wobec tego? - wyszeptała, wskazując głową miejsce, w którym stali przed momentem. - Chciał pan zdobyć dowód na to, jaka jestem łatwa? Jak można mnie szybko zdobyć, kiedy jestem śmiertelnie wyczerpana? Bez trudu pokonać na miecze? Namówić na niemądrą sugestię rozegzaltowanego podlotka? To cud, że w ogóle chce się panu rano wstawać z łóżka, sir Leo, skoro życie samo ścieli ci się pod nogami.

Tempo, w jakim się poderwała, zadawało kłam jej zmęczeniu. Była w połowie drogi do drzwi, gdy usłyszała lakoniczną odpowiedź, która jeszcze bardziej ją rozwścieczyła.

- No cóż, niektóre dni są łatwiejsze niż inne, to prawda, panno Laker.

- Domyślam się, że to musiał być jeden z takich dni. Co wobec tego proponuje pan powiedzieć księciu i księżnej na temat swojej decyzji? Właściwie nie chciał pan tej

nagrody mimo przekonującego kazania, którym mnie pan wcześniej uraczył? Wycofuje się pan, ponieważ nie planował małżeństwa?

Słyszając rozgoryczony ton Phoebe, sir Leo odwrócił się do niej; na jego twarzy malowało się zdumienie. Udawane, jak przypuszczała.

- W razie jakichkolwiek wątpliwości przypomnę im, że to pani podniosła raban, nie godząc się z przegraną i hałaśliwie protestując przeciwko wcześniejszym ustaleniom. Nawet dojarka musiała słyszeć te krzyki w oborze, nie mówiąc już o widzach w holu. Po czymś takim moja decyzja nikogo szczególnie nie zdziwi, panno Laker. Nikt nie będzie mi mówił, że musiałem wziąć za żonę kobietę, której jestem tak nienawistny, że gotowa była przebić mnie mieczem. Jeśli się kiedyś ożenię, moja wybranka będzie wielbić ziemię, po której stąkam. A jak nie, to wolna droga.

- Przecież wiedział pan, co wcześniej czułam - odparowała Phoebe. - Mimo to zgodził się pan na walkę oraz jej warunki.

- Pani też się na nie zgodziła, moja droga, a po przegranej odmówiła.

- Wiedział pan, że przegram.

- Owszem, podobnie jak pani. Niech to będzie dla pani nauką, by nie wciągać mnie w sprytne gierki i dziwaczne rozmowy o pocałunkach śmierci i tak dalej, bo nie wierzę w te bzdury. Może i życie dało się pani mocno we znaki, jak większości z nas, ale i tak powodzi się pani znacznie lepiej niż wielu innym. A próby obwiniania się o przypadki śmierci, na które nie miała pani wpływu, to istna dziecinada...

- Jak może pan tak mówić, skoro...

- Dziecinada, i to żalosna. Może ma to być rodzaj pokuty za zbyt swobodne zachowanie, na temat którego pozwoliłem sobie powiedzieć parę szczerych uwag? Próbuje pani skierować ostrze swojej furii przeciwko mnie. Myśli pani, że moja krzywda uleczy twoje rany i przywróci to, co pani utraciła? Zdaje pani sobie sprawę, że to niemożliwe, prawda? Nikt i nic ci tego nie zwróci; będzie musiała pani zastąpić to czymś nowym. Niech pani przestanie lamentować i obnosić się ze swoją żalobą jak ze sztandarem. Wszyscy ponieśliśmy straty. Przeżyliśmy wojnę, zarazę, a potem pożar Londynu. Wiele żon, matek i córek utraciło bliskich. Wiem, że wyszłaby pani za mnie, kierując się swoimi pokrętnymi pobudkami, jednak nie zamierzam zostać męczennikiem.

- A te... pocałunki? - spytała cicho Phoebe, przelitykając łyzy. - Miały mnie upokorzyć, prawda?

- Czy taki był ich smak?

- Nie, sir Leo, smakowały męską ciekawością.

- Wobec tego coś jest nie tak z pani zmysłem smaku. Może spożywasz za dużo ostrych przypraw. Otrzyj łyzy. Jesteś wolna. Powinna się pani cieszyć.

Nie dając Phoebe czasu na odpowiedź, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Stała w miejscu, roniąc łyzy. Po planach odwetu, mających być panaceum na wciąż niezagojone rany, wizjach nieszczęśliwego sir Leo, błagającego o jej względy, przyszłość jawiła jej się bardzo trywialnie. Sir Leo opowie kompanom o najnowszym podboju, a ona stanie się pośmiewiskiem i powodem kolejnego skandalu. Panny Tollemache'ówny, córki księżnej, z pewnością złożą dokładną relację dobrze urodzonym przyjaciółkom. Księżę uśmieje się na wieść o tym, że jego sekretarz nie był na tyle głupi, by wpaść w sidła szukającej kozła ofiarnego nieszczęśnicy. Natomiast księżna zgodzi się, że sir Leo postąpił honorowo, rezygnując z przywilejów, kwestionowanych od początku przez obie strony.

A intymne pieszczoty? Jak mogła na nie pozwolić, na Boga? Co gorsza, to on zaczął, by ją potem brutalnie odtrącić. Dlaczego jej nie chciał? Po tym, co wycierpiała, nie miała siły ani ochoty szukać odpowiedzi na te pytania.

Jedna jeszcze rzecz nie dawała jej spokoju, choć pewnie nie doczeka się wyjaśnienia. Tuż przed walką sir Leo wyszeptał jej do ucha, że będzie bronić ich młodych jak lwica. Czyli ich dzieci! Czy zmienił zdanie, czy od początku nie mówił serio?

W tej sytuacji byłoby chyba normalne, gdyby się rzuciła z płaczem na łóżko, po czym, rezygnując z kolacji, wróciła do Mortlake. Phoebe nie zwykła jednak tracić ducha nawet wtedy, gdy zmierzała w niewłaściwym kierunku. Nie była też do tego stopnia zaślepiona w swoich niezdarnych próbach radzenia sobie z losem, aby nie dostrzec, kiedy powinna zrewidować postępowanie. Zwłaszcza teraz, gdy błędy zostały bezlitośnie wytknięte. Dlatego, podczas gdy Constance rozbierała swoją panią, myła ją i wyjmowała z szafy najładniejszą różową suknię z bufiastymi rękawami, Phoebe miała dosyć czasu,

by rozważyć wszystko, co zaszło w Ham House pomiędzy nią a sir Leo, i porównać to z wcześniejszymi katastrofami w jej życiu, kiedy nie miała nikogo, kto by jej pomógł, oprócz pani Overshott. Wówczas rada brzmiała „Weź się w garść, ubierz w najbardziej twarzową suknię i głowa do góry”. Skorzysta więc i teraz z tej wskazówki. Zademonstruje odwagę w obliczu przeciwności losu, nie udając bynajmniej, że są to dla niej sprawy nieważne. Niech ten zadowolony z siebie galant, bardziej papieski niż sam papież, zobaczy, że jego opinia jest jej obojętna i nie wpłynie na jej decyzje. Wyjedzie, kiedy będzie gotowa, a nie przed czasem. Nie sprawi przykrości państwu domu. Oczywiście, to wszystko tylko pozory, taką postanowiła jednak przyjąć taktykę.

Ku szczerzej uldze i zadowoleniu księżnej, Phoebe zeszła punktualnie na kolację. W różowych jedwabiach i białych koronkach, z wpiętymi we włosy różyczkami, wyglądała urzekająco. W oczach nie było śladu łez; lśniły z ożywieniem i zdawały się z ciekawością wypatrywać dalszej części wieczoru. Tym zachowaniem zyskała uznanie księcia, który nie wątpił już, że naprawdę jej ulżyło, gdy jego sekretarz zrezygnował z wygranej. Phoebe zapewniła wszystkich bardzo przekonująco, że więcej nie stanie do podobnej walki, nie będzie słuchać niczyich egzaltowanych, niedojrzałych sugestii, nawet popartych najlepszymi intencjami.

Księżna, osoba bystra i sprytna, nie do końca uwierzyła w ten brawurowy popis. Robiła jednak, co w jej mocy, aby zachęcić Phoebe do kolejnych wizyt w Ham House. Po kolacji towarzystwo udało się nad rzekę, by nakarmić łabędzie i popatrzeć na barki płynące z towarami w dół Tamizy, do Richmond. Panny Tollemache'ówny musiały się pogodzić z tym, że po skończonej walce para adwersarzy nie zamierza żyć razem „długo i szczęśliwie”, a panna Laker bynajmniej nie wygląda na przygnębioną, choć powinna.

Dopiero znacznie później w azylu łóżka po wielkim wysiłku, jakim była wieczorna maskarada, Phoebe próbowała powstrzymać się od łez po stracie czegoś, czego przecież nigdy nie miała - sir Leo Hawkynne'a.

Po dwudniowym pobycie u księstwa Lauderdale Phoebe z ulgą wróciła do Mortlake. Wprawdzie w Ham House ugoszczono ją po królewsku, zmęczył ją jednak blichtr i przepych pałacu oraz ostentacyjne obnoszenie się z bogactwem. Nie była

purytanką i potrafiła docenić piękno, ale zwiedzanie świeżo wyremontowanej luksusowej rezydencji w towarzystwie księżnej uznała za doświadczenie, które powinno się dozować z umiarem.

- Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby Lauderdale'owie popadli w tarapaty finansowe. Księżę nie umie niczego odmówić żonie, a ona nie potrafi poskromić upodobania do luksusu. Szkoda, że nie widziałaś Zielonego Pokoju. Nie uwierzyłabyś własnym oczom. Sufit i ściany do połowy pokryte są kopiami Caravaggia*, a wiesz przecież, co mu się udawało najlepiej, prawda?

- Tak, nagie amorki, nimfy i satyry - wyrecytowała Molly Overshott. - Czy poczułaś się zagrożona, kochanie?

* Michelangelo Merisi da Caravaggio (1573-1610) - malarz włoski, jeden z najwybitniejszych twórców wczesnego baroku; celował w realistycznie ujętych scenach o tematyce religijnej i mitologicznej, rodzajowych i martwej naturze (*przyp. red.*).

Phoebe objęła ze śmiechem przemiałą damę w średnim wieku, pachnącą anyżkiem i miętą, która z oddaniem pielęgnowała jej rodziców podczas zarazy, choć mogła za to zapłacić życiem. Twarz jej nosiła ślady po ospie, ale piwne oczy nie przestały spoglądać z miłością i zrozumieniem na podopieczną.

- Zagrożona? - powtórzyła Phoebe, obdarzając ją uściskiem. - Nie, nie przez satyrów.

- Opowiedz mi wszystko przy herbacie. Czy u księstwa podaje się ją w filiżankach ze szczerego złota?

- Tak. - Phoebe zachichotała i obie przeszły z holu do obwieszanej gobelinami jadalni, urządzonej w stonowanych beżach, brązach i błękitach. - Tylko nie myśl, że ich krytykuję. To idealna rezydencja dla Lauderdale'ów, okazała, imponująca i przestronna.

- Kto tam był? Księżę, jak rozumiem?

- Tak.

- Aha. Może jednak powinnam była z tobą pojechać.

Phoebe nie ukrywała zmartwień przed panią Overshott, która umiała słuchać jak nikt inny. Popijając herbatę i zagryzając nieelegancko maczanym biszkoptem, zaczęła jej

opowiadać o fiasku, jakim okazała się wizyta w Ham House, a także o obawie, że po tym wszystkim sir Leo powziął o niej jeszcze gorsze mniemanie.

- Gdybym nie była na niego taka wściekła, nigdy bym się nie zgodziła na pojedynek. Dobrze mi tak. Mściwe intencje obróciły się przeciwko mnie.

- Łatwo być mądrym po szkodzie. Sądząc po tym, co się wydarzyło w twoim pokoju, sir Leo musi darzyć cię uczuciem, mimo że nagle zaczął ci okazywać niepojęty chłód.

- Trudno mi w to uwierzyć - odparła Phoebe, udając, że przypatruje się wzorom na talerzyku. - Był rozpalony jak ja i pewnie nadal zły, a wiesz, jak zachowują się mężczyźni, gdy im przypadnie wygrana, prawda?

- Owszem. Może to tylko nadmiar energii... Nie sądzę, żeby człowiek pokroju sir Leo posunął się tak daleko, gdyby nie rościł sobie do ciebie jakichś praw. Rzeczywiście, ma opinię kobieciarza, ale nie uchybiłby czci panny będącej gościem jego chlebobawcy. Sądzę, że chciał ci dać do myślenia.

- Przecież po wszystkim nie mógł się doczekać, żeby mnie odtrącić.

- A następnie udzielił ci reprimendy, abyś wyciągnęła z niej wnioski. Nie robiłby tego, gdyby mu nie zależało. Musiałaś opacznie zrozumieć jego sygnały. Przede wszystkim po co szukał okazji do rozmowy? Dlaczego zgodził się na taki sposób rozwiązania waszych problemów? Całkiem nietypowy, trzeba przyznać, ale sprawy między wami zaszły za daleko, prawda? Wszystko wskazuje na to, że jest tobą zainteresowany bardziej, niż przypuszczasz.

- Sama już nie wiem. - Phoebe potrząsnęła głową. - Raczej wątpię.

- Prześpij się z tym problemem we własnym łóżku i zobaczmy, co dalej. Przyznam, że szybko doszłaś do siebie. Zapewne nie było to łatwe.

Phoebe ujęła jej dłoń i wtuliła w nią policzek.

- Musiałam - powiedziała. - Wszyscy na mnie patrzyli. Chce się dowiedzieć, skąd Elizabeth Tollemache wiedziała o moich lekcjach fechtunku. Przecież chciałam zachować to w tajemnicy.

- Może powinnaś zapytać jutro rano sir Luigiego?

- Nie, koniec z lekcjami, bo to strata czasu. Zamiast nich, będę brać lekcje tańca albo gry na lutni. Wciąż mam lutnię Tima.

Po rozmowie z Molly Overshott, która zwróciła uwagę na pewne szczegóły, Phoebe postanowiła raz jeszcze zastanowić się nad nimi, odrzuconymi wcześniej jako nieistotne. Choćby nad pocałunkiem sir Leo. A te pieszczoty, tak intymne... Choć do niczego nie doszło, mężczyzna jego klasy nie zachowałby się tak wobec honorowego gościa swego pana bez ważnej przyczyny. Molly miała rację. Czy musiał się posunąć tak daleko, zanim jej powiedział, że jest wolna? „Nie zamierzam zostać męczennikiem” - oznajmił, by zaraz potem zaprzeczyć jej oskarżeniu, że pocałował ją wiedziony ciekawością.

Powoli cała sprawa stawała się jasna. Sir Leo rozszyfrował jej intrygę i nie miał ochoty tańczyć, jak ona mu zagra. Odtąd to on będzie dyktować warunki. Mylnie go oceniła. Przewidział, jak zareaguje na jego pocałunki i pieszczoty, gotowa mu się oddać. Miał świadomość, że zostawia ją upokorzoną, a zarazem rozbudzoną i spragnioną. I że dając jej trochę czasu na ochłonięcie, skłoni ją do uległości. Mężczyzna taki jak on nie dopuści, by manipulowała nim kobieta. Jak mogła uważać, że jest inaczej?

Czy to znaczy, że sir Leo nadal jej pragnie?

Postanowiła wybadać to póki czas, bo nie wiadomo, kiedy książę zechce zabrać go na kolejną wyprawę do Szkocji. Myśl o rychłym powrocie do Ham House przerażała Phoebe, gdyby jednak doszło do przypadkowego spotkania, mogłoby się okazać, że nie wszystko stracone lub że powinna jak najszybciej zapomnieć o sir Leo. Wciąż urażona i niezdecydowana, jednego mogła być pewna: jeśli ona nie spróbuje go odnaleźć, on z pewnością nie będzie jej szukał.

Oprócz wielu innych tytułów księstwo Lauderdale posiadali prestiżowy tytuł Strażników Richmond Park, najstarszego królewskiego parku w Anglii. Z tego powodu Phoebe i Molly Overshott postanowiły następnego ranka wybrać się właśnie tam na przejażdżkę. Nie padło nawet jedno zdanie o tym, że inni również mogli wpaść na podobny pomysł, panie znały się jednak na tyle dobrze, że rozumiały się bez słów. Ubrane w aksamitne stroje do konnej jazdy i szerokie kapelusze z piórami, przecięły zakole Tamizy i wjechały do parku powiększonego znacznie i ogrodzonego przez

poprzedniego króla Karola I, który bez skrupułów zagarnął spore tereny, nie pytając ich właścicieli o zgodę i często nie wypłacając rekompensat.

Dwóch stajennych towarzyszyło im do otwartych bram i już wkrótce do obu dam dołączyli znajomi, inni zaś pozdrawiali je z powozów, co zwykle cieszyło Phoebe, lecz akurat nie dziś. Przeczesała wzrokiem zielone tereny w poszukiwaniu grupy z Ham House, zapomniała o bożym świecie i wielbiciele szybko zauważyli, że coś musiało wytrącić ją z równowagi. Gdy zaczęto szeptać, że odwiedziła Ham House w czasie, gdy przebywał tam książę, przyczyny jej dziwnego zachowania stały się jasne. Od skandalu, w który wplątany był przystojny sekretarz księcia, minęły dopiero trzy lata.

Niecierpliwość Phoebe została wreszcie wynagrodzona, gdyż w oddali dostrzegła sir Leo Hawkynne'a. Dosiadał jabłkowitego ogiera i jechał w otoczeniu przyjaciół. Na ten widok opuściła ją odwaga.

- Nie mogę - wyszeptała do Molly Overshott. - Nie jest sam. Jak to będzie wyglądało? Co ja mu powiem? Wracajmy do domu. Źle się czuję.

- To do ciebie niepodobne, kochanie.

- Wiem, ale nie jestem sobą.

Pani Overshott nigdy nie widziała sekretarza księcia Lauderdale'a, więc chętnie by go sobie obejrzała. Nalegania na nic by się jednak zdały, bo Phoebe skierowała się w stronę domu.

Następnego dnia pod pretekstem zaspokojenia ciekawości pani Overshott, która nie widziała Ham House po remoncie, Phoebe włożyła modny kostium do konnej jazdy, tym razem czarno-złoty, i obie panie udały się z wizytą do księżnej. Zakładały przy tym, że będzie szczęśliwa, mogąc się pochwalić piękną rezydencją przed kolejnym gościem.

Rzeczywiście, księżna ucieszyła się na ich widok, lecz przez chwilę nie wierzyła, że to jedyny powód rychłego powrotu Phoebe po niezbyt udanym niedawnym pobycie w pałacu. Widziała, jak światło znikło z jej oczu, gdy poinformowała ją, że książę i jego sekretarz wybrali się tego dnia na przejażdżkę z Elizabeth i Katherine.

- A także z ich bratem - dodała. - Niespodziewanie Thomas przyjechał wczoraj. Szkoda, że się minęliście. Wiem, że chciałby się z tobą zobaczyć. Ile to już lat?

Phoebe przypomniała sobie widziane poprzedniego dnia w parku sylwetki jeźdźców.

- Wygląda na to, że wciąż się mijamy. Ilekroć przyjeżdżam do Ham House, dowiaduję się, że Thomas właśnie wyjechał w takiej czy innej misji - zauważyła z żalem, po czym weszła za księżną do znajdującej się nad holem jadalni, gdzie białe sufity i błękitne kotary stanowiły wytchnienie dla oczu po nadmiernych ilościach złota.

Thomas Tollemache był synem księżnej z pierwszego małżeństwa. Najstarszy syn, wicehrabia Huntingtower, zarządzał rozległymi majątkami w dalekich krajach. Thomas, przeznaczony do kariery wojskowej, spędzał całe miesiące poza domem, a wizyta w posiadłości w czasie, gdy przebywał tam jego ojczym, była czymś niezwykle rzadkim.

- Życie na dworze przypomina cygańską egzystencję. Zresztą wiesz o tym, droga Phoebe - stwierdziła księżna, prowadząc panie przez amfiladę pokoi w północnym skrzydle. - Nawet sir Leo dostrzegł ostatnio potrzebę posiadania własnego domu. Podejrzewam, że zainspirowały go moje remonty. - Księżna zamilkła, czekając na pochwały pani Overshott, a gdy ich nie usłyszała, dodała: - Na jego renowację wydał fortunę.

Dla Phoebe było to coś nowego.

- Ma swój dom? Gdzie, milady?

- W Richmond, naprzeciwko was, po drugiej stronie parku. A teraz przejdziemy z bawialni do długiej galerii zbyt ciemnej jak na mój gust - oznajmiła księżna, odwracając się do Phoebe. - Są tam portrety przodków, głównie moich, oraz portret zmarłego króla Karola Pierwszego. Po jednej stronie znajduje się biblioteka księcia, a po tej jego apartamenty.

- Czy sir Leo zamieszka w swoim domu? - spytała od niechcienia Phoebe.

- Sądzę, że tak, ale będzie to zależało od jego zajęć u księcia. John dużo wymaga od podwładnych.

- Nie przypuszczałam, że stać go na... - Phoebe urwała, po czym dodała: - Myślałam, że...

- Myślałaś, że jest łowcą posagów jak wielu młodych mężczyzn w jego otoczeniu? Nie powiedział ci, że jego ojciec zmarł w zeszłym roku? Odziedziczył po nim majątek i

stał się bogaty. Pewnie by o tym wspomniał, gdybyście nie byli zbyt zajęci deptaniem sobie po palcach.

Księżna i pani Overshott wymieniły znaczące spojrzenia, po czym wszystkie trzy panie przeszły przez sypialnię i garderobę, a potem schodami w dół, na parter, gdzie księżna otworzyła drzwi do ładnego nowego pokoju z oknami wychodzącymi na wschód i zachód.

- A oto mój przyszły biały pokój, jeszcze tylko powieszę w nim białe zasłony - powiedziała z dumą. - Verrio* malował mi sufit. Boska Mądrość przewodząca Naukom Humanistycznym. Co o tym myślisz, droga Molly?

** Antonio Verrio (1636-1707) - malarz włoski, wprowadził barokowe malarstwo ścienne w Anglii (przyj. red.).*

Kolejne swawolne amorki na skłębionych obłokach, wśród rozłożystych kobiecych ciał, pomyślała Molly Overshott.

- Cudowne - wyszeptała. - Naprawdę wspaniałe.

- Też tak uważam. Usiądźmy na chwilę. Tutaj piszę listy, a tam - księżna wskazała na popiersie z brązu nad kominkiem - to moja kochana mama. Mówią o podobieństwie, ale ja go nie widzę.

Rzeczywiście, było pewne podobieństwo, ale matka miała gładse czoło i nie dorobiła się worów pod oczami, które u córki spowodowały liczne cięższe oraz nadmierne folgowanie apetytowi.

Phoebe usadowiła się na jednym z trzcinowych foteli i zwróciła się do księżnej:

- Jestem księstwu winna przeprosiny za to, co się wydarzyło. To było niewybaczalne. Goście tak się nie zachowują.

- Nie masz za co przepraszać, naprawdę. - Księżna wychyliła się do przodu i położyła pulchną dłoń na ręce Phoebe. - Nie można było się spodziewać, że rozwiązanie wasz konflikt w dwa dni. To niewykonalne.

- Nasza kłótnia odbywała się na oczach wszystkich, a tego przecież nikt z nas nie chciał, a już na pewno nie ja. Nie wiem, dlaczego wzięłam udział w tej niemądrej walce. Chyba puściły mi nerwy. Nie był to najlepszy sposób, aby się odegrać, prawda?

- Zapewne nie w przypadku mężczyzny takiego jak sir Leo. Spodziewałam się, że dojdzie do zgody, a nie jeszcze głębszego rozżewu. Przyznam, że poczułam się głęboko zawiedziona. Jeżeli szukałaś zemsty, to była strata czasu. Musiałaś przecież wiedzieć, że sir Leo wygra.

- Nie myślałam wtedy o rozwiązywaniu problemów, ale o zaspokojeniu urażonej dumy, wyładowaniu gniewu i nauczce, jaką chciałam dać temu zarozumialcowi.

- Ach, ta duma. My, kobiety, tak bardzo ją cenimy - zauważyła z westchnieniem księżna, spoglądając wymownie na panią Overshott. - Jeżeli masz do czynienia ze Szkotem, Phoebe, to możesz schować dumę do kieszeni. Oni jej mają tyle, że wystarczy dla wszystkich mieszkańców Wysp Brytyjskich. Wiem coś o tym, bo mam w rodzinie Szkotów.

Phoebe milczała tak długo, że pani Overshott poczuła się w obowiązku powiedzieć to, co nie chciało przejść przez usta jej przyjaciółce:

- Sądzę, milady, że przedtem Phoebe nie spotkała kogoś takiego jak sir Leo. Mężczyzny, który wciąż daje odczuć, że mu na niej niespecjalnie zależy. Do tej pory mogła swobodnie wybierać, przy czym żaden z wielbicieli nie był nastawiony krytycznie. Trudno powiedzieć, co czuje do niej sir Leo, skoro zachowuje się irytująco.

- Moja droga, gdyby sir Leo nie był bardzo zainteresowany Phoebe, nie traciłby tyle energii na coś tak niemądrego jak pojedynek z kobietą. On, podobnie jak my, żywił nadzieję, że Phoebe z klasą przyjmie przegraną.

- Nie mogłam tego zrobić - oświadczyła Phoebe - skoro okazywał mi wyłącznie dezaprobatę. Nie tak przecież zachowuje się mężczyzna wobec ukochanej. Dlatego nie odważyłam się zaryzykować. - Zażenowana, ściszyła głos do szeptu. - Bałam się - wyznała.

- Bałaś się sir Leo? Myślałaś, że będzie chciał cię utemperować?

- To ja chciałam go utemperować.

- W tej sytuacji rapiery nie były odpowiednią bronią. Nie powinnam była... - zawahała się księżna.

Pogrążona w zadumie Phoebe nie zwróciła na to uwagi, ale pani Overshott spojrzała pytająco na księżną i widocznie coś jej zaświtało, bo zaczęła ukradkiem się

rozglądać i już po chwili jej uwagę przykuła podłużna skrzynka z polerowanego drewna ze srebrnymi okuciami, leżąca pod biurkiem księżnej.

Na tyle długa, aby pomieścić rapiery.

TLR

Rozdział czwarty

Księżna wyraźnie grała na zwłokę. Zaprowadziła panie do gorzelni i do mleczarni, licząc na to, że jej rodzina wróci przed ich odjazdem. Phoebe i Molly Overshott zdążyły jednak oddalić się o milę od Ham House, gdy spotkały księcia Lauderdale'a i towarzyszące mu osoby.

Wracali z Richmond, gdzie oglądali najnowszy nabytek sir Leo Hawkynne'a.

Na widok Phoebe Thomas Tollemache uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Panna Laker! Nareszcie się spotkaliśmy. A już myślałem, że będę musiał wyciągać panią z jej kryjówki - zażartował.

Phoebe uśmiechnęła się i skłoniła głowę przed księciem.

- Wasza wysokość - przywitała się - co za miłe spotkanie. Paniczu Thomas, panny Betty i Katherine, sir Leo, pamiętacie, oczywiście, panią Overshott?

Pozostając w siodłach, wszyscy wymienili powitania. Phoebe nie zamierzała kontynuować sporu z sir Leo w obecności Tollemache'ów, nie było jej jednak łatwo się do niego uśmiechać równie szczerze jak do reszty towarzystwa. Przyłapała go na tym, że przygląda się jej z uznaniem, tak jej się przynajmniej wydawało. Jednak wspomnienie ich pocałunku wciąż było zbyt świeże, więc spojrzała przelotnie na jego ręce, po czym odwróciła wzrok. Podziw w jego oczach mieszał się z rozbawieniem, jakby odgadł przyczynę jej wizyty w Ham House. A przecież żywiąc do niego wrogość, powinna się trzymać z daleka, przynajmniej przez pewien czas. Wewnętrznie rozdarta, Phoebe zdecydowała się w końcu obdarzyć promiennym uśmiechem Thomasa, który miał do niej słabość.

Syn księżnej liczył dwadzieścia pięć lat i był bardzo postawny. Miał złotorude włosy związane barwną wstążką, wesołe niebieskie oczy i życzliwy, a zarazem przekorny uśmiech. Uradowany miłym spotkaniem, nie tracąc czasu, wyrębał bez ogródek, po żołniersku, co myśli o ostatniej wizycie Phoebe w Ham House.

- Chciała pani dać nauczkę naszemu nadętemu przyjacielowi! - zawołał. - Słusznie. Czas najwyższy, żeby wreszcie ktoś utarł mu nosa. Sam bym to zrobił, gdybym miał dosyć śmiałości. - Z zadowoleniem powiódł wzrokiem po śmiejącym się towarzystwie. -

Zresztą to już nieważne. Teraz będzie mogła pani ze mną poćwiczyć, bo zostało mi jeszcze kilka wolnych dni. Mam podjechać rano? Czy dla mnie też ubierze się pani po męsku?

- To dobry pomysł - poparł go książę. - Przy okazji zabierz ze sobą dziewczęta, bo z sir Leo mamy mnóstwo roboty. Panno Laker, wytrzyma pani jeszcze dzień z tym młokosem?

Phoebe ścisnęła mocniej wodze i uprzejmie skłamała:

- Oczywiście, z największą przyjemnością. Już nie możemy się doczekać z panią Overshott.

Towarzystwo rozstało się, pokrzykując i machając na pożegnanie. Phoebe, na pozór promienna, patrzyła ze ściśniętym sercem za odjeżdżającym sir Leo. W duchu żywiła nadzieję, że zawróci i przyzna, że ją zrozumiał. Jednak on był całkowicie pochłonięty rozmową z księciem.

- Niech to diabli! - zakląła pod nosem, gdy zyskała pewność, że jej nie usłyszą. - Ostatnie, o czym marzę, to pusta paplanina z tą trójką. Jesteś w stanie to znieść, kochana Molly?

- Przecież to tylko jeden dzień, moje dziecko. Poradzimy sobie.

Phoebe wyczuła, że Thomas palił się do spotkania, gdyż pojawienie się sir Leo u boku jego ojczyrna obudziło w nim ducha rywalizacji i zazdrość. Sir Leo nie tylko był od niego starszy, ale też przystojniejszy i lepiej zbudowany. Miał przy tym powodzenie u dam, o jakim Thomas mógł tylko pomarzyć. Trafiła mu się rzadka okazja wykluczenia rywala z gry. Z relacji sióstr musiał wywnioskować, że wybuch Phoebe był oznaką nienawiści do sir Leo, a nie wewnętrznych rozterek, o których nikt prócz niej nie miał pojęcia. Zaczęła się obawiać, że ten zapalczywy młokos może zerwać wątłą nić porozumienia, którą, być może, udało się jej nawiązać z sir Leo.

Niewiele się pomyliła. Następne dni upłynęły pod znakiem dyskomfortu i przebiegły inaczej, niż zaplanowała. Każde zaproszenie od Thomasa i jego sióstr oznaczało możliwość, że będzie z nimi również sir Leo, jednak ani razu się nie pojawił. Kiedy wraz z panią Overshott zostały zaproszone do Ham House na konkurs łuczniczy, w którym miał wziąć udział sir Leo, Phoebe była bliska rozpaczki. Cierpliwość została w

końcu nagrodzona, natomiast Thomas nie wydawał się uszczęśliwiony, że zmierzy się z rywalem przewyższającym go nie tylko w łucznictwie, ale niemal w każdej dziedzinie.

Tuż przed południem na strzelnicy dołączyła do nich księżna, jak zwykle tryskająca energią. Sir Leo niewiele mówił, a Phoebe sprawiała wrażenie przygaszonej, choć zarazem zadowolonej, że rodzina księżnej dała upust wrodzonym skłonnościom do współzawodnictwa. Zaczęły ją jednak irytować nieustanne kłótnie Thomasa przy podliczaniu punktów, w które próbował ją wciągnąć, nietaktowna zaborczość oraz protekcyjnalne porady, których nie potrzebowała.

Książę i księżna byli zanadto zajęci sobą, aby to zauważyć, ale chmurna mina sir Leo, który bez słowa wyjmował strzały z tarczy, świadczyła o tym, że był zdegustowany próbami zepsucia miłej zabawy.

Phoebe dała znak pani Overshott i obie odeszły na bok, aby przysiąść na jednej z kamiennych ławek w alejce za strzelnicą.

- Myślę, że czas zbierać się do odjazdu - powiedziała cicho.

- Za późno - odparła pani Overshott. - Zaczynają nakrywać do posiłku. Widzisz? Tam, na łąkach.

Rzeczywiście, na trawnikach ustawiono stoły i rozłożono na nich białe obrusy. Służba krążyła, niosąc wiaderka z lodem, cydr i wino w butelkach z książeczką pieczęcią, gigantyczne pasztety i szynki, bochny chleba i placki z owocami, dzbanki śmietany i sosów, sałatki oraz skorupiaki - a wszystko w ilościach wystarczających do wykarmienia pułku wojska. Liczba potraw byłaby taka sama bez względu na to, czy Lauderdale'owie mieli gości, czy nie. Phoebe zrozumiała, że nie uda im się wyjechać przed wieczorem.

Ku zdumieniu obu pań, sir Leo przestał je nagle omijać szerokim łukiem i usiadł obok Phoebe, uprzedzając Thomasa, który nie odważył się zaprotestować w obecności ojczyrna, jadł jednak z tak skwaszoną miną, jakby go złośliwie pozbawiono najsmaczniejszych kąsków. Phoebe była wdzięczna sir Leo za to, że ją uwolnił od krępujących umizgów Thomasa. W przeciwieństwie do młodego Tollemache'a nie okazywał wyższości, ale uprzejmie pomagał jej oraz pani Overshott nakładać potrawy na talerze, rozmawiając ze wszystkimi przy stole i przekomarzając się z

Tollemache'ównami, które kraśniały ze szczęścia. Zdaniem Phoebe, robił to wszystko celowo, aby pokazać synowi księżnej, jak należy zabawiać gości.

Postronnemu widzowi scena ta musiała się wydawać idylliczna - słońce, białe obrusy, lśniące srebra i szkła, barwne stroje i bogate menu, ożywione rozmowy, brzęk sztucców i ptasie trele. Trudniej byłoby zauważyć mowę zmysłów, gdy ramiona i ręce ocierały się o siebie przelotnie, a spojrzenia spotykały ukradkiem, wymieniając zaszyfrowane przesłania. Phoebe prawie nic nie jadła, przekonana, że sir Leo przeżywa to samo, co ona. Pomyślała, że nawet jeżeli nie uda im się porozmawiać na osobności, nie będzie to aż tak istotne, bo mało było takich rzeczy, których by się nie domyślił. Niewiele ze sobą rozmawiali, ale dzięki temu, że częściej zwracał się do pani Overshott niż do niej, mogła studiować ukradkiem jego twarz.

Gdy wreszcie wszyscy wstali od stołu, pani Overshott zapragnęła zwiedzić tereny za strzelnicą, gdzie labirynt obsadzanych żywopłotem alejek otaczał plac z antycznymi posągami i rzędami drzewek pomarańczowych, posadzonych w skrzynkach. Phoebe spróbowała odczytać napis na jednym z cokołów.

- Venus de Medici. Kim ona była, Molly? - zapytała, ale zorientowała się, że pani Overshott poszła dalej.

W cieniu drzew poczuła nagle falę ciepła i zanim zdążyła się odwrócić, czyjeś ramię objęło ją w talii i przyciągnęło do muskularnego ciała, które nie mogło należeć do Thomasa. Poczuła gorący oddech, kiedy sir Leo powiedział, przybliżając usta do jej skroni:

- To tylko przypomnienie, moja panno, żebyś się nie angażowała w bliższą znajomość z młodym lordem, bo on nie jest dla pani.

Sir Leo pieszczotliwie przesunął dłonią po twarzy Phoebe, a potem obrócił jej głowę tak, by zawładnąć ustami. Pocałunek był zmysłowy, niespieszny i, jak wyczuła Phoebe, podszyty umiejętnie maskowaną zazdrością. Po wcześniejszych uprzejmościach jego ostrzeżenie nie spodobało się Phoebe. Nie tego oczekiwała, skoro emocje sięgnęły zenitu, a nieporozumienia gromadziły się nad ich głowami niczym burzowe chmury.

Chwyła dłoń sir Leo, odrywając ją od swojej szyi.

- Proszę przestać! - rzuciła gniewnie, choć nikt nie mógł ich zobaczyć za wysokim żywopłotem. - Nie ma pan prawa tego robić i nie musi mi nic przypominać. Stracił pan to prawo w chwili, gdy mi oznajmił, że jestem wolna.

Jeszcze przed momentem miała ochotę błagać go o nieco więcej czasu, o wyrozumiałość i odrobinę czułości. Teraz jednak dzień zdawał się zmierzać ku katastrofie i Phoebe marzyła tylko o jednym: o powrocie do domu.

- Zatem nadal chce pani ze mną walczyć? - zapytał szeptem, trzymając ją mocno. - Dlaczego tak ci się spieszyło do Ham House, skoro ma pani z tego miejsca przykre wspomnienia? A może nie aż tak przykre, co?

Zaczęła się wrywać i w końcu jej się to udało.

- Dlaczego? Aby pokazać panu, jak mało mi zależy. A za ostrzeżenie, całkiem niepotrzebne, dziękuję. Jeśli będę chciała wziąć kochanka, to na pewno nie takiego młokosa jak Thomas, lecz i nie grubianina, który zaciągnie mnie za włosy do najbliższej jaskini. - Phoebe grzbietem dłoni otarła usta i odwróciła się do sir Leo wściekła, że znów źle ją zrozumiał. - Proszę mnie zostawić, jeśli łaska, bo chcę się zastanowić nad moim życiem. A panu radzę zejść mi z oczu. Całkiem chętnie zrobił to pan kilka dni temu, więc niech pan będzie konsekwentny. Co się stało, to się już nie odstanie.

- Panno Laker, skoro świetnie zna pani swoje uczucia i nad nimi panuje, to dlaczego pół godziny temu wyraźnie ucieszyła się pani z mojego towarzystwa? Chyba mi się to nie przywidziało, prawda?

- To nietrudno wytłumaczyć - odparła, dostrzegając pomiędzy drzewami sylwetkę pani Overshott. - Był pan tą lepszą z dwóch niezbyt zachęcających opcji, to wszystko.

Nie spojrzała na niego, żeby sprawdzić, jak zareaguje na kłamstwo, ale zbliżająca się pani Overshott wyraźnie widziała błysk jego uśmiech.

W odpowiedzi na ostrzeżenie sir Leo Phoebe natychmiast postanowiła włączyć się w popołudniowe plany Thomasa choćby po to, aby zademonstrować, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. Satysfakcja okazała się jednak mizerna, a ona była pod koniec dnia śmiertelnie zmęczona i znudzona blahymi rozmowami i kombinacjami z podliczaniem punktów, jak również wysłuchiwaniami żołnierskich przechwałek. Tymczasem pani Overshott szła z sir Leo, pogrążona w rozmowie trwającej, zdaniem Phoebe,

zdecydowanie za długo. Rozdrażnienie jej rosło z każdą chwilą, gdyż popołudnie było wyjątkowo parne i duszne. Fiszbiny stanika kłuły ją boleśnie pod pachami, buty obtarły jej pięty, a słomkowy kapelusz uciskał ją i drapał w czoło niby korona cierniowa.

- Myślę, że czas się pożegnać, drogi Thomasie - powiedziała. - Czy ktoś byłby tak uprzejmy i przywołał mój powóz?

Siostry Tollemache'ówny natychmiast zaprotestowały.

- Jeżeli pani odjedzie, to sir Leo też się pożegna - powiedziała z wyrzutem Katherine, jakby Phoebe miała obowiązek się tym przejmować. - Myślę, że on został tylko ze względu na panią. Był już w drodze do Richmond tego ranka, do nowego domu, ale zmienił zdanie. Nie widziała pani jeszcze tego domu, prawda?

- Nie. Podobno jest imponujący.

- O tak. Mama mu sporo doradzała - wtrąciła się Elizabeth, po czym dokonała kolejnej próby połączenia skłóconej pary, wołając do sir Leo, który wracał właśnie z czereśniowego sadu w towarzystwie pani Overshott. - Sir Leo! Panna Laker chciałaby obejrzeć pański dom. Czy będzie to możliwe?

- Ależ oczywiście! - odrzyknął, jakby wcześniej nosił się z tym zamiarem. - W każdej chwili.

Phoebe wstała z wiklinowego fotela i uśmiechnęła się promiennie do sióstr, mimo że znów zakłuły ją fiszbiny.

- W takim razie to ustalone - powiedziała. - Nie możemy dłużej nadużywać waszej gościnności. Molly, kochana, musimy się pożegnać z księciem i księżną. Wejdiesz ze mną do domu?

Phoebe po raz ostatni pomachała przez okno powozu, po czym opadłszy z westchnieniem ulgi na aksamitne poduszki, zerwała kapelusz z głowy i zrzuciła wilgotne buty.

- Co za upał - powiedziała z westchnieniem. - Mam dosyć dobrych manier, Molly. Nie mogę się doczekać, żeby zdjąć suknię. Fiszbiny omal mnie nie przedziurawiły. - Wsunęła rękę pod pachę. - Trzeba będzie coś tu zmienić - dodała, po czym wepchnęła w to miejsce koronkową chusteczkę.

- A w którą suknię chcesz się przebrać? - zapytała pani Overshott.

Pytanie wydało się Phoebe dosyć dziwne, ale łatwe.

- W tę starą, z niebieskiego batystu, bez fiszbinów. O czym rozmawialiście z sir Leo?

- Głównie o jego domu. Liczyłam na to, że pojedziemy przez Richmond, żeby go sobie przy okazji obejrzeć, ale jeżeli jesteś zbyt...

- Możemy tak zrobić - przerwała jej Phoebe. - Znadto nie nadłożymy drogi. Czy on ci powiedział, gdzie to jest?

- To jeden z domów nad rzeką, przy drodze do Petersham.

W pewnym punkcie droga się rozwidlała. Dolna odnoga to był stary trakt prowadzący wzdłuż brzegu Tamizy, natomiast górna, wytyczona stosunkowo niedawno i znacznie bardziej sucha, wiodła zboczem wzgórza i potem w dół, do Richmond. Stangret Sam skręcił w dolną drogę, a pani Overshott, widząc, że Phoebe zamknęła oczy, uznała, że lepiej milczeć.

Zbliżali się do pierwszych zabudowań w Richmond, gdy Phoebe poczuła, że powóz zwalnia i zatrzymuje się, uniosła więc powieki. Stali przed kutą żelazną bramą, za którą rozpościerał się wybrukowany dziedziniec, a w dalszej perspektywie wznosił się duży dom z czerwonej cegły.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała. - Czy to ten dom? Skąd Sam wiedział? - Zdezorientowana, wychyliła się przez okno i znalazła się oko w oko z mężczyzną, który bez jej wiedzy i zgody jechał za nimi konno przez całą drogę z Ham House, czyli z sir Leo Hawkynne'em.

Oparta całym ciężarem o drzwi, byłaby wypadła, kiedy je nagle otworzył. Złapał ją jednak i, wzięwszy na ręce, ruszył ku bramie, otwierającej się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a za nim posłusznie stapał jego koń.

- Nie! - krzyknęła. - Co pan robi! Molly... moje buty... proszę mnie w tej chwili postawić!

Nie stanął, mimo że się wrywała, wierzgała i okładała go pięściami. Pani Overshott nie pospieszyła do niej ani na pomoc, ani z butami. Brama zatrzasnęła się ze szczękiem, powóz odjechał, a piszcząca z wściekłości Phoebe została wniesiona przez

szeroki ganek do chłodnego holu, gdzie unosił się jeszcze zapach sosnowych trocin i farby.

- Witaj w Ferry House - powiedział sir Leo, stawiając Phoebe na wykładanej kafelkami posadzce. - Wprawdzie nie tak miała wyglądać pani pierwsza wizyta, ale jestem za tym, żeby w razie potrzeby korygować plany.

- To jakiś koszmar! - zaprotestowała Phoebe. - Co pan sobie wyobraża, sir Leo! - W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki, ale odgadł jej zamysł i zagroził jej drogę.

- Przecież to pani poddała ten pomysł w Ham House - zauważył.

- Nie mówiłam o porwaniu. Jestem tego pewna.

- To prawda, ale wspomniała pani o wleczeniu za włosy do jaskini, i to mnie natchnęło. Chciała się pani rozejrzeć i będzie miała teraz okazję. No i jak? Czy tu nie jest ładnie?

- Może sobie być najładniej w całym Richmond, lecz ja tego nie zamierzam sprawdzać. Chcę wracać do domu własnym powozem i z moją towarzyszką. Dlaczego pani Overshott mnie tu zostawiła? Czy ją też uprowadzono?

- Nie, pojechała po pani ubrania, bo zatrzyma się pani tu przez jakiś czas.

- Wykluczone! - krzyknęła, rozglądając się w panice za wyjściem. - Nawet gdybym musiała wracać do Mortlake piechotą w samych pończochach.

Służący, który otwierał im bramę i drzwi, zniknął. Phoebe nie zamierzała się poddać bez walki. Dotąd nikt nie zabrał jej siłą gdziekolwiek. Ogarnął ją lęk spowodowany tym, że będzie musiała przebywać z dala od rodzinnego domu, własnych czterech ścian i służby, a zwłaszcza Molly.

Z furją zwróciła się do sir Leo:

- Może dla pana to jest zabawne, lecz dla mnie na pewno nie. Nie może mnie pan tu trzymać. Niech pan otworzy drzwi i mnie wypuści, i to natychmiast!

Zanim zdążyła się zorientować, sir Leo chwycił ją za rękę, którymi wymachiwała jak szalona, i przyciągnął do siebie, tak że twarz wtuliła w jego koronkową kryzę. Jej wściekłe krzyki przerodziły się w lawinę przekleństw, których nie powinna znać dama, a

także wyzwisk i epitetów - zasłużonych i niezasłużonych. Człowiek mniejszego kalibru chyba nie przeżyłby ataku jej ostrego jak brzytwa języka.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że sir Leo coś do niej mówi.

- Tak, moja słodka... ćśś... masz rację, jestem taki, jak pani powiedziała, a nawet gorszy. W jednym pani przesadziła. Nigdy dotąd nie uprowadziłem kobiety siłą.

- Bo nie miałeś domu, wielki, wstrętny gburze!

- Rzeczywiście. Czekałem jednak na panią o wiele za długo i jeżeli to jedyna droga, niech tak będzie. Nie zniosę więcej żadnego wtrącania się rodziny z Ham House oraz ich prób, by nas popchnąć ku sobie lub rozdzielić. Za dużo mieliśmy ostatnio tych nonsensów.

- Rozmawiał pan z Molly Overshott, prawda? Tylko niech pan nie próbuje zaprzeczać. Razem podjęliście decyzję co do mojej przyszłości. Spiskowaliście przeciwko mnie. Osoba, której wierzyłam bez najmniejszych zastrzeżeń, nikczemnie mnie zdradziła. Jak mogła mi to zrobić? Niech pana diabli wezmą!

- Ćśś. Proszę mnie posłuchać, dobrze? Pani Overshott zgadza się ze mną, że powinniśmy się lepiej poznać, ale bez pomocy innych. Pani prawie nic o mnie nie wie i na pewno niczego się nie dowie, mając takich pomagierów jak do tej pory. Najwyższy czas załatwić to po mojemu.

- Nie chcę nic o panu wiedzieć i robić niczego pod pańskie dyktando. Co pan sobie wyobraża? Jak to będzie wyglądało? Niezameżna panna z dobrego domu sam na sam z mężczyzną, bez damy do towarzystwa, przyzwoitki czy choćby pokojówki? Przecież to pan był autorem zjadliwych uwag na temat mojego swobodnego trybu życia. Jakim sposobem pański obecny plan ma polepszyć moje perspektywy matrymonialne? Chce pan wywołać kolejny skandal? Do reszty zrujnować moją reputację? Ach tak, teraz wszystko zaczyna się układać w logiczną całość. Pewnie nie może się pan doczekać powrotu na królewski dwór, żeby wszystkim opowiedzieć, jak panna Laker...

- Dostyc tego!

Metoda, która wybrał, aby ją uciszyć, okazała się bardzo skuteczna. Mimo kłujących fiszbinów i obolałych nadgarstków Phoebe zatraciła się w czułym pocałunku.

Sir Leo miał jednak rację. Wiedziała o nim mało, a mężczyźni potrafią być w stosunku do kobiet dwulicowi. Przejrzał jej intrygę, to prawda, ale to żadne wytłumaczenie. Mężczyźni nie powinni rozbrajać tak łatwo kobiet, gdy do wyboru jest tak mało rodzajów broni. Jeżeli kobieta nie może użyć swojej cnoty jako oręża, to co jej pozostaje?

- Wysłucha mnie pani wreszcie, awanturnico? Pani Overshott będzie tu za godzinę z kufrem pełnym rzeczy, a także z pokojówką. Dostaną pokoje obok pani, a pani zostanie ze mną tak długo, aż będzie moja. Uprzedzam, nie chcę słyszeć żadnych protestów.

Na ustach czuła wciąż gorące piętno pocałunku; myśli zaczęły dryfować w niebezpieczną stronę.

- Co to znaczy, aż będę twoja? - wyszeptała. - Przecież mówił pan, że jestem wolna.

- Wiem, co mówiłem. - Puścił ją ostrożnie i podtrzymał za ramiona, kiedy się zachwiała. - Chodźmy do salonu. Musi pani usiąść.

Nagle Phoebe zaczęła odczuwać skutki ciężkiego dnia, morderczego upału i rozterek ducha. Jak dobrze było mieć ramię, na którym można się wesprzeć! Ściany salonu pokrywała barwna tapeta oraz rzeźbiona boazeria. Na wygodnym siedzisku pod wielkim witrażowym oknem leżały miękkie poduchy. Jedno z okiennych skrzydeł było otwarte na oścież. Phoebe usiadła przy nim i zaczęła wdychać płynący z ogrodu zapach kwiatów i skoszonej trawy. Rozległy ogród sprawiał wrażenie zadbanego. Niskie żywopłoty były starannie przystrzyżone, a nad grządkami barwnych kwiatów zwieszały się z ceglanych murów kaskady białych róż.

Kiedy się znowu odwróciła, na stoliku znajdowała się taca, a na niej czarki z chińskiej porcelany, wypełnione parującym jasnym płynem, oraz talerz z maleńkimi biszkoptami. Aromatyczny napój podziałał na nią uspokajająco. Nigdy dotąd nie była w tak kuriozalnej sytuacji i nie bardzo potrafiła się w niej znaleźć. Godząc się na ów nieszczęsny pojedynek, miała gotowe plany na wypadek przegranej. Teraz było zupełnie inaczej. To prawda, że chciała dowiedzieć się czegoś więcej o zamiarach sir Leo, nie spodziewała się jednak, że poinformuje ją o nich tak szybko i obcesowo. Chyba że znów źle go zrozumiała?

Odstawiła czarękę na tacę; dłonie jej drżały.

- Aż będę twoja? - powtórzyła. - Co pan chce dać mi do zrozumienia? Przywiózł pan mnie tutaj, żeby mnie pozbawić czci? Czy uprowadzając mnie, zanim wyraziłam zgodę na cokolwiek, chciał pan dowieść świata, jaka jestem łatwa?

- Łatwa... - mruknął, z biszkoptem w ustach. - Czy nie pozwoli mi pani zapomnieć, że użyłem niebacznie tego słowa? - Przysunął wyściełany taboret i ułożył na nim jej nogi. - Niesamowita z pani kobieta - stwierdził z podziwem. - Nawet kiedy umiera pani ze zmęczenia, nie przestaje ranić językiem ostrym jak brzytwa. Czy ostrzy go pani każdego ranka?

Nie odpowiedziała, tylko gniewnie potrząsnęła głową.

- No cóż... - zaczął, lokując się na drugim końcu siedziska pod oknem - powiedziałem że nie poślubię kobiety, której myśl o małżeństwie ze mną byłaby tak bardzo nie w smak jak pani. Molly Overshott, osoba mądra i miła, zwróciła mi uwagę, że jak na razie dałem pani mało okazji do zmiany zdania. A ponieważ wątpię, by udało mi się ściągnąć panią tutaj przed moim kolejnym wyjazdem z księciem, choćbym najuprzejmiej zapraszał, uznaliśmy zgodnie z panią Overshott, że nie ma chwili do stracenia. Poza tym syn księżnej nie zostawi pani w spokoju, a jej córki nie przestaną mnie adorować. Najlepiej więc zniknąć im z oczu.

- Ach, już rozumiem, dlaczego tak się panu spieszy. - Phoebe udała, że ją nagle olśniło. - Chce pan wcisnąć mnie w swój zapełniony program, żeby sprawdzić, czy nie zmienię zdania. Za ile dni, a może godzin musi pan wyjechać?

- Już pani na to odpowiedziałem, więc trzeba było słuchać, zamiast się wymądrzać. Powiedziałem „tyle czasu, ile będzie trzeba”. Nie ma po co tak się gorączkować. Nie zamierzam pani zgwałcić pod własnym dachem. Nie tknę pani palcem dopóty, dopóki mi nie powiesz, że mnie pragniesz. Obiecuję.

- Uhm. Wniosek z tego, że mogę tu zostać przez jakiś czas.

- Nie tylko może pani, ale zostanie. Wyjdzie pani za mnie i to będzie pani dom. Wymaga ostatniego szlif, mam jednak nadzieję, że mi w tym pomożesz.

- Ha! - prychnęła drwiąco Phoebe. - Dziękuję za herbatę, sir Leo. Może wpadnę któregoś dnia obejrzeć dom, kiedy pan lepiej się poczuje. - Wstała, szeleszcząc

spódnicami. - Te nagłe zmiany zdania mogą przyprawić o zawrót głowy. Przyznam, że z trudem za nimi nadążam. Ciekawe, co będzie następnym razem.

- Phoebe!

Westchnęła, ale nie ruszyła się z miejsca. Jej imię zabrzmiało w ustach sir Leo jak pieszczota. Wychwyciła też wyraźną nutę żalu, że nie potrafią się porozumieć. A przecież kiedy usiadł obok niej jako jej obrońca, poczuła się jak nigdy dotąd i mimo wcześniejszych protestów pomyślała, że trafić pod opiekę takiego mężczyzny to jak dopłynąć do bezpiecznej przystani po ciężkim sztormie.

- Phoebe - powtórzył sir Leo. - Podejdź do mnie. - Wyciągnął rękę i czekał na jakiś znak.

Zlustrowała go wzrokiem od stóp do głów, aż wreszcie spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich pożądanie, ale chyba również miłość. Po chwili był przy niej i, ująwszy jej dłonie, zajrzał jej w twarz.

- Phoebe, przecież nie chcę pani skrzywdzić. Dotąd nie bała się pani sprzeciwić konwenansom, podobnie jak ja. Na wypadek, gdyby pani się obawiała, to, co zamierzam, nie będzie pożywką dla plotek. Chcę tylko nadrobić stracony czas, odpokutować za kąśliwe uwagi, którymi tak dotkliwie zraniłem pani dumę. Jakże potem żałowałem niebaczących słów i wyrządzonych szkód! Teraz wszystko naprawię. Nie było takiej chwili, gdy nie widziałem w pani mojej żony. Oczekiwałem, podobnie jak pani, że walka w Ham House pomoże nam dojść do porozumienia, ale...

- Ale ja za bardzo cię nienawidziłam, żeby myśleć o jakimkolwiek porozumieniu - dodała Phoebe.

- Tak. A teraz? Da mi pani jeszcze jedną szansę? Czy, jeżeli będę chodził wokół pani na palcach, pozwolisz, żebym ci pokazał, jaka ze mnie dobra partia?

Próbowała stłumić uśmiech wywołany jego słowami, coś w nich jednak przykuło jej uwagę.

- Nie było takiej chwili? - zapytała. - Nigdy?

- Nigdy. Przysięgam. Chcę tylko pani. Proszę zapomnieć o tej nieszczęsnej uwadze. Byłem zły i podniecony. Jestem gotów zadowolić się przywiązaniem, jeżeli pani uważa, że to wszystko, na co zasługuję.

- Nie - powiedziała, odgarniając mu włosy z czoła.
- Nie?
- Nie. Myślę, że stać mnie na więcej niż przywiązanie, sir Leo, jeśli się trochę postaram.

Rozdział piąty

W miasteczku wielkości Richmond, które dopiero zaczynało się rozrastać po zburzeniu pięknego pałacu królewskiego, nie sposób było zachować w tajemnicy żadnych grzeszków. Dotyczyło to zwłaszcza nielicznej garstki mieszkających tam ziemian. Plotkowano głównie o nich i takich wydarzeniach z ich życia, jak śluby, narodziny, śmierć, choroby i skandale, o ile się zdarzały.

Nabyty przez sir Leo Hawkynne'a dom nad Tamizą znajdował się na wprost jedyne go promu, stąd też znany był wszystkim mieszkańcom Richmond, gdyż w trakcie przeprawy przez rzekę mieli czas i okazję obserwować codzienne postępy budowy. Gdy zdjęto rusztowania, ich oczom ukazał się budynek z opadającym ku rzece ogrodem, altaną, schodami i wieloma detalami świadczącymi o zamożności właściciela. Zawistnicy zaczęli szeptać, że cegły pochodziły z rozebranego pałacu. Ledwie przestano plotkować na ten temat, a już wzięto na języki kobietę, z którą sir Leo zamieszkał.

Jednak po kilku dniach dano spokój pannie Laker, ponieważ w niczym nie przypominała ówczesnych metres lubiących popisywać się przy każdej okazji. Niektórzy mówili, że ona i sir Leo wzięli ślub, co nie było prawdą, gdyż panna Laker, korzystając z okazji, postanowiła sprawdzić, jakim człowiekiem jest ktoś, kto nie dość, że ośmielił się porwać kobietę w biały dzień, to jeszcze uszło mu to na sucho.

Gdy wreszcie przestała wątpić w szczerść jego zamiarów, w duszę jej wstąpił spokój i rozwiały się lęki. Nie musieli już niczego przyspieszać; wystarczyło pozwolić, by doszło do tego, co nieuchronne. Phoebe zaczęła się śmiać, przyjmować żartobliwe docinki sir Leo bez chęci rewanżu. Pozwalała, by jej imponował, na czym mu bardzo zależało.

Dom zrobił na niej wrażenie już od pierwszej chwili. Zachwycała się widokiem na rzekę i okolice, białymi sufitami odbijającymi światło, przestronnymi pokojami, umeblowanymi ładnie i wygodnie, wystrojem pozbawionym przesady, bez jednego poślaczanego czy gołego amorka oraz tych wszystkich frędzli, złotych sznurów i chwostów. Polerowany dąb i sosna, stare dywany i solidne szkockie kredensy mogły się wydawać trochę niemodne, tworzyły jednak harmonijną całość z nowszymi nabytkami: jasnymi zasłonami oraz tapicerką. Piękny pokój Phoebe, z widokiem na rzekę i drogę do Twickenham, był dogodnie położony obok pokoju pani Overshott oraz garderoby i pokoiku dla Constance.

Po dwóch dniach pani Overshott oznajmiła, że wraca do Mortlake, aby pilnować domu pod nieobecność Phoebe. Zapowiedziała, że będzie ich regularnie odwiedzać i przywozić im wszystko, czego będą potrzebowali. Obiecała też przyjeżdżać od czasu do czasu na obiad oraz towarzyszyć Phoebe, jeśli będzie tego wymagała przyzwoitość. A co do reszty, nie wątpiła, że doskonale poradzą sobie sami.

Dopóki była z nimi, ich rozmowy obracały się wokół spraw ogólnych oraz domowych, jako że były to tematy bezpieczne. A choć zostało jeszcze parę rzeczy, których sir Leo chciałby się dowiedzieć od pani Overshott, oboje z Phoebe pożegnali ją z ulgą przemieszaną z poczuciem winy. Długo machali jej na pożegnanie, a potem zeszli przez ogrody nad rzekę, rozradowani jak dzieci uwolnione spod rodzicielskiej kurateli.

- Jeden więzień wypuszczony, ale drugi zatrzymany - powiedziała Phoebe. - Sir Leo, czy nadal jestem twoim więźniem?

- Tak, istotnie, panno Laker, choć mam nadzieję, że nie czujesz się uwięziona. A może tak?

- Ależ tak, i bardzo panu za to dziękuję. To urocze więzienie.

Sir Leo zaśmiał się cicho i otworzył drzwi do ośmiokątnej altanki usytuowanej na skraju trawnika, tuż nad skarpą wzmocnioną drewnianym szalunkiem. Na ławkach pod oknami leżały miękkie poduszki, a na stoliku pośrodku ustawiono srebrny dzbanek do kawy i proste porcelanowe kubki, pasujące do rustykalnego otoczenia, a także batystowej sukni Phoebe.

- Zechciałaby pani nalać kawę? O ile pamiętam, kiedy ostatnim razem bawiliśmy w podobnej, nadrzecznej okolicy, nie byłaś taka rozluźniona.

Marszcząc brwi, wręczyła mu jeden z kubków.

- Proszę przestać - powiedziała. - Nie chcę nawet o tym myśleć.

- Dlaczego, moja miła? Z powodu tych dwóch półgłówek czy dlatego, że ja tam byłem?

Pomyślała, że od tamtej pory wiele się zmieniło. Po tym, jak jej pospieszył z pomocą na wieży widokowej w ogrodach Ham House, jeszcze przez wiele godzin czuła jego dotyk. Nie ona pierwsza znalazła się pod jego urokiem, co do tego nie żywiła wątpliwości. Nigdy by go jednak nie zapytała, czy to prawda, co o nim mówiono, że damy wręcz zebrzą o jego względy. Jeżeli istotnie tak było, to potrafiła je zrozumieć.

- Ani to, ani to - powiedziała. - Zostałam znieważona, a pan był ostatnim człowiekiem na świecie, który miał coś takiego oglądać. Uważał pan, że sobie za dużo pozwalam i sama się proszę o kłopoty, ale tak nie było. Przyjaźniłam się z wieloma mężczyznami i kobietami z wyższych sfer i czułam się swobodnie w ich towarzystwie. Były oczywiście tańce, muzyka i... trochę flirtu. Nie robiliśmy jednak nic złego, może poza hałasem, ale o obrazie moralności nie mogło być mowy. Wszyscy wiedzieli, nawet te dwa półgłówki, że muszę mieć dom pełen ludzi, aby zwalczyć straszliwe uczucie pustki.

- Pustki, moja słodka? Po stracie rodziny?

- Miałam zaledwie dwanaście lat, gdy Londyn nawiedziła zaraza. Kiedy rodzice zachorowali, pani Overshott nie pozwoliła mnie i bratu zbliżyć się do nich. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało jej się przeżyć, ale pielęgnowała ich aż do końca. Słusznie mówił pan, że mnóstwo ludzi cierpiało podobnie jak my, lecz nie móc się nawet pożegnać... nie wiedzieć, gdzie grób... - Głos jej się załamał.

- Óóó, kochana. Proszę nic już nie mówić. - Sir Leo usiadł koło Phoebe i objął ją czule. - Rzeczywiście, to straszne. Byliście kochającą się rodziną?

- Mieliśmy cudownych rodziców - odrzekła, kładąc mu głowę na ramieniu. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy dopóty, dopóki ich nie straciłam. A potem, zaledwie rok po nich, Tima. Nasz nowy dom w Mortlake miał być bezpieczną przystanią, ale po

śmierci brata stał się nieustannym przypomnieniem, że powinnam zrobić coś ze swoim życiem. Tymczasem nie wiedziałam co. Przyjaciele przychodzili mnie pocieszać, była też pani Overshott, do której zawsze mogłam się zwrócić. Z czasem dom stał się miejscem spotkań towarzyskich, czymś w rodzaju elitarnej kawiarni.

- I wtedy ja wkroczyłam do akcji ze swoim niewyparzonym językiem.

Phoebe wyprostowała się, odgarnęła z czoła czarne loki i poprawiła suknię, przysłaniając dekolt.

- Nie pan pierwszy skrytykował mój dobór przyjaciół, ale pan pierwszy mnie zraniłeś. Proszę nie pytać dlaczego.

- Nie muszę pytać. Widziałem panią i wiem, że też widywałeś mnie w towarzystwie, a jednak nie udało mi się zbliżyć do pani. Przyczyniła się pani do tego, otaczając się wiankiem pasożytów.

- To byli moi przyjaciele - dobrzy i lojalni - zaprotestowała Phoebe.

- Tak długo, jak długo ich pani karmiła i poila za darmo.

- Potrzebowałam ich.

- Pani był potrzebny mężczyzna, moja miła, a mnie się bałaś.

- No cóż, krążyły o panu rozmaite opinie. Zapewne nadal krążą.

- Owszem. Jestem znany z tego, że mówię prawdę prosto w oczy i nadeptuję ludziom na odciski, zupełnie jak księżę Lauderdale. Wśród Szkotów znajdzie pani mało służalców i pochlebców. Proszę o tym pamiętać, skoro masz poślubić Szkota.

- Nie przypominam sobie, bym definitywnie wyraziła na to zgodę.

- To nieważne. Dostanę ją, moja panno, i to już niedługo. - Mówiąc to, sir Leo przysuwał się coraz bliżej, a Phoebe cofała się dopóty, dopóki nie zatrzymały jej okienne szyby. Zaczął muskać ustami jej wargi.

- Obiecał pan, że mnie nie tknie palcem - wyszeptała, zamykając oczy.

- Przecież tego nie robię, prawda?

Tym razem Phoebe nie planowała posunąć się dalej, chociaż w głębi duszy tego pragnęła. Zaczęła opowiadać mu o swoim życiu i utraconej rodzinie, co już samo w sobie było ewenementem.

Wcześniej wspomniała pani Overshott, że chciałyby grać na lutni, bo wciąż ma lutnię brata, przywieziono więc instrument do Richmond, wraz z sukniami oraz sekretarzykiem. Tego wieczoru sir Leo mógł jej udzielić pierwszej lekcji, choć nastroszenie szesnastu strun zajęło mu ponad godzinę.

Phoebe opanowała już biegle grę na harfie i szpincie, lutnia była jednak znacznie trudniejszym instrumentem, więc po jakimś czasie sir Leo wziął z jej rąk lutnię i zaczął sobie akompaniować do słów przejmującej pieśni Dowlanda*. Gdy oderwał wzrok od strun, zobaczył, że Phoebe ukryła twarz w dłoniach, wstrząsana szlochem.

* John Dowland (1562-1626) - angielski kompozytor, wirtuoz lutni (*przyp. tłum.*).

Odłożył instrument i, wzięwszy ją znów w objęcia, zaczął łagodnie kołysać.

- O co chodzi? - wyszeptał. - Przypomniała pani sobie brata?

Skinęła głową, niezdolna wykrztusić słowa.

- Powinienem był się domyślić. Każdy chłopak musi ją kiedyś zaśpiewać.

- „Przyjdź znów, bo słodka miłość przyzywa” - wyszeptała, zastanawiając się, czy wybrał umyślnie tę pieśń, aby dać jej do zrozumienia, iż czeka tylko na jej zaproszenie.

Siedział na tyle blisko, że mógł bez trudu powtórzyć intymne pieśczoły, jakimi ją obdarzył za jej przyzwoleniem, choć bez oficjalnej zgody. A teraz, kiedy dzielące ich mury zaczęły pękać, czekał na jej znak, lecz ona nie wiedziała, jak to zrobić. Biegła w sztuce flirtu, nigdy nie posunęła się dalej i w swej niewinności pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej od jedyne go mężczyzny, jakiego chciała mieć za nauczyciela. Wszystko zdawało się im sprzyjać: lutnia jej brata, śpiewana przez niego miłosna pieśń, mężczyzna, który trzymał ją w ramionach, i wspomnienia jakby mniej bolesne, bardziej za to słodkie i piękne... Ten jeden spokojny letni wieczór wystarczył, by ugasić jej gniew. Czy coś ją jeszcze powstrzymywało, oprócz niewiedzy, jak uczynić ten decydujący krok? Przybliżyła rękę sir Leo do ust i zaczęła ją delikatnie całować.

- Czy w walce na rapiery okazałam się równie słaba jak w grze na lutni? - zapytała nieśmiało.

- Och, dziewczyno! Chcesz znać prawdę?

- Nie - odparła - jeżeli było aż tak źle.

- Chłopięcy strój powinien być dla mnie ostrzeżeniem. Postąpiłaś nie fair, zakładając go, bo wyglądałaś w nim tak ponętnie, że nie mogłem się skoncentrować.

- Dobrze ci tak. Nie miałam innej przewagi.

- Cóż, po trzech latach ćwiczeń nie nabrałaś sił ani kondycji dorosłego mężczyzny, prawda, moja słodka? Nie myślisz też jak szermierz. Nie mam racji? - Ostatnie słowa wymruczał w jej włosy, rozplątując sznurówki stanika z taką wprawą, jakby dobrze znał tajniki damskich strojów.

Miała na sobie niebieską suknię bez fiszbinów, łatwo więc uwolnił jej biust z krepujących więzów, mogła więc odetchnąć pełną piersią, i było to podniecające. Gdy sir Leo wsunął dłoń pod rozsznurowany stanik i dotknął cieniutkiej koszulki, było za późno, by go powstrzymać.

Ukryła twarz na jego ramieniu i drżała, gdy nakrył dłonią jej pierś.

- Tego właśnie pragnąłem, moja miła - wyjął, pieszcząc jej sutek. Głos jego zabrzmiał ochryple od tłumionego pożądania. - Chciałem wyciągnąć do ciebie rękę, a nie broń. Twój wygląd doprowadził mnie do szału. Chciałem cię zmęczyć miłością, a nie walką na miecze. Wyobrażałem sobie twoje piękne ciało i byłem bliski oblędu.

- Odciąłeś mi guzik.

- Owszem. Zrobiłem to, żeby nie rozciąć ci koszuli, choć mogłem.

- Brutal.

- Mogłem być brutalny. Z tobą byłoby to całkiem łatwe. Mogłem cię po walce rzucić na łóżko i wziąć to, co mi oferowałaś.

- Niczego nie oferowałam...

- Nie powiedziałaś też „nie”.

- Przestań, Leo.

- Co? To... czy to? - Zręcznie wyłuskał z rozchylonej koszulki jej piersi; nagie ciało zaśniło w świetle wschodzących gwiazd. - Och, Phoebe! Wtedy niewiele brakowało, a straciłabyś wszystko oprócz swojego zapiekłego gniewu. Takiej cię nie chciałem - tylko taką jak teraz. Uległa i drżąca z pragnienia, a nie na wpół żywą po walce, złą i przerażoną.

Odwróciła głowę i przez na wpół przymknięte powieki patrzyła, jak wodzi dłonią po jednej piersi, a potem po drugiej, jak drażni ustami ich czubki, śląc elektryzujące dreszcze do najdalszych zakątków jej ciała. To prawda, że się go bała - jego ciętego języka, pozycji i doświadczeń z kobietami bardziej dojrzałymi i światowymi niż ona. Już wtedy w nim zakochana, nie dopuszczała go do serca; pragnęła go i nienawidziła zarazem, dotknięta do żywego lekceważeniem, jakie jej okazywał. Płakała przez niego, ale nie miała innych środków rewanżu, jak tylko pokazać mu, jak bardzo się mylił.

- Czy już wystarczająco długo kazałaś mi czekać? - zapytał. - Pokazać ci, co straciłaś?

- Chciałam się upewnić, Leo. Musiałam, bo mam za dużo do stracenia.

- Kobieta zawsze ma więcej do stracenia, a ja źle to wszystko rozegrałem. Dobrze zrobiłaś, odtrącając mnie. Nie przestałem cię pragnąć i gdybym mógł, poszedłbym ci to powiedzieć, ryzykując, że zatrząsniesz mi drzwi przed nosem. Teraz mam cię wreszcie u siebie, moja słodka Phoebe, i nie pozwolę ci odejść. Chcę ci pokazać, jak bardzo cię kocham. Zgódź się. Nie będziesz żałować. Mogę ci to przysiąc.

Od nieustannej wędrówki jego nienasyconej dłoni po jej ciele mąciło jej się w głowie. Coraz bardziej osłabła i spragniona, poddawała się ulegle pieścizotom.

- W jednym się nie pomyliłeś, Leo - zaczęła. - Byłabym dla ciebie łatwą zdobyczą. Padłabym ci do stóp na twoje skinienie. Byłeś jedynym mężczyzną, któremu mogłabym się oddać. Nawet wtedy, gdy planowałam rewanż. Weź mnie do łóżka i pokaż mi, co powinnam robić. Naucz mnie wszystkiego, co umiesz. - Ukryła rozpaloną twarz na jego piersi, a gdy uniosła głowę, jego usta i dłonie doprowadziły ją na skraj rozkoszy. - „Przyjdź znów, bo słodka miłość przyzywa” - powtórzyła szeptem słowa pieśni.

- Naprawdę? - zapytał z uśmiechem, biorąc ją na rękę. - Nie mógłbym się oprzeć zaproszeniu kobiety, którą kocham od dawna.

Gdy noc rozpostarła nad nimi swoje skrzydła, Leo przeprowadził Phoebe ostrożnie przez wszystkie stadia miłości, odkrywając przed nią tajniki jej ciała, o których nie miała pojęcia. Nie musiała go zapewniać o swojej niewinności, bo widział, że wszystko to było dla niej objawieniem - miejsca do całowania, własne reakcje, podziw dla jego męskości i namiętność rosnąca szybciej, niż się spodziewał.

Nie mógł jednak wiedzieć, jak ogromnie podniecała ją świadomość, że jest wreszcie kochana przez mężczyznę, który wcześniej okazywał jej lekceważenie. Zdobyć sir Leo stanowiło przecież zwińczenie jej marzeń. Teraz, kiedy poznała już przyczyny jego dawnej niechęci i widziała starania, uznała, że zasłużył na jej szacunek, ufność i oddanie. Był bowiem prawdziwym mężczyzną, a nie jakimś niedorosłym chłystkiem.

Gdy wreszcie nadszedł ten wielki moment, Phoebe podarowała mu siebie niby najcenniejszy skarb, z którego ofiarowaniem tak długo zwlekała. Czymś najnaturalniejszym na świecie wydawało jej się być blisko Leo, mieć go w sobie, tak idealnie pasującego, zmuszającego ją do jęków i okrzyków rozkoszy. Nikt jej nie wyjawiał, że może czegoś takiego się spodziewać. Wspaniałego męskiego ciała przygniatającego ją swoim ciężarem, pocałunków, od których kręciło jej się w głowie, słów zbyt intymnych, by można je było wymówić w świetle dnia, westchnień, uśmiechów i burzy zmysłów...

- Chcę, żeby ci było dobrze, moja słodka - wyszeptał. - Żebyś bez wstydu i niechęci wspominała ten pierwszy raz, kiedy mi się oddałaś z miłości. Czy mogę już mówić o miłości, czy będę musiał zrobić coś jeszcze, żeby na nią zasłużyć?

- Zawsze cię... kochałam, Leo. Poczułam się urażona tylko dlatego, że mi tak bardzo zależało na twojej opinii. Wybacz mi. Kochałam cię i nienawidziłam. Ach... Leo! Co... się... dzieje...

Było coś jeszcze, o czym nikt jej nie powiedział, poza paroma słowami, zbyt niejasnymi, by mogła w pełni pojąć ich sens. Szepty przerodziły się w nieartykułowane okrzyki, gdy wynosił ją na szczyt rozkoszy, nagradzając zdyszczanymi pocałunkami za jej odwagę.

- Nie odchodź - wyszeptała, gdy jego chrapliwy oddech się uspokajał. - Zostań tu, ukochany.

Podpierając się na łokciu, zajął jej w oczy - ciemne i lśniące, o wilgotnych rzęsach.

- Sprawilem ci ból, moja słodka? Czy to łyzy?

- Nie sprawiłeś mi bólu. Czy inne kobiety płaczą przy takich okazjach? Tego nie wiem, ale wiem jedno, że nie będę już taka sama jak przed tym. Nareszcie zrozumiałam, co to znaczy stać się jednością.

- Czekałem na to długo, najdroższa - powiedział, ocierając jej pojedynczą łzę. - Jesteś teraz moja. Całkowicie i bez reszty. Wyjdiesz za mnie, Phoebe Laker?

- Wyjdę za ciebie, Leo Hawkynne. Dziękuję ci, Kochany.

Wziął ją w objęcia i, odgarnąwszy jej z czoła niesforne loki, ucałował jej wilgotną skroń.

- Co za kobieta! - wyszeptał. - Będzie bronić naszych młodych jak lwica.

Nazajutrz sir Leo zaproponował wycieczkę do Londynu.

- Kazałem przygotować barkę - powiedział. - Jeżeli wyruszymy wczesnym rankiem, to dotrzemy na miejsce koło południa.

- Chcesz odwiedzić dwór króla?

- Nie, Królewską Giełdę, miejsce, gdzie znajdował się wasz sklep. Wprawdzie po pożarze wszystko zostało przebudowane...

- Sklep przeszedł w inne ręce i nie wiem, kto jest nowym właścicielem.

- Nieważne. Pomyślałem, że taka pielgrzymka pomoże ci zamknąć pewien rozdział z przeszłości.

- Może i tak. Kto wie?

Po upalnej nocy nastał skwarny dzień; powietrze było ciężkie jak przed burzą. Od południowego zachodu wiał silny wiatr i fale uderzały o barkę, gdy wioślarze pokonywali zakręty na Tamizie. Niesieni falą odpływu, na długo przed południem dotarli do Chelsea, gdzie domy po obu brzegach rzeki zasłoniły ich przed coraz silniejszym wiatrem.

Wysiedli przy moście i resztę drogi przebyli dorożką, Phoebe chciała bowiem obejrzeć przywrócone do życia fragmenty miasta i porównać je ze swymi wspomnieniami sprzed dziesięciu lat. Od tamtej pory wiele się zmieniło i w miejscu dawnych drewnianych domów wznosiły się okazałe kamienice i rezydencje. Kamienne budynki Królewskiej Giełdy ucierpiały mniej niż reszta i zostały szybko odbudowane według starych planów, z dwoma rzędami sklepów na dwóch kondygnacjach wokół arkadowego dzie-

dzińca, na którym panował teraz ogromny ścisk. Przepychając się przez tłum, dotarli do pierzei zajmowanej przez sklepy jubilerskie, a tam sir Leo pociągnął zdumioną Phoebe w stronę młodego czeladnika wykrzykującego na cały głos:

- Laker! Najświetniejsze złota i srebra na wasze stoły, kolczyki dla waszych pań. Tędy, panowie!

Zimny dreszcz przebiegł Phoebe po plecach; otuliła się szczelniej kaszmirowym szalem. Wstrząsnęło nią odkrycie, że ktoś posługuje się nazwiskiem jej ojca, choć wiedziała, że nie było to prawnie zakazane. Gdy przystanęli przed wystawą sreber stołowych, wzruszenie odebrało jej mowę. Pomimo przeprowadzonego remontu było to miejsce, w którym pracował jej ojciec, a później zginął brat.

Odgadując, w jakim stanie ducha jest ukochana, sir Leo odczekał i dopiero gdy się uspokoiła, wprowadził ją do środka, gdzie przy stolikach siedzieli elegancko ubrani klienci, a wokół nich uwijali się młodzi sprzedawcy - zupełnie jak za czasów ojca Phoebe. W porównaniu z panującym na zewnątrz zgiełkiem było dosyć ciemno i cicho. Długi drewniany kontuar oddzielał sklep od półek, na których lśniły złote i srebrne półmiski, dzbanki i kielichy, pierścienie, perły i wisiory, oznaki oraz paradne łańcuchy, bransolety, szpilki do kapeluszy i maleńkie pojemniczki na pachnidła. Za kontuarem siedział starszy mężczyzna w okularach i ważył monety na precyzyjnej mosiężnej wadze.

- Mistrz Laker? - zapytał sir Leo, chociaż wiedział, że to nie on.

Skupiona twarz złotnika rozjaśniła się na widok niewątpliwie zamożnego klienta oraz towarzyszącej mu damy. Odsunął natychmiast wagę i odparł:

- Nie, milordzie. Laker to nazwisko poprzedniego właściciela. Zatrzymałem je, ponieważ było powszechnie znane. Po pożarze sprzedawano sklepy, których właścicieli nie udało się odnaleźć. Kupiłem więc to miejsce i zacząłem od zera. A pańska dama? - Spojrzał z uśmiechem na Phoebe. - Szuka może czegoś szczególnego?

- Ta dama to panna Phoebe Laker - wyjaśnił sir Leo. - Córka mistrza Adolphusa Lakera, bankiera i złotnika, którego nazwisko pan sobie pożyczył. Jestem sir Leo Hawkynne, osobisty sekretarz jego wysokości księcia Lauderdale'a. A jak się pan nazywa?

Mężczyzna podniósł się powoli ze stołka. W jego ciemnych oczach odmalowało się najwyższe zdumienie. Wyszedł zza kontuaru, zabierając ze sobą stołek, i usłużnym gestem podsunął go Phoebe.

- Zechce pani usiąść, panno Laker. Czekałem na to od... od kiedy? Odkąd przyszedłem tu po raz pierwszy, żeby zobaczyć, jak powstają nowe sklepy. Milordzie, mogę panu zaproponować kieliszek mojego najlepszego...?

- Nie, dziękuję, panie...

- Addiman. Samuel Addiman, do usług. - Zaczął z cmokać z niedowierzaniem, kręcąc głową. - To nie do wiary, milordzie.

- Co takiego, panie Addiman? Na co pan czekał? - Sir Leo oparł się o kontuar, równie zaintrygowany jak Phoebe.

- Sprawa przedstawia się tak... - Addiman dyskretnie omiół wzrokiem sklep, po czym zwrócił się do Phoebe: - Miałem nadzieję, że któregoś dnia zjawi się ktoś z rodziny Lakerów, bo choć parter i piwnice uległy zniszczeniu, kiedy zawalił się strop wraz z górnym piętrzem... - Urwał, widząc, że sir Leo położył opiekuńczym gestem dłoń na ramieniu Phoebe. - Zatem takie sklepy jak nasz - podjął pan Addiman - ucierpiały znacznie mniej niż sprzedające, na przykład, materiały i futra. Kiedy zaczęto uprzętać gruz, odkryto nisze, w których ogień nie dokonał aż tak wielkiego spustoszenia.

- A co ocalało? Jakies papiery? Rachunki? Księgi zamówień?

- Nie, panno Laker. Wszystkie dokumenty spłonęły. Zostało tylko kilka pustych sejfów, porzuconych przez właściciela jako zbyt ciężkie, i jeszcze coś, co musiał upuścić. - Addiman wrócił za ladę i zniknął na zapleczu, by się po chwili pojawić z masywną dębową skrzynką, którą postawił na kontuarze, sapiąc z wysiłku.

Z pęku kluczy przy pasku wybrał jeden i po serii skomplikowanych obrotów podniósł wieko, po czym wyjął mały pakiecik owinięty w płótno i obwiązany sznurkiem, opatrzony etykietką, której treść im odczytał:

- „Znalezione w sklepie, październik 1666. Wyrób niedokończony”. - Poprawił okulary i podał pakiet Phoebe. - Robotnicy przekazali to mnie - powiedział.

- Co za niebywała uczciwość z ich strony. Oczywiście, otrzymali nagrodę. Gdyby pani zechciała to otworzyć, panno Laker, może udałoby się pani rzucić pewne światło na tę tajemnicę.

Phoebe zaczęła dygotać jak w febrze. Przeczucie mówiło jej, że za chwilę stanie się coś wielkiej wagi. Gdy rozwinęła ostatnią warstwę płótna, oczom jej ukazała się lśniąca bryłka czystego złota w kształcie serca, wielkości wróblego jajeczka. U góry wprawiono delikatne kółko; brakowało tylko łańcuszka.

Gdy wzięła wisiołek do ręki, zaślnął brylant wprawiony po jednej stronie. Po drugiej wygrawerowano imię Phoebe, a u dołu serduszka widniał księżyc w pełni, pokryty białą emalią, otoczony wianuszkami perełek.

- Musiał być przeznaczony dla pani, panno Laker - powiedział Addiman. - Podobno Phoebe była grecką boginią. Nie wie pani, czyje to dzieło?

Głos uwiązał jej w gardle. Podsunęła serduszko sir Leo, żeby mógł je lepiej obejrzeć.

- Brat panny Laker prowadził sklep po śmierci ich ojca - wyjaśnił sir Leo. - Miał zaledwie osiemnaście lat, ale potrafił utrzymać sklep i pracownię i wybudować dom w Mortlake. To był nadzwyczajny młody człowiek.

- Tak, zapewne po to wrócił tamtej nocy - wyszeptała Phoebe. - Powiedział, że musi pojechać po coś, co przeznaczył dla mnie i co już prawie skończył. Uczył się złotnictwa od starszego mistrza.

Addiman ledwie słuchał, oglądając w skupieniu misterny wyrób.

- Brak dwóch perełek - powiedział. - Przydałby się też łańcuszek. Dam go państwu w prezencie. Gdyby państwo mogli chwilę poczekać, znajdę dwie perełki i od razu je wstawię. Piękny prezent od brata dla siostry. Co za dzień!

- Wolę, żeby zostało tak, jak jest, niedokończone - orzekła Phoebe. - Powinnam panu zapłacić. To bardzo cenna rzecz, panie Addiman.

- Nie chcę o tym słyszeć, panno Laker. Nigdy bym go nie sprzedał, a szansa na to, że dama nazwiskiem Phoebe Laker zgłosi się po to, była może jedna na milion. To, co pani opowiedziała, pasuje jak ulał. Proszę bardzo, a oto łańcuszek, o którym myślałem. Idealny, prawda? - Łańcuszek był bardzo kosztowny, z misternie plecionymi ogniwiemi.

Addiman nawlókł nań serduszko i oddał je Phoebe ze słowami: - Proszę je wziąć. Nareszcie znalazło prawowitego właściciela. Tajemnica została wyjaśniona.

Phoebe drżały dłonie, gdy brała serduszko, by je zawinąć w płótno. Potem, w spontanicznym odruchu, wychyliła się i ucałowała Addimana w oba pomarszczone policzki.

- Dziękuję, mistrzu - wyszeptała. - Zawdzięczam panu znacznie więcej niż tylko wyjaśnienie tajemnicy.

Po odwiedzeniu Królewskiej Giełdy byliby się może wybrali na zakupy lub obejrzeli menażerię przy Tower, niebo zasnuły jednak ołowiane chmury i w oddali zaczęło grzmieć. Cel wizyty, choć wcześniej nie do końca sprecyzowany, został osiągnięty i oboje zgodnie orzekli, że trzeba jak najprędzej wracać do domu.

Podróż w górę Tamizy okazała się trudniejsza niż ta do Londynu, bo przyływ jeszcze się nie zaczął i wioślarze musieli walczyć zarówno z wiatrem, jak i prądem. Skuszeni obietnicą dodatkowej zapłaty, zgodzili się jednak popłynąć aż do Ferry House, mimo że ulewa zaczęła się jeszcze przed Richmond i wszelki ruch na rzece zamarł.

Burza rozszalała się na dobre, wyładowując furię na biegnącej ku domowi parze - przemoczonej do suchej nitki i przewianej na wylot. Ledwie Phoebe i sir Leo przekroczyli próg, służba rzuciła się ich rozbierać. Po zdjęciu mokrych ubrań wytarto ich i owinięto w koce, a pod nogi podłożono rozgrzane cegły. Na stole pojawił się ciepły posiłek i szklaneczki z gorącym ponczem. Kiedy trochę odtajali, a Phoebe przestała szcząkać zębami na tyle, że mogła mówić, odprawiła uwijającą się służbę i pozostali tylko we dwoje.

Siedząc w ciepłym szlafroku przy trzaskającym ogniu na kominku, Phoebe słuchała wycia wiatru za oknem i bębnienia deszczu o szyby. Wydarzenia minionego dnia przesuwwały jej się przed oczami jak sen, z którego jeszcze się nie obudziła. Na stoliku, na wyciągnięcie ręki, leżał pakiecik zawierający bezcenny klejnot. Nie będzie to tylko pamiątka braterskiej miłości, ale coś jeszcze, o znaczeniu równie symbolicznym. Decyzję taką podjęła w drodze z Londynu do Richmond.

Sir Leo rozsiadł się na sofie, z ręką wyciągniętą wzdłuż oparcia, jakby czekał, by objąć Phoebe, jeśli tylko będzie miała ochotę. Związany paskiem szlafrok odsłaniał spory trójkąt jego nagiego torsu, porośniętego ciemnymi włoskami. Phoebe co i rusz zerkała

ukradkiem w tamtą stronę, po czym odwracała wzrok. Próbowała dobrać właściwe słowa, ale gdy wszystkie wydały jej się nieadekwatne, przyszło jej na myśl, że czyny mogą przemówić dobitniej od słów.

Sięgnęła po lniane zawiniątko, podniosła się z trudem i przytrzymując koce, podeszła do sofy.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała, siadając obok sir Leo.

Słowa jej zagłuszył przetaczający się po niebie grzmot. Pokój rozjaśniły oślepiające błyskawice. Krzyknęła ze strachu, a ukochany objął ją i mocno przytulił.

- A co to takiego, moja słodka? - zapytał i w tym momencie znów zagrzmiało.

Starannie przemyślana deklaracja Phoebe miała być bardzo wzruszającym momentem. Niestety, nie wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Burza okazała się zbyt wielką konkurencją, a błyskawice zepchnęły wszystko na dalszy plan. Obejmując sir Leo za szyję, zobaczyła błysk rozbawienia w jego oczach i uśmiechnięte usta, gotowe powtórzyć pytanie.

- Nieważne - mruknęła. - Pocałuj mnie.

Nawet jeżeli jej prośba nie przebiła się przez kakofonię dźwięków, to jej ramiona stanowiły wystarczająco czytelne zaproszenie. W jednej chwili jego usta spotkały się z jej wargami, stęsknione i wygłodzone po całodziennym poście. Tym razem ich miłość była na tyle spontaniczna i namiętna, że pominieli nawet wstępną fazę. Deszcz, wiatr i grzmoty zagłuszały westchnienia i jęki. Czy można im się dziwić, że zapomnieli o wygodnym łóżku, skoro mieli za sobą dzień tak pod każdym względem wyjątkowy? Nagły wybuch pożądania Phoebe podzielał jak iskra. Kochali się w nierzeczywistej scenerii, przy grzmotach piorunów i w blasku ognia oraz błyskawic, po których zapadała ciemność.

Phoebe otworzyła się przed Leo jak kwiat do słońca.

Ogarnięci miłosnym szałem, którego siła zdumiała ich samych, zapomnieli o bożym świecie.

Gdy później dochodzili powoli do siebie, otuleni szlafrokiem sir Leo, a burza cichła w oddali, Phoebe przypominała sobie o tym, co przyniosła, i zaczęła szukać pomiędzy fałdami koca.

- O co chodzi, najdroższa? - wymruczał Leo.

- Chciałam ci coś dać.

- Myślałam, że już dałaś.

- Coś jeszcze, lecz nie wiem, gdzie to jest.

Musnął palcami jej czoło, odgarniając włosy, po czym nakrył ją kocem, a sam wstał, zwinny jak kot.

- Tu jest - powiedział. - Leżeliśmy na tym. Boję się, że mistrz Addiman byłby oburzony takim brakiem szacunku. - Położył jej pakiecik na podolku, a potem podsunął jej poduszkę pod plecy i rozsiadł się u jej stóp. Phoebe rozpakowała swój skarb.

- To dla ciebie - oznajmiła, wyciągając rękę. - Przyjmij ten klejnot wraz z moją miłością. Niech ci przypomina, że moje serce zawsze będzie przy twoim sercu, ale o tym już wiesz, więc... po prostu wielbię ziemię, po której...

- Ćśś, najdroższa. Nie mów tego. - Przygarnął ją do piersi i zaczął głaskać po plecach. - Wiem, co ono oznacza, i jeżeli chcesz, żebym je wziął, to wezmę, ale ono miało być dla ciebie jako przesłanie od brata.

Wyswobodziła się z uścisku i zawiesiła mu łańcuszek na szyi, umieszczając serduszko na porośniętym ciemnymi włoskami torsie.

- Tak jest dobrze - odparła z uśmiechem. - Będą je stale polerować. Noś je, Leo, zrób to dla mnie, proszę. Tim też by się z tego cieszył.

- Moje słońce i mój księżyc - powiedział, spoglądając z góry na wisiołek.

Siedzieli przytuleni, gdy w kominku trzasnęło przepalone polano, wysyłając w górę snop iskier. Deszcz bębnił coraz wolniej o ciemne okna, a zza skłębionych chmur wyłonił się księżyc w pełni i pozeglował po wciąż wzburzonym niebie jak krążek białej emalii, otoczony połyskliwymi perełkami.

Rozdział szósty

Po odkryciach minionej nocy Phoebe uzyskała wreszcie upragnioną odpowiedź na mnóstwo pytań, starych jak świat. Sir Leo powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć, bez fałszywej skromności, która była mu obca. Ciało nie było dla niego źródłem niewygody czy skrepowania i cieszył się, że ukochana może korzystać z jego niewyczerpanej energii. Pamiętał przy tym o jej braku doświadczenia.

Spali, kochali się i znów zasypiali, by się obudzić ze świadomością, że ich długo-trwała waśń dobiegła końca. Gdy wreszcie postanowili wstać, zajęło im to mnóstwo czasu.

- Wiesz, jakie będą pierwsze słowa księcia, kiedy się dowie, najdroższa?

- Myślisz, że będzie zły?

- Nie, powie „Czas najwyższy, mój chłopcze. Co cię tak długo powstrzymywało?”.

- Księżna będzie się upierać, że to wszystko jej zasługa.

- No cóż, myślę, że przyłożyła do tego rękę. Znalazła też męża dla Betty - dorzucił się Leo, jakby od niechcienia.

Phoebe spojrzała na niego ostro; słowa zazdrości same cisnęły jej się na usta. Powiedziała mu wprost, że jako jej przyszły mąż powinien przestać interesować się panną Elizabeth, po czym dorzuciła, że szkoda, iż księżna nie natrafiła na narzeczonego dla Katherine.

- Och, zrobi to na pewno - odparł z uśmiechem Leo.

- Skąd wiesz?

- Szukają go od jakiegoś czasu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Zabawniej było nic ci nie mówić. Czy one aż tak bardzo ci wtedy przeszkadzały?

- Nie, ani trochę. To niedoświadczone panienki.

- A ty jesteś już bardzo doświadczona, prawda?

Ubieranie się zajęło im sporo czasu i Constance zaczęła się zastanawiać, czy odtąd tak będzie. Poszła porozmawiać ze służącym sir Leo, który nagle coś sobie przypomniał i wręczył jej koszulę swego pana, wraz z instrukcją, co z nią zrobić.

Po południu Phoebe i sir Leo wybrali się z wizytą do Mortlake, aby podzielić się radosną nowiną z panią Overshott. Molly uroniła łzę wzruszenia, uściskała ich oboje i oświadczyła, że było im to pisane. Kolejna łza popłynęła na widok serduszka od Tima, w którym brakowało dwóch perełek. Powiedziała im wtedy, że historia ta wcale jej nie zdziwiła, bo wszystko może się zdarzyć, gdy w grę wchodzi miłość.

Na szczęście, Thomas Tollemache wrócił dwa dni wcześniej do regimentu, dzięki czemu mogli zakomunikować księstwu najświeższą wiadomość bez konieczności wysłuchiwania jego nietaktownych uwag. Pierwsze słowa księcia były takie, jak to przewidywał jego sekretarz.

Podobnie jak reakcja księżnej, która dorzuciła jeszcze parę słów wyjaśnienia.

Kompletnym zaskoczeniem okazało się natomiast zachowanie Elizabeth. Na wiadomość o zamierzonym ślubie twarzyczka jej się skurczyła i zanim matka zdążyła ją zapytać, co jej dolega, wybiegła z pokoju, jakby jej świat się zawalił.

- Czy mogę pójść za nią, milady? - zapytała Phoebe.

Księżna pokręciła przecząco głową.

- To rozmowa o ślubie - wyjaśniła. - W przyszłym tygodniu Betty ma się spotkać z najstarszym synem Argylla i ogromnie to przeżywa.

- Jest bardzo młoda - odezwała się pani Overshott.

- To bardzo dobra partia. Czy kobieta może pragnąć czegoś więcej...? - skwitowała księżna.

Wieczorem w Mortlake pani Overshott wyraziła opinię, że każda młoda kobieta może zapragnąć nawet gwiazdki z nieba pod warunkiem, że księżna przestanie bawić się w swatkę.

- Jak wiadomo, dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane - orzekła. - Myślę, że głównie na tym polegał również twój problem, Phoebe.

- A tak na marginesie, chciałabym się dowiedzieć, skąd panny Tollemache'ówny wiedziały o moich lekcjach fechtunku u sir Luigiego Verdiego - powiedziała Phoebe.

- To już nie ma znaczenia, prawda, moja kochana? - Pani Overshott wzięła jakąś białą część garderoby ze stosu bielizny do szycia. Obejrzała ją, marszcząc brwi, po czym złożyła ją i wręczyła Phoebe. - Myślę, że to dla ciebie.

Phoebe patrzyła przez chwilę na białą koszulę, a potem strzepnęła ją i znalazła długie rozcięcie na rękawie. Gdy szukała kawałka białego batystu na łatkę, nasunęła jej się refleksja, że pewne pytania najlepiej pozostawić bez odpowiedzi.

Nie minęła godzina, gdy zaanonsowano przybycie gościa.

- Sir Leo? Umówiliśmy się przecież...

Sir Leo skłonił się nisko i, założywszy kapelusz z piórem, oznajmił:

- Witam, pani Overshott, panno Laker. Owszem, umówiliśmy się, że damy sobie wolny dzień, doszedłem jednak do wniosku, że nie jestem w stanie tego zrobić.

- Czego, sir Leo? - Phoebe poczuła, że serce wali jej jak młotem.

- Wytrzymać całego dnia bez ciebie, moja słodka. Jak widzisz, zapukałem jednak do twoich drzwi, błagając cię o chwilę widzenia, o jeden uśmiech. O cokolwiek. - Nie można powiedzieć, żeby się otwarcie uśmiechał, miał jednak w oczach jakiś nie do końca niewinny błysk, a kąciki ust lekko mu drżały.

- Ach... - Phoebe odetchnęła z ulgą. - Czy aby nie jesteś dżentelmenem, który się zarzekał, że jego noga nigdy nie przestąpi mojego progu?

- Muszę z przykrością potwierdzić, że jestem tym człowiekiem, panno Laker.

Wiedziona impulsem, wyciągnęła ręce i nie zważając na obecność pani Overshott, otoczyła dłońmi twarz ukochanego i ucałowała go z miłością.

- Skoro tak, miło nam cię powitać, sir Leo. Zechcesz wejść i usiąść z nami, a ja tymczasem dokończę cerować twoją koszulę. Gdzieś ją tak rozdarł, jeśli wolno mi zapytać?

- To był moment nieuwagi - odparł z westchnieniem.

Zajęta szyciem, pani Overshott nie zauważyła rumieńca na twarzy Phoebe. Musiał go natomiast zobaczyć sir Leo, bo przez jego twarz przemknął szelmowski uśmiech.

Część druga

1803 rok

Rozdział pierwszy

Po skąpanym w blasku lipcowego słońca ogrodzie chłodny hol Ferry House zdawał się tonąć w ciemnościach. Ze stolika pod lustrem Phoebe zgarnęła zostawiony na srebrnej tacy list, wzrok jej nie zdążył się jednak przyzwyczaić do półmroku, nie była więc w stanie odcyfrować szczegółów. Dopiero po przejściu do salonu, gdzie było jasno, zobaczyła, że był opatrzony znaczkiem, opieczętowany czerwonym woskiem i zaadresowany do niej, zaś na odwrocie koperty widniał adres nadawcy. Jak dotąd, jedyną znaną jej osobą wysyłającą ofrankowane i opieczętowane listy była jej matka, zamieszkała w Londynie. Tymczasem eleganckie i zamaszyste pismo na kopercie musiała skreślić męska ręka.

Odwróciła kopertę.

„Ransome - przeczytała. - Greenwater, Mortlake, Surrey”.

Wicehrabia Ransome! Przycisnęła rękę do serca, które nagle zaczęło bić szybciej niż zwykle. Przysiadła na poręczu najbliższego fotela, przełamała szybko pieczęć i rozłożyła kartkę.

Wielce Szanowna Pani Donville!

Pozwolę sobie powiadomić panią o zamiarze złożenia wizyty w Ferry House szesnastego lipca 1803 roku, w godzinach rannych, w celu przedyskutowania pewnej dosyć istotnej sprawy. Czynię to z bardzo krótkim wyprzedzeniem, ufam jednak, że nie będzie to dla pani zbyt wielka niedogodność.

*Pozostaję z szacunkiem
Uniżony sługa, Ransome*

Phoebe zasepiła się. Niestety, milordzie, pomyślała, będzie to dla mnie ogromna niedogodność. Wolalabym już gościć mojego brata Rossa i jego wiecznie kwękającą żonę niż pana. A to chyba mówi samo za siebie.

Zamierzał wpaść do niej nazajutrz rano w pewnej dosyć ważnej sprawie. Oczywiście, chodzi o niedokończoną historię sprzed trzech lat, kiedy to zrezygnowała z protekcji matki w Londynie, byle być jak najdalej od takich mężczyzn jak on. Rodzicielka upierała się, jak zawsze, że tym razem znalazła dla niej bardzo odpowiedniego wielbiciela. Ona zaś, jak zawsze, miała w tej sprawie inne zdanie, zresztą z wielu ważnych powodów. Trafiła jej się szansa na rozpoczęcie nowego życia w spokojnym Richmond i uciekła z Londynu.

Gdyby wtedy wiedziała, że lord Ransome kupi dom w Mortlake, niedaleko miejsca zamieszkania jej brata i jego żony, być może nie spieszyłaby się z przeprowadzką w te strony. Mortlake leżało bowiem po drugiej stronie zakola na Tamizie. Nie bez znaczenia było to, że mieszkanie w Ferry House nie kosztowało jej ani pensa, ponieważ dom należał do jej najstarszego brata Leona, który go nie potrzebował i w nim nie bywał.

Patrząc na list, nie mogła się oprzeć refleksji, że pismo trafnie odzwierciedla charakter autora - człowieka pewnego siebie i brutalnie szczerego, nawet gdy prosi o to, aby go przyjąć. Prosi? Raczej nie była to prośba. Przyjdzie i tak, nie licząc się z jej zdaniem. Jednak to nie arogancja odstręczyła ją niegdyś od niego, lecz opinia, jaką zyskał w londyńskim towarzystwie. Prowadząc kawalerski tryb życia, słynął ze swoich ekscesów, zarzucano mu też rozrzutność i niefrasobliwość. Phoebe także żyła w podobny sposób, zanim owdowiała, wiedziała więc doskonale, z czym się to wiąże - z określonym środowiskiem i moralnością. Później wybrała życie z dala od ludzkich oczu, bardziej stosowne dla wdowy w żałobie i o wiele lepsze dla jej córki Claudette, którą będzie musiała wychowywać sama. Decyzji tej nie żałowała ani przez chwilę mimo irytującego sąsiedztwa Rossa oraz jego chorowitej, lecz wyjątkowo płodnej małżonki. Odwiedzali ją stanowczo za często i zawsze bez uprzedzenia.

Phoebe miała starszą siostrę Mimi, lady Nateby, osiadłą z wraz mężem George'em oraz powiększającą się co dwa lata rodziną w pobliżu Twickenham. Ich rzadkie wizyty świadczyły o kompletnym braku zainteresowania losem Phoebe oraz jej ośmioletniej có-

reczki. Nie miało to jednak niej większego znaczenia, gdyż od dawna z Mimi nie były sobie bliskie.

Leon, najstarszy z rodzeństwa, jako jedyny zaproponował Phoebe konkretną pomoc, gdy musiała uciec od matki próbującej ją nieustannie swatać. Leon, podobnie jak Phoebe, także nie poddał się presji i wiódł kawalerski żywot, trwoniąc spadek po ojcu z takim zapalem, jakby mu zostało bardzo niewiele czasu. Gdy Phoebe opuściła rodzinny dom przy Harley Street, jej matka z nowym, znacznie młodszym mężem, wyprowadziła się na St James's Square, pozostawiając Leona jego własnemu losowi z częścią majątku, której nie zdążył jeszcze przegrać w najlepszych londyńskich klubach. Wkrótce Leon zaczął się zachowywać tak, jakby zapomniał o rodzeństwie. Tylko jego matka, lady Templeton, знаła przyczynę tego stanu rzeczy.

Początkowo Leon wysyłał Phoebe pieniądze, gdy trafiła mu się wysoka wygrana, ale jego hojność skończyła się w minionym roku i Phoebe przestała liczyć na jakąkolwiek pomoc z jego strony. Źródłem jej dochodu był ogród warzywny dostarczający owoców i warzyw nie tylko dla domu i okolicznych mieszkańców, ale również dla lokalnych zajazdów i stacji dylizansów. Dzięki temu mogła żyć całkiem wygodnie, utrzymując paru rezydentów oraz sześćoosobową służbę, a także guwernantkę dla Claudette. Chowając złożony list do kieszeni fartucha, pomyślała, że ostatnie, czego jej teraz potrzeba, to wizyty wytwornego lorda Ransome'a, który zapewne żyje w mylnym przeświadczeniu, że dwudziestosześcioletnia wdowa z córeczką umiera z ciekawości, co też on może jej zaoferować. Nawet taka, która przed trzema laty uciekła, żeby tego nie słuchać.

Jadąc faetonem* przez park w stronę Richmond, lord Ransome zwolnił, gdy pomiędzy drzewami ukazał się Ferry House. Był znacznie większy, niż się spodziewał. Krótka informacja, którą parę dni wcześniej otrzymał w Londynie, okazała się nieadekwatna pod każdym względem.

* Faeton - lekki, czterokołowy powozik, ciągnięty przez jednego lub dwa konie (*przyp. tłum.*).

Odkrycie, że chodzi o dom, do którego siostra Leona Hawkina uciekła przed trzema laty, było dla niego niespodzianką, zmuszając go zarazem do zmiany planów. Nie żywił złudzeń, że będzie musiał użyć perswazji, gdyż Phoebe nie była naiwną panienką.

Z uśmiechem przypomniał sobie wyniosłe spojrzenie ciemnych oczu, będące jedyną odpowiedzią na jego propozycję, zupełnie jakby zaprosił ją na orgię, a nie na przejażdżkę po Hyde Parku. Inna kobieta splonęłaby rumieńcem, zająknęła się i powiedziała „tak”, lecz nie Phoebe Donville, zmysłowa brunetka, powściągliwa i niezależna, której widok burzył spokój mężczyzn.

Przyczyną radykalnej przemiany, jaka w niej zaszła, była niewątpliwie tragiczna śmierć męża. Zrozumiała, że życie ludzkie jest kruche, a śmierć atakuje zarówno dobrze urodzonych, jak i plebs. Poznał ją przed jej ślubem z Claude'em Donville'em. Wówczas nie miała nic przeciwko flirtom; była gotowa przetańczyć całą noc i przyjąć każde zaproszenie, ale także odtrącała wielbicieli jednym wzgardliwym uśmiechem. Nie zaliczała się do nich, lecz nie mógł się nazwać jej starającym, kiedy owdowiała, a jej matka rozpaczliwie poszukiwała dla niej następnego kandydata. Aż tak daleko nie dotarł, zresztą nie udało się to nikomu.

Przed laty, gdy była panną, starałby się chętnie o jej rękę, ale Donville go uprzedził, zeniąc się z zaledwie szesnastoletnią Phoebe. Po śmierci Claude'a okazała się poza zasięgiem wszystkich, w literalnym znaczeniu tego słowa. Pogodził się z tym, gdyż potrafił rozpoznać, kiedy młoda wdowa nie myśli o następnym mariażu, ponieważ jest pogrążona w żałobie.

Jego niepokieszeni przyjaciele obstawiali zakłady, czy w ciągu roku pani Donville wyjdzie za mąż, czy nie. Pożądało ją wielu mężczyzn, żadnemu jednak nie dała najmniejszej nadziei, a oni, głęboko zawiedzeni, tłumaczyli to sobie jej wyniosłością oraz brakiem temperamentu. Ciekawe, pomyślał Ransome, jak Phoebe zareaguje na wiadomość, którą jej przywoził; ciekawe też, czy jej rezerwa nie zmaląła po trzech latach spędzonych w prowincjonalnym Richmond.

Zatrzymał się przed żelazną bramą, za którą w pewnej odległości był usytuowany okazały dom z czerwonej cegły. Z kamiennych gazonów otaczających brukowane podwórze zwieszały się kwietne kaskady. Przez furtkę po jednej stronie widział wykute w

kamieniu schody i fragment pergoli porośniętej gąszczem białych i różowych róż. Pod murem ciągnął się pas fioletowych ostróżek i naparstnic. Ktoś musiał włożyć wiele trudu w zadbany ogród.

Dom, pochodzący z siedemnastego wieku, został później powiększony o werandę z trójkątnym szczytem oraz dwa boczne skrzydła tworzące tylny czysty i zadbany dziedzi- niec ze starannie przystrzyżonym żywopłotem, okolony drzewami. Przejeżdżając przez bramę, Ransome był już prawie pewny, że Phoebe Donville nie będzie chciała dobro- wolnie się rozstać z tym uroczym miejscem.

Stangret podbiegał do koni, gdy ze stajni wypadł młody stajenny i na widok pa- radnych kasztanków aż gwizdnął przez zęby.

- Milordzie - powiedział, dotykając kapelusza - jaśnie pani czeka, ale pozwoli pan, że zaprowadzę pana od frontu.

- Zostań przy koniach - polecił mu Ransome. - Sam trafię.

Łagodne zbocze przed domem opadało ku rzece. Rozległa posiadłość leżała na uboczu, a okolica była bardzo spokojna. Toż to niemal raj, pomyślał, gdy na ścieżce ba- żanty przecięły mu drogę. Kiedy znalazł się na werandzie, zdjął kapelusz i wszedł do środka, pociągając delikatnie za uchwyt dzwonka. W holu panował mrok, tak mu się przynajmniej wydawało, bo wszedł ze słońca, a dama, do której przyjechał, pojawiła się jakby znikąd.

Zazwyczaj do oceny kobiety wystarczył mu jeden rzut oka... może dwa. Tym ra- zem jego uwagę przykuł perfekcyjny owal twarzy, łabędzia szyja osadzona na kształt- nych ramionach, masa upiętych wysoko czarnych loków, nieprzykrytych wdowim czep- kiem, olbrzymie migdałowe oczy i lekko skośne brwi. Pełne usta nie uśmiechnęły się na powitanie, czego się zresztą spodziewał, a w głosie zabrzmiała nuta irytacji. Mimo to skłonił się najuprzejmiej.

- Lordzie Ransome - powiedziała Phoebe, dygając powściągliwie. - Jak pan widzi, nie mam lokaja ani kamerdynera, a moja gospodyni zajęta jest czym innym. Zechce pan przejść do salonu?

Ich spojrzenia spotkały się, badając poziom wzajemnej niechęci bądź aprobaty.

- Pani Donville - odparł - dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć pomimo tak krótkiego terminu.

- Wierzę, że jest po temu ważna przyczyna - odparła, prowadząc go do salonu o seledynowej boazerii i lśniącej podłodze pokrytej perskimi dywanami. Zdobiąca stół kompozycja z margerytek i pachnących groszków, odbijała się w wypolerowanym blacie jak w lustrze. - Czy przywozi mi pan wiadomości z Londynu od mojej matki? Od dziesięciu dni nie otrzymałam od niej listu. A może od brata? - Poniewczasie Phoebe ugryzła się w język. Nie miała przecież żadnego obowiązku informować kogoś takiego jak on o swoich prywatnych sprawach. Poza tym nie wiadomo, co zrobiłby z tą wiedzą.

Taksowała go wzrokiem jak kot ptaka, zbyt dużego, aby go capnąć zniemacka. Słusznej postury, poruszał się z gracją; dłonie miał duże i zadbane. Spodnie z kozłej skóry i lśniące skórzane buty opinały muskularne uda i łydki. Ciemnoniebieski surdut świetnie leżał na szerokich ramionach, których nie powstydziliby się czempion, zaś fałdy białego fularu nie zdołały ukryć muskularnego karku i kwadratowego podbródka, którego kształt podkreślały starannie przystrzyżone baczki. Falujące ciemne włosy, z charakterystycznym ząbkem na czole, zaczesywał do tyłu, i było mu z tym bardzo do twarzy. Przyznała w duchu, że pozostał tak przystojny, jak zapamiętała. Wart z pewnością przezwiska Buck* Ransome, nadanego mu niewątpliwie nie tylko za sam wygląd.

* Buck (j. ang) - samiec, fircyk, byczek w znaczeniu młody, dobrze zbudowany mężczyzna, (*przyp. tłum.*).

Usiadła, zapraszając gościa gestem, by uczynił to samo. Podczas bezsennej nocy zastanawiała się, czy nie powinna poprosić kuzynki Hetty, aby jej towarzyszyła przy tej rozmowie, ale się rozmyśliła. Przecież jest osobą dorosłą, wdową, a on dojrzałym mężczyzną, więc raczej mało prawdopodobne, by ją mógł czymś zaskoczyć. Jeżeli przyjechał z jakąś propozycją, lepiej, żeby kochana Hetty, jej wieloletnia towarzyszką, tego nie słyszała. Phoebe wygładziła na kolanach fałdy białego muślinu i, złożony ręce na podolku, czekała, kompletnie nieświadoma tego, jaki przedstawia sobą obraz w oczach gościa. Jego ślizgający się po niej wzrok nie świadczył o niczym, bo pewnie tak samo lustrowałby każdą kobietę.

- Zapewniam panią - zaczął Ransome - że mam bardzo ważny powód. Bez niego nie ośmieliłbym się zakłócać pani spokoju, zwłaszcza po naszym nieudanym spotkaniu w Londynie.

- Czy mogę zaproponować panu poczęstunek po podróży? - spytała, udając, że go nie rozumie.

Spotkanie, o którym mówił, wyparła dawno z pamięci, wraz z innymi niefortunnymi spotkaniami, do których zmusiła ją matka.

- Dziękuję, nie, jeśli miałyby go pani sama przygotowywać.

- Mam służbę - zareplikowała, dostarczając mu mimowolnie dodatkowych informacji.

- Domyślam się. Miejsce jest idealnie zadbane. Może oprowadziłaby mnie pani, zanim wyjadę?

- Wolałabym się raczej dowiedzieć, czym zasłużyłam na to, że raczył mi pan poświęcić swój bezcenny czas. Jeżeli nie ma pan dla mnie żadnych wiadomości od rodziny z Londynu, to nie wiem, co innego mogłoby mnie zainteresować.

- Najwyraźniej minione trzy lata ani trochę nie stępiły pani ostrego języczka. Tak się składa, że wieści, które przywożę, dotyczą pani najstarszego brata.

Po raz pierwszy Phoebe uniosła powieki na tyle, że Ransome mógł zobaczyć w całości chabrowe źrenice.

- Leona? Och... Czy z nim wszystko w porządku? Kiedy pan go widział? I gdzie?

- Klimat Surrey wydaje się pani służyć - rzucił, jakby nie słyszał jej pytania.

- Proszę mi opowiedzieć o Leonie! - zażądała, widocznie zdenerwowana.

- Z nim wszystko w porządku. Spotkaliśmy się w klubie kilka dni temu.

- Rozumiem. Pewnie znowu zgrał się przy zielonym stoliku. Ile przegrał? I do kogo? Czy moja matka o tym wie?

- Rzeczywiście, jest tak, jak pani mówi. Zapewne lady Templeman już wie, że znów przegrał. Ile? Posiadłość Ferry House, czyli ziemię i dom wraz z jego zawartością.

Zapadła cisza. Żadnych scen; żadnej hysterii. Co za imponujące opanowanie! Jego słowa musiały jednak wstrząsnąć Phoebe; czuł to i było mu jej żal.

- Dziękuję - wyszeptała po chwili. - Przegrał to wszystko do pana, prawda? Gdyby było inaczej, pan by się tu nie zjawił.

Skinął sztywno głową.

- Tak. Mam jego weksel... - Sięgnął do kieszeni, ale powstrzymał go jej rozpaczliwy krzyk.

- Nie! Nie chcę tego widzieć. Niech mi pan tego nie pokazuje... - Urwała, tłumiąc szloch. - Pewnie był nietrzeźwy?

- Widać to po jego piśmie, ale jeśli chce pani na tej podstawie zakwestionować dokument, pozwolę sobie przypomnieć, że...

- Nie musi mi pan niczego przypominać, milordzie - przerwała mu z gniewem. - Pijany czy nie, honorowe długi trzeba spłacać. Jestem jego siostrą wystarczająco długo, żeby to wiedzieć. Czy upił go pan rozmyślnie?

- Będę udawał, że pani tego nie powiedziała - odparł, nie kryjąc oburzenia. - Nie trzeba podstępów, żeby skłonić pani brata do gry, kiedy jest po kieliszku. Nikt nie ma obowiązku go powstrzymywać. Jest człowiekiem dorosłym i może dowolnie dysponować sobą oraz majątkiem.

Phoebe zerwała się na równe nogi, dygocząc z furii.

- Nie, dopóty, dopóki ja tu mieszkam! - wykrzyknęła. - Zapomniał o tym, prawda? Utrzymuję jego posiadłość w dobrym stanie, nie szcędząc pieniędzy, i daję ludziom pracę. - Zataczając ręką krąg, straciła ze stołu podręczną sztalugę z akwarelą. - To wszystko pójdzie teraz na marne przez pana!

Buck Ransome od dawna marzył o tym, aby ujrzeć tak podekscytowaną Phoebe, jednak z innego powodu.

- Obawy raczej przedwczesne - rzekł i w tym samym momencie uchylły się drzwi.

W szparze ukazała się zatroskana twarz; szare oczy zlustrowały z niepokojem sytuację.

- Czy coś ci przynieść, kochanie?

- Tacę z herbatą, jeśli łaska - odpowiedział lord Ransome, widząc, że Phoebe ma kłopoty z oddychaniem. - Tylko szybko, dobra kobieto.

- Uhm... dobrze... - odpowiedziała. - Czy to...?

- Wszystko w porządku, kochana Hetty - uspokoiła ją Phoebe. - Maniery lorda Ransome'a mają swoisty urok. Herbata rzeczywiście byłaby mile widziana.

Kiedy drzwi się zamknęły, nieproszony gość wstał i zaczął zbierać swoje rzeczy.

- Maniery lorda Ransome'a nie są na ogół aż tak złe jak maniery niektórych znanych mu dam - powiedział, kładąc papiery na stole.

- Pozwolę sobie mieć inne zdanie - odcięła się Phoebe. - Co to za obyczaje przejmować czyjś dom za długi? Moim zdaniem, to haniebne, milordzie. Pewnie nie przyszło panu do głowy, żeby renegotjować układ?

- Nie miałem wtedy pojęcia, że pani tu mieszka, a nawet gdybym miał, nie wiem, czy bym renegotjował. W końcu, dług to dług. Poza tym bardzo mi się tu podoba. Z panią czy bez.

- Niestety, milordzie, żywię do tego miejsca takie same uczucia jak pan, może pan więc renegotjować ze mną, bo ja się stąd nie ruszę. Włożyłam za dużo czasu, pieniędzy, energii i wysiłku w Ferry House, żeby go oddać, i to akurat panu. Wykorzystał pan chwilową słabość mojego brata. Poza tym pod tym dachem przebywają ludzie zależni ode mnie.

- Wiem, że ma pani córkę.

- Nie tylko córka. Jest tu więcej osób.

- Ile?

- Stroi pan sobie żarty? Może i wygrał pan dom, lecz nie daje to panu prawa do drwin z sytuacji, w której się znalazłam. Moje prywatne sprawy pana nie dotyczą. Musimy tylko ustalić, i to jak najszybciej, czy nadal mogę tu mieszkać bez przeszkód. Przez ostatnie trzy lata starałam się doprowadzić to miejsce do ładu, ale nadal jest sporo do zrobienia.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Phoebe czuła, że nic nie pójdzie tak gładko, jak by sobie tego życzyła. Gdyby Ransome chciał ją zostawić w Ferry House, nie pospieszyłby się z wiadomością, która mogła poczekać nawet miesiące.

- Chciał pan obejrzeć posiadłość, prawda? - zapytała.

- Naturalnie - przytaknął. - Pozwolę sobie przypomnieć kilka faktów, żeby na przyszłość uniknąć nieporozumień. Jestem prawowitym właścicielem Ferry House, z ca-

łym dobrodziejstwem inwentarza, czy się to pani podoba, czy nie. Pani brat stwierdził jasno i wyraźnie, że traci na moją korzyść całą posiadłość, wliczając w to lokatorów oraz żywy inwentarz. Pani jest lokatorką, czyż nie?

- To absurd - orzekła Phoebe. - To niemożliwe, by Leon tak zdecydował.

- Mógł nie pamiętać, że pani tu mieszka, kiedy przystępował do gry. Dług musi zostać spłacony w całości. To kwestia honoru, pani Donville.

- Honoru, akurat! - odparła z pogardą Phoebe, cofając się. - Nie mam nic wspólnego z długiem brata i nie pozwolę się w to wciągnąć; nie zostanę niczyją własnością. A nawet gdyby, to na pewno nie kogoś takiego jak pan - podkreśliła stanowczo. - Gdybym się, uchowaj Boże, znalazła w potrzebie, stać mnie na coś lepszego.

Podeszła zbyt blisko, choć powinna była pamiętać o bezpieczeństwie, ale od poprzedniego dnia tliła się w niej furia i wystarczyła obecność Ransome'a, by z iskry buchnął płomień. Tej nocy prawie nie zmrużyła oka, przekonana, że zna powód wizyty. Zagrożenie, jakie sobą przedstawiał, napawało ją lękiem, a zarazem podnieceniem. Zamierzała utrzyć mu nosa za jego butę, tymczasem plan nie wypalił. Jej pozycja diametralnie się zmieniła, przestała być dla niego pożądaną partią.

Chciała go odepchnąć, ale zanim się zorientowała, przyciągnął ją do siebie. Wtulona w jego szeroki tors, nawet nie pisnęła, gdy zagarnął jej usta w zaborczym pocałunku, tym samym dając jasno do zrozumienia, że wie, jak wymusić na niej uległość.

Ona także była tego świadoma; czuła to całym ciałem.

Jak z oddali słyszała swój stłumiony głos, proszący, aby ją puścił. Była na siebie wściekła za słabość i zbyt słaby opór. Gdy jego uścisk zelżał, zatęskniła jednak za smakiem jego ust.

Dzikus. Brutal. Prostak, zżymała się w duchu. Czego się po nim spodziewała? Że będzie ją czarował? Prawił czule słówka? Chyba na głowę upadła. Szarpnęła się, otwierając oczy, i spróbowała się uchylić przed kolejnym pocałunkiem.

- Barbarzyńca! - wydyszała, czując mrowienie warg. - Wynoś się z mojego domu!

Niezrażony, ujął jej podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

- Zostawię panią po to, aby pani wszystko sobie przemyślała. Odradzam szermierkę słowną, bo wiem, jak panią powstrzymać. Wrócę jutro i wtedy omówimy szczegóły.

- Pan nie ma pan czego szukać! - zaprotestowała i wreszcie udało jej się wyrwać z uścisku. - Nie zostanie pan wpuszczony.

- Też coś! Ma pani dziwnie krótką pamięć. Przecież jestem właścicielem i mogę pani tu nie wypuścić. Radzę to sobie zapamiętać.

- Nie mamy o czym rozmawiać, milordzie. Nie ruszę się stąd, a obrażanie mnie niczego nie zmieni. Po tej żalostnej demonstracji władzy nie musi pan podnosić sobie ego. Jeżeli chciał mnie pan upokorzyć, to się panu nie udało.

- To dobrze; co za ulga. Zatem będziemy mogli bez skrępowania rozmawiać o działalności patriotycznej pani zmarłego męża. Och, to świetnie. Życzę pani miłego dnia. Proszę mnie nie odprowadzać, trafię do drzwi.

Ransome uklonił się i w drodze do wyjścia wziął ze stolika w holu kapelusz i rękawiczki. Na zewnątrz z miną pana i władcy przedelfilował przed oknem, poprawiając kapelusz, jakby zapomniał o pocałunku. Po chwili wskoczył do powoziku, dając znak stangretowi, żeby przesiadł się na ławeczkę z tyłu, po czym sięgnął po bat i szarpnął za lejce. Kasztanki zarżały, kopyta zastukały na brukowanym podwórzu i pojazd przemknął przez bramę.

Phoebe patrzyła w ślad za nim, a w uszach jej dźwięczały złowieszcze słowa „Będziemy mogli bez skrępowania rozmawiać o działalności patriotycznej pani zmarłego męża”.

Skrzypnięcie wewnętrznych drzwi zaanonsowało przybycie Hetty niosącej tacę z herbatą. Na jej pomarszczonej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Już pojechał? - zapytała, wyglądając przez okno.

Phoebe stała z odwróconą głową, poprawiając fryzurę.

- W samą porę - odparła niewyraźnie. - Nalej mi herbaty, dobrze, kochana? - Przycisnęła dłoń do mrowiących warg, niezdolna sięgnąć drżącymi dłońmi po filiżankę.

- Co ten straszny człowiek ci powiedział, że tak cię zdenerwował? Co on takiego zrobił?

- Nie mam pojęcia, co zrobił,

Hetty miała jednak nadal dobry wzrok i od razu zauważyła, że usta Phoebe są niezwykle obrzmiałe.

Rozdział drugi

Dziewczynka w zachlapanej błotem niebieskiej sukience minęła szklarnię i grządkę wyrosniętych karczochów. Wyjrzała zza ogrodowej szopy na matkę siedzącą na ławce pod nagrzanym od słońca murem z różowej cegły.

- Tu jesteś. Tak też sobie myślałam. Hetty powiedziała mi, że wolisz być sama, lecz nie przeszkadzam ci, prawda?

Claudette nie była przesadnie rozpieszczona, jednak lata bycia oczkiem w głowie matki nauczyły ją, że jeśli się odpowiednio delikatnie zakwestionuje pewne zasady, można je nagiąć - oczywiście na swoją korzyść. Dlatego nie przejęła się tym, co usłyszała od Hetty.

- Nie, *chérie**, ani trochę mi nie przeszkadzasz. Usiądź przy mnie. - Phoebe poklepała ciepłe poduszki i zgarnęła fałdy spódnicy, żeby zrobić córce miejsce.

* *Chérie* (j. fran.) - kochanie (przyp. tłum.).

Claudette wzięła ją za rękę i ze zdumieniem spojrzała na jej pochmurną twarz.

- Płakałaś - stwierdziła zatroskanym tonem. - Jesteś smutna, mamó? Hrabia nie był tu długo, prawda? Myślałaś, że zostanie dłużej?

Phoebe uśmiechnęła się mimo woli i, uściskawszy dłoń córki, zaczęła od odpowiedzi na najłatwiejsze pytanie.

- Nie, *chérie*. Lord Ransome zabawił akurat tyle, ile wypada przy okazji pierwszej wizyty, a może nawet trochę dłużej. Zdradź mi, co znalazłyście nad rzeką z panną Maskell. Widziałaś kaczki i pardwy?

Upewniwszy się, że mama nie jest tak przygnębiona, jak jej powiedziano, Claudette opisała szczegółowo wyprawę z guwernantką, z której to eskapady przyniosły do domu kilka eksponatów, żeby je lepiej obejrzeć. Dziewczynkę łatwo było czymś zainteresować, ponieważ mnóstwo ciekawych rzeczy znajdowało się tuż za progiem. Claudette, bystra i energiczna, po ojcu odziedziczyła wyjątkowy wdzięk. Niektórzy mogliby powiedzieć, że zachowuje się jak stara malutka, gdyż pozwalano jej uczestniczyć w

rozmowach dorosłych, wbrew zasadom wyznawanym przez większość rodziców. W Ferry House nie było jednak despotycznego ojca dającego się udobruchać popisami damskiej uległości, tylko trzy kobiety i dziecko, które jadało z nimi wszystkie posiłki i mogło mówić, co mu się podoba, oczywiście w rozsądnych granicach.

Claudette biegle mówiła i pisała po francusku, gdyż Phoebe zachęcała ją do regularnej korespondencji z francuskimi dziadkami, którzy pozostali w Anglii. W domu cała czwórka często przerzucała się na francuski ze względu na Claudette, a *chérie* było ich ulubionym pieszczotliwym określeniem.

Patrząc na lśniące loki córki i jej roześmiane oczy o długich czarnych rzęsach, Phoebe widziała momentami czarującego Claude'a Donville'a, który niegdyś podbił jej serce. Miała zaledwie szesnaście lat. Była niedoświadczona i za młoda, żeby mieć możliwość porównań. Matka zawiodła na całej linii, ponieważ myślała wyłącznie o jak najszybszym sfinalizowaniu fantastycznego mariażu najmłodszej córki, nie dopuszczając do głosu nikogo, kto zalecał ostrożność z uwagi na narodowość Donville'a. Dla niej liczyło się tylko to, że *monsieur* Claude Donville był spokrewniony z jednym z najstarszych francuskich rodów, miał doskonałe maniery i przede wszystkim był zamożny.

Phoebe wyszła za mąż przed swoimi siedemnastymi urodzinami. Zaledwie dwa tygodnie po tym, jak w zimie 1793 roku króla Ludwika XVI oskarżono o zdradę i stracono, a władzę w przeżywającej rewolucję Francji przejęli jakobini, którzy wprowadzili rewolucyjny terror i dyktaturę. Właśnie wtedy rozpoczęło się mordowanie arystokracji, szlachty oraz posiadaczy niewspółmiernych bogactw. Claude Donville, bogaty i dobrze urodzony, w porę zdołał uciec do Anglii.

Młoda pani Donville, która wkrótce zaszła w ciążę, wierzyła, że jej dzielny mąż musi co jakiś czas wracać do Francji, aby wizytować swoje posiadłości. Gdyby uznano go za emigranta, pociągnęłoby to za sobą konfiskatę majątków. Po każdym przyjeździe informował ją, że udało mu się coś sprzedać, a przywiezione pieniądze zapewniały im dobrobyt i koły jej lęki.

Pewnego razu nie wrócił, a po tygodniu przysłała wiadomość, że został kolejną ofiarą gilotyny. Z czystej zazdrości postawiono mu fałszywe zarzuty, jak później zapew-

niali Phoebe przyjaciele męża. Wystarczyło to jednak Komitetowi Bezpieczeństwa Powszechnego, aby skazać go na śmierć bez procesu.

Załamana i pogrążona w rozpacz Phoebe namówiono, by odstąpiła dom rodzinie Claude'a, a sama wróciła do matki i starszego rodzeństwa. Tam pod koniec listopada 1794 roku przyszła na świat Claudette. Zameżna przez niespełna rok, Phoebe została matką dziecka, które miało nigdy nie poznać ojca.

Gdy zaczęła się godzić ze straszną śmiercią męża, którego nie mogła nawet pożegnać i godnie pochować, spadł na nią kolejny cios - Londyn zalała fala francuskich uchodźców, przyjaciół jej nieżyjącego męża. Jeden z nich, najciężej doświadczony, gdyż nowy reżim wymordował mu całą rodzinę, nie chciał dłużej milczeć i powiedział Phoebe wszystko, co wiedział o śmierci Claude'a Donville'a. Otóż jej mąż bynajmniej nie pomagał innym w uratowaniu majątków we Francji. Prawda wyglądała tak, że na podstawie jego fałszywych donosów Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego skazał na śmierć wielu ludzi. W nagrodę pozwolono mu zatrzymać część skonfiskowanych skarbów i napchać sobie kufry pieniędzmi splamionymi krwią. Należały one teraz do Phoebe, młodej wdowy.

Długo nie mogła się pogodzić ze straszną prawdą o mężu, którego, póki żył, uważała za czarującego i dzielnego mężczyznę. Nie potrafiła rozstrzygnąć, co było lepsze - jego domniemana śmierć na gilotynie, czy ta od kuli wystrzelonej z zimną krwią, kiedy został zdemaskowany. Przeżywała koszmar przekraczający wytrzymałość psychiczną bardzo młodej kobiety. Jednego była pewna podczas tych upiornych miesięcy - że nosi jego dziecko, które miało być jej pociechą i nadzieją. Uznała, że ze względu na dziecko jak najmniej osób powinno wiedzieć o zdradzie jej męża. Przede wszystkim należało zataić niechlubne wiadomości przed jej matką, fanatyczną zwolenniczką tego małżeństwa, aby jej oszczędzić wstrząsu.

Nie była to dobra decyzja, bo ledwie siostra oraz brat Phoebe znaleźli stosowne partie, matka ze zdwojoną energią zaczęła poszukiwać nowego kandydata do ręki owdowiałej córki. Gdyby знаła prawdziwe powody niechęci Phoebe do wszelkich planów matrymonialnych, być może zaprzestałaby zenujących zabiegów i zostawiła ją w spokoju.

W tamtych czasach matka Phoebe, lady Templeman, została macochą dwóch młodych pasierbów, którzy uznali przyszywaną siostrę za świetny obiekt służący ćwiczeniu się we flircie i uwodzeniu. Ich uciążliwe umizgi, nieustanne popędzania matki, irytacja, jaką budziła w lordzie Templemanie Claudette, a wreszcie nieustanny lęk przed ujawnieniem haniebnej przeszłości męża sprawiły, że Phoebe postanowiła wyjechać z Londynu.

Konieczność zatrzymania pieniędzy, zdobytych przez męża w tak nieuczciwy sposób, obciążyła jej sumienie, jednak mogły one zapewnić jej niezależność. Stanowiły z jednej strony wskazówkę, by pozostać wierną pamięci ukochanego mężczyzny, ale ceną za to było nieustanne poczucie winy. Dlatego zamknęła się w swoim świecie, do którego dopuszczała jedynie Claudette, i czasami Hetty. Po tym, jak przekonała się na własnej skórze, że mężczyźni nie zawsze są tacy, jak się wydaje, uznała, że wiązanie swojej przyszłości z jakimkolwiek mężczyzną niesie ze sobą wielkie ryzyko. Odtąd Phoebe przyszłość widziała jedynie w Claudette.

W tym właśnie momencie lady Templeman przedstawiła jej wicehrabiego Ransome'a jako potencjalnego wielbiciela. Najbardziej pożądanym kandydatem na rynku matrymonialnym stanowił ucieleśnienie marzeń jej ambitnej matki, był bowiem utytułowany, zamożny oraz przystojny. Determinacja lady Templeman brała się stąd, że maniery wicehrabiego mogły się wydawać odstręczające. Chociaż jego kaprysy były niewolniczo naśladowane przez wszystkich amantów od lat siedemnastu do siedemdziesięciu, młode panny bały się jego bezpośredniości. Natomiast te starsze, którym jego mroczna uroda oraz brutalna szczerłość wydawały się podniecające, były zameżne. Lady Templeman wierzyła, że przy odrobinie zachęty ze strony Phoebe udałoby się doprowadzić do tego mariażu, gdyż lord Ransome wyraźnie starał się zyskać przychylną jej córki. Była to u niego rzecz niezwykła, bo na ogół nie chciał mu się nawet kiwnąć palcem, aby zainteresować sobą kobietę. To, czego Phoebe dowiedziała się od starszego brata o stylu życia lorda Ransome'a, wystarczyło, aby zdecydowała, że nie będzie on triumfotorem tam, gdzie innym się nie powiodło. Obserwowała go i przed, i po swoim ślubie z Claude'em i choć był mężczyzną interesującym i pewnie bardzo atrakcyjnym w łóżku, nie stanowił dobrego materiału na męża - chyba że jego wybranka gotowa byłaby przymknąć oko na jego przyszłe zdrady.

Najbardziej jednak niepokoiło ją to, że podczas podróży po Europie wicehrabia Ransome zyskał przyjaciół w kręgach arystokracji francuskiej, a jednym z nich był rozgoryczony młody hrabia, którego rodzina padła ofiarą zdrady Donville'a i którego rewelacje przysporzyły jej tyle bólu. Phoebe wolała więc nie ryzykować, bez względu na to, czy powiedziano Ransome'owi o wszystkim, czy nie. Nie sposób przewidzieć, co mógłby zrobić z tą wiedzą, o ile ją zdobył. Nie miała również pojęcia, dlaczego chciał ją bliżej poznać w zaistniałej sytuacji. Może mu wcale aż tak bardzo na niej nie zależało. Wiedziała, że ich znajomość mogła się okazać niebezpieczna, a matka nie da jej spokoju.

Wkrótce Leon wystąpił ze swoją propozycją. „Ferry House może być trochę zaniedbany - uprzedził - ale masz tu mój największy powóz, cztery konie, czterech stan-gretów i dwóch służących. Pakuj bagaże i jedź”. Wręczając jej żeliwny klucz, powiedział, co ma zrobić ze swoimi pieniędzmi i jak znaleźć murarza. Nie minął tydzień, gdy przy akompaniamencie płaczów i protestów matki Phoebe wyruszyła w drogę do Richmond, aby odnaleźć to magiczne miejsce, gdzie śpiewają ptaki i woda pluszcze na końcu ogrodu. I tak oto nareszcie znalazły się w raju - ona, Claudette, Hetty oraz guwernantka Tabby. Tutaj skończyły się koszmary, a zaczęły miłe sny.

- Słuchasz mnie, mamo?

- Tak, *chérie*. Słucham. Mów dalej. Dzieci ze wsi przyłączyły się do ciebie.

Wieśniacy z Richmond byli zachwyceni, mogąc wziąć Claudette pod swoje skrzydła. Cieszyło ich również to, że zaniedbywany przez lata Ferry House nareszcie ma lokatorów. Miejscowi mężczyźni chętnie udzielali Phoebe rad, jak odrestaurować ogrody i budynki, podczas gdy jej brat Ross wraz z żoną okazywali jej wyłącznie źle maskowaną zawiść.

- Zamoczyłam dół sukienki, mamo, bo chodziłam na bosaka.

- W takim razie przebierz się przed lunchem, chyba że zjemy na tarasie. Co powiesz na piknik?

- Och, naprawdę możemy? Mam pójść i powiedzieć pani Clough? - Claudette odwróciła się i pobiegła do kuchni przez ogródek ziołowy, przeskakując po drodze nad drzemącym kotem.

Kucharka, pani Tedowa Clough, i jej mąż, złota rączka, pracowali nieustrudzenie nad tym, aby ich pani żyło się w Ferry House jak najlepiej. Dla Claudette byli jak kochający dziadkowie, w przeciwieństwie do jej prawdziwych dziadków z Londynu, którzy mimo obietnic nie znaleźli dotąd czasu, by odwiedzić wnuczkę.

Phoebe patrzyła w ślad za córką ze ściśniętym sercem. To dziecko nie znało przystani ojcowskich ramion, nie szło z nim za rękę do kościoła i nie jeździło na konne przejażdżki. Rezygnując z powtórnego zamążpójścia, musiała wziąć to pod uwagę, coraz częściej jednak zadawała sobie pytanie, jak może to wpłynąć na dorastającą dziewczynkę. Claudette coraz częściej pytała o ojca, a wizyta wicehrabiego mocno ją zaintrygowała.

Phoebe westchnęła i kolejny już raz dotknęła warg, sprawdzając, czy są nadal obrzmiałe. Miała sobie za złe, że nie poprosiła Hetty, by dotrzymała jej towarzystwa. Wspomnienie porannej wizyty uzmysłowiło jej, że musi znaleźć wyjście z sytuacji, w której zagrożone jest szczęście tylu osób. A co z biednym, kochanym Leonem? On jeden pomógł jej, gdy znalazła się w rozpaczliwym położeniu, a choć zepchnął ją teraz w pułapkę bez wyjścia, należało go chronić przed takimi szubrawcami jak wicehrabia Ransome, którzy tylko czyhają na moment ludzkiej słabości.

Przeklinając wicehrabiego słowami, jakich dama nie powinna znać, rozmasowała sobie obolały nadgarstek, po czym wstała i, poprawiwszy szal, omiotła wzrokiem piękny ogród warzywny.

- Milordzie, nie wiem, co pan knuje, lecz tak łatwo mnie pan stąd nie wyrzuci - powiedziała ze złością. - Nie po to włożyłam w to wszystko tyle wysiłku, żeby to panu teraz podać na talerzu. A pomyśl, że będzie mnie pan miał na własność, może sobie pan wybić z głowy. Nie jestem niczyją własnością.

- Przepraszam, czy pani coś mówiła? - zapytał ją pomocnik ogrodnika, przechodząc obok z koszykiem brzoskwiń.

Posiłki na świeżym powietrzu były jedną z większych przyjemności Claudette, dlatego Phoebe kazała zrobić solidny drewniany stół i ławki, aby mogły jeść na tarasie, mając przed oczami rzekę, most i pola w oddali. Wysoki oświetlony słońcem mur chronił je od wiatru, zasłaniając zarazem kuchenny ogród po drugiej stronie.

Panna Maskell pojawiła się u Phoebe wtedy, gdy Claudette miała cztery lata, i od tamtej pory stała się nieomal członkiem rodziny. Drobna, ciemnowłosa, o wesołych oczach, była kopalnią wiedzy na każdy temat. O rok starsza od Phoebe, obszerne wiadomości zawdzięczała ojcu, uczonemu, lecz niezamożnemu profesorowi. Mimo że do każdej rozmowy musiała coś dorzucić, nikt nie protestował, bo była dobra, miła i swoją kulturą znacznie przewyższała przeciętne guwernantki. Tabby Maskell i kuzynka Hetty od razu się polubiły, gdyż w domu Phoebe zazdrość i snobizm były czymś obcym. Hetty przejęła na siebie wiele obowiązków domowych, nie ingerując w zadania pokojówki, bywała jednak czasami brana za gospodynię, a to z powodu siwych włosów i staromodnych sukni.

Znając upór, z jakim lady Templeton próbowała niegdyś skojarzyć Phoebe z wicehrabią Ransome'em, mogła się domyślać powodów przygnębienia kuzynki. Choć obcesowe maniery wicehrabiego nie były jej obce, nie spodziewała się, że ponawiając zabiegi, zrobi to w sposób tak pospieszny i natarczywy jak tego ranka. Żywiła nadzieję, że Ransome więcej nie wróci, żeby denerwować kochaną Phoebe, która wreszcie odzyskała spokój.

Phoebe zdawała sobie sprawę z tego, że Hetty dłużej nie może tkwić w nieświadomości co do ich nowej sytuacji, tym bardziej że problem dotyczył nie tylko jej samej i Claudette, ale także Hetty i Tabby Maskell. Wicehrabia Ransome miał się pojawić naza jutrz, aby podać im ostateczny termin wyprowadzki. Trzeba więc powiedzieć prawdę - a im prędzej, tym lepiej. Dlatego, gdy Claudette poszła spać, Phoebe poprosiła obie panie do salonu, żeby przekazać im straszliwą wiadomość.

Jak się można było spodziewać, zarówno Hetty, jak i Tabby okazały więcej współczucia i życzliwej troski niż przygnębienia i ze wzruszającą lojalnością zapewniły Phoebe, że pójdą tam, gdzie ona. Siedziały do późnej nocy, rozmawiając o przyszłości ich wszystkich oraz Claudette. Hetty i Tabby zgodnie uznały, że była to zemsta Ransome'a za obojętność okazaną mu niegdyś przez Phoebe, która powiedziała im, że nie ma co spekulować, bo końcowy rezultat byłby taki sam.

Phoebe nie była przygotowana na nieprzyzwoicie wczesny przyjazd Ransome'a, który pojawił się grubo przed godziną, o której dżentelmeni zwykli składać wizyty. Tak

więc Claudette i panna Maskell zobaczyły go pierwsze, gdy wyszły z ogrodu na podwórze. Dziewczynka, która nigdy nie widziała wicehrabiego, spodziewała się starca w purpurowych aksamitnych szatach, podbitych gronostajowym futrem i w koronie, a nie młodego przystojnego mężczyzny w surducie i popielatej kamizelce w prążki.

Wicehrabia zeskoczył z konia i, stanąwszy przed nimi, zdjął cylinder, po czym złożył nienaganny ukłon. Zauważył przy tym, że Claudette wpatruje się w jego lśniące buty.

- To wojskowe buty do konnej jazdy - wyjaśnił z uśmiechem. - Mogę się przedstawić? Jestem Ransome. A ty musisz być panną Donville. Mam rację?

Popchnięta delikatnie przez guwernantkę, dziewczynka dygnęła.

- Ma pan rację... milordzie. Mogę przedstawić panu moją guwernantkę, pannę Maskell?

- Do usług. - Ransome skinął głową, a Tabby zrozumiała, dlaczego od poprzedniego ranka Phoebe nie była całkiem sobą.

Nie protestowała, gdy zaproponował, że opowie im o swoim koniu. Pomyślała, że to idealna okazja, aby się poznali z Claudette, która najwyraźniej nie bała się ogromnego czarnego rumaka. Trudno jednak przewidzieć, pomyślała Tabby, jak dziewczynka zareaguje na wiadomość, że wicehrabia rości sobie prawa do ich domu. Czy wycofa się z tak szybko zawartej przyjaźni? Czy powinny były okazać mu taką samą nieprzychylność jak pani Donville?

Lodowata mina Phoebe, która pojawiła się w tym momencie na werandzie, wystarczyła za odpowiedź. Widać było, że najchętniej odprawiłaby niemiłego gościa. Mimo to pohamowała się, nie chcąc zrywać nici sympatii, jaka nawiązała się pomiędzy jej córką a wicehrabią. Oboje byli tak bardzo sobą zajęci, że zauważyli ją dopiero po chwili.

Zanim Phoebe uprzytomniła sobie cel wizyty Ransome'a, z niejaką satysfakcją obserwowała, jak krzepki i atletyczny mężczyzna, nieprzyzwoicie przystojny i pewnie tego świadomy, który wchodzi do jej domu jak właściciel, bo nim jest, z miejsca zawiera przyjaźń z jej córką. Przecież wiadomo, że mężczyźni zaczynają dostrzegać młode dziewczęta dopiero wtedy, gdy są na tyle dorosłe, że można je uwieść albo wydać za

maż. Mimowolnie Phoebe przypomniała sobie również, jak to jest być w jego ramionach, przyciśniętą do jego muskularnej piersi i zachłannie całowaną.

Odpędziła te szkodliwe myśli i wyszła na słońce z mocnym postanowieniem, że nie pozwoli się wciągnąć w dyskusję o końskiej uprzęży. Na twarzy miała wciąż maskę, jaką przybrała, gdy usłyszała tętent kopyt na podwórzu. Była wtedy na górze i nie zdążyła upiąć włosów, dlatego też nie miała pojęcia, jak prześlicznie wygląda.

Na jej widok Tabby Maskell zabrała podopieczną, zostawiając Phoebe z gościem. Zauważyła przy tym, że żadne z nich się nie poruszyło ani nie odezwało dopóty, dopóki ona i Claudette nie zniknęły w domu.

Dopiero wtedy, zdejmując skórzane rękawiczki, Ransome podszedł do Phoebe.

- Nie ma pani zwyczaju witać mile gości - skonstatował.

- Moi przyjaciele nie zgodziliby się z panem, milordzie. Wejdzie pan czy woli mi pan przekazać resztę złych wiadomości na dworze?

Jego oczy błysnęły w słońcu, ale machnął tylko cylindrem w stronę werandy i czekał, aż go wprowadzi do domu.

- Co za mistrzyni ciętego języka - mruknął. - Pani przodkowie...

- Gdyby moi przodkowie choć trochę pana obchodzili, wiedziałby pan, że Ferry House należał do rodziny Hawkinów od siedemnastego wieku. A teraz ma przejść w cudze ręce, i to w taki sposób? Moi przodkowie muszą się przewracać w grobie!

- Skoro mamy wyłączyć z tego przodków, to czy możemy porozmawiać o pani uroczej córeczce? Jest bardzo podobna do tej damy - orzekł, zatrzymując się przed portretem wiszącym nad stolikiem w holu. Położył na lśniącym blacie cylinder, rękawiczki i bat, po czym przyjrzał się damie w siedemnastowiecznym stroju, ewidentnie spokrewnionej z Phoebe. - Tak samo jak pani.

- Milordzie, przyjechał pan tak wcześnie, żeby porozmawiać o rodzinnym podobieństwie? - zapytała Phoebe, prowadząc go do salonu. - A może chce pan rozmową odwrócić moją uwagę, zanim zada mi pan śmiertelny cios?

- Powinna mnie pani poprosić, żebyśmy zajął miejsce. Chyba pani o tym wie. Cieszę się, że zmieniła pani zdanie i wpuściła mnie do domu. - Mówiąc to, usadowił się wygodnie w fotelu, po czym wyprostował nogi w opinających je ciasno bryczesach.

Phoebe usiadła na kanapie, sztywno wyprostowana.

- Proszę spocząć, milordzie - powiedziała, chociaż jej gość już siedział. - Jak był pan uprzejmy zauważyć w trakcie ostatniej wizyty, nie mam prawa zabronić panu wejścia do domu. Mimo to nie zamierzam spakować manatków i koczować na dworze, żeby pan mógł się od razu wprowadzić. Przecież ma pan co najmniej dwa domy, w których może pan mieszkać. Pewnie nawet więcej.

- Owszem, mam jeszcze kilka.

- Wynajmuje je pan, prawda?

Uśmiechnął się.

- Farmy w moich posiadłościach są wydzierżawione, ale Ferry House to tylko dom, prawda? Z lokatorką, i to zasiedziała.

- Chyba czymś więcej, milordzie.

- Ach tak? Zechce mnie pani oświecić?

- Ten dom był praktycznie w ruinie, kiedy tu przyjechałam. Od śmierci ojca nikt go nie wynajmował, a bratu nie był do niczego potrzebny. Nie chciał wydawać pieniędzy na jego renowację, więc mi go użyczył. Na szczęście, byłam w stanie przeprowadzić remont i zatrudnić kilka osób potrzebujących pracy. Nadal ich zatrudniam, a reszta jest za stara albo zbyt bezradna, żeby znaleźć inne zajęcie, więc zapewniłam im dach nad głową. Przyjęłam ich bez referencji, lecz jak dotąd nie miałam żadnych kłopotów. Ogrody były zapuszczone, a teraz są pełne warzyw i owoców, w które zaopatrujemy kilka zajazdów w Richmond. Nabiał mamy z własnej mleczarni, a resztę sprzedajemy na targu, przeznaczając zarobione pieniądze na pensje dla służby oraz koszty bieżące. Szkoda byłoby to wszystko utracić.

- A pieniądze odziedziczone po mężu?

- Zastanawiałam się, kiedy poruszy pan ten temat. Większość poszła na wymianę dachów, podłogi, tynki, okna i drzwi, wyposażenie kuchni oraz stajni. Wyremontowałam też poddasze dla moich pracowników, bo wydawało mi się, że skoro nie mogę zwrócić tych pieniędzy ich prawowitym właścicielom, powinnam przeznaczyć je na pomoc dla tych, którzy mieli mniej szczęścia niż ja. Niczego przed panem nie ukrywam. Proszę tylko o jedno, żeby moja rodzina nie poznała prawdy o moim mężu. Nauczyłam się z nią

żyć, ale dla nich byłaby to krzywda nie do naprawienia. Mój brat Ross, który mieszka w pobliżu pana, w Mortlake, jest adwokatem i nie zareagowałby mile na wieść o takim skandalu. Podobnie jak mój szwagier, lord Nateby, żeby nie wspomnieć o mojej matce i jej mężu.

- Templemanie? On ma swoje zdanie na każdy temat, czy się na nim zna, czy nie. Miałby z pewnością mnóstwo do powiedzenia.

- Zatem pan wie wszystko o moim mężu, tak?

- Owszem. Hrabia, który pani o tym powiedział, to zgorzkniały młody człowiek. Nie cieszy go, że przeżył. Chyba jednak żałuje tego, co zrobił, zwłaszcza odkąd przyjaciele wytłumaczyli mu niewłaściwość jego postępków. Moim zdaniem, nie musi się pani obawiać, że powtórzy to gdzieś poza kręgiem swoich rodaków.

- On może nie, obawiam się jednak, że może to zrobić ktoś inny, milordzie.

Nie mógł nie zrozumieć, do czego piła, nie wrócił jednak więcej do tego tematu.

- A pani najstarszy brat Leon? - zapytał. - Czy widział Ferry House po pani renowacjach?

Phoebe podeszła do okna i spojrzała na ogród otoczony różowym murem z kaskadami białych róż, na niskie, starannie przystrzyżone żywopłoty, a gdy przemówiła, głos jej był niewiele mocniejszy od szeptu:

- Nie widział. Jest artystą i nie powinien mieszkać w Londynie. To nie jest życie dla niego. Tak naprawdę, powinien przebywać tutaj, w Richmond, gdzie mógłby malować do woli. - Podniosła akwarelkę, która padła ofiarą jej ostatniego wybuchu złości. Ramka leżała w kawałkach obok małej sztalugi. - To jedna z jego akwareli. Moim zdaniem, ma prawdziwy talent, ale matka nigdy go nie zachęcała do malowania, a on nawet nie próbował niczego sprzedać. Potrzebuje żony i kogoś, kto chciałby zostać jego mecenasem. Ja powinnam do niego pojechać, bo to on, jako jedyny, pomógł mi, kiedy byłam w największej potrzebie.

- Czy rodzina wspiera panią w tym, co tu robi?

- Nie, milordzie - rzuciła przez ramię. - Teraz, kiedy znów będę potrzebowała pomocy, także nie mogę liczyć na wsparcie z ich strony. Jestem tego pewna.

- Mogę obejrzeć ten obrazek? - Ransome wstał, wziął z jej rąk akwarelkę i podniósł ją do światła.

Kiedy wpatrywał się w malowidło, Phoebe przyjrzała się wicehrabiemu, zastanawiając się, jakiego rodzaju kobiety tuliły się do niego, dotykały ciemnych bokobrodów i dołka w podbródku, gęstych włosów rosnących w ząbek na czole...

- Przecież to Marble Hill House - powiedział. - Bardzo dobra akwarela.

- Rozpoznał pan dom? To widok z...

- Z Ham House, położonego na drugim brzegu rzeki. Tak, dobrze znam to miejsce.

- Moja siostra z mężem mieszka tutaj, za drzewami. - Phoebe dotknęła lasu obok domu. - Jestem zdumiona, że zna pan to miejsce, milordzie. Myślałam, że... - Odwróciła się, wzruszając ramionami.

- Myślała pani, że poświęcałem cały swój czas na hazard, wyścigi lub wyrzucanie nieszczęsnych wdów z ich domów? A może na wyciąganie ostatnich pieniędzy z człowieka zbyt pijanego, żeby wiedział, co robi?

- Taka reputacja jak pańska raczej nie bierze się znikąd, prawda?

- Podobnie jak pani reputacja, ale nie musi się pani obawiać konsekwencji.

- Chyba że ktoś złośliwy chciałby ją znów rozpowszechnić.

- W jakim celu?

Wzruszyła ramionami i wzięła od niego obrazek.

- Z zemsty, jak sądzę. Czy nie tak czynią ci, co zostali odtrąceni?

- Jednak pani to pamięta? Usilne zabiegi pani mamy, aby...

- Proszę, niech pan przestanie! Nie chcę wracać do starych spraw. To niczemu nie służy. Poza tym matka przestała się wtrącać w moje życie. Do tego stopnia, że nie pofatygowwała się tu ani razu, żeby zobaczyć, gdzie mieszkają jej córka i wnuczka.

- Może i nie chce pani wracać do starych spraw, ale to pani dopiero co powiedziała, że mam pretensje o to, iż zabiegi lady Templeman spełzły na niczym. To interesująca teoria, ale ja nigdy dotąd nie musiałem korzystać z usług swatki. Kiedy jakaś kobieta wpadnie mi w oko, radzę sobie zazwyczaj bez niczyjej pomocy. A opór traktuję jako wyzwanie.

- A obojętność, milordzie? Zupełny brak zainteresowania? To zazwyczaj skutkuje.

- Och, myślę, że potrafię odróżnić prawdziwe uczucia od udawanych - powiedział cicho.

Opuściła akwarelkę, którą niby to oglądała, i zobaczyła, że patrzy na nią przez zmrużone powieki. Jego spojrzenie zdawało się przesywać ją na wskroś i czytać w jej duszy. Jako osoba uczuciowa, nie potrafiła zbyt dobrze ukrywać emocji, co musiało się odmalować w jej oczach.

Pozostanie dla niej tajemnicą, dlaczego nie zaprotestowała, kiedy zaczął jej dotykać. Gdyby ktoś jej powiedział, że pozwoli mu głaskać się po szyi, od podbródka po głęboki dekolt muślinowej sukni, uznałaby to za wytwór fantazji. Rzeczywiście, było w tym coś ze snu, bo stała jak lunatyczka, podtrzymywana spojrzeniem jego oczu i delikatną pieśczętą, wędrującą w dół i w górę jej szyi. Zapomniała o bożym świecie, liczyła się tylko bliskość Ransome'a. Pozwolił sobie na poufałość, miękką jak puch łabędzi, a jednak niepokojącą.

- Nie, milordzie - wyszeptała, gdy wreszcie ocknęła się transu. - Nie może pan tego robić. Jeżeli próbuje mi pan przypomnieć, co mogło się między nami wydarzyć, to ja tego nie potrzebuję. Nawet gdybym nie była w żałobie, nie widziałabym w panu mężczyzny, którego mogłabym... mogłabym... - Urwała, bo zabrakło jej tchu.

Czuła, że cała drży.

- Poślubić, tak? Okoliczności się zmieniły, prawda?

- Niestety, tak. Natomiast w tej kwestii nic by się nie zmieniło. Dlatego proszę więcej mnie nie dotykać. Nigdy! Mój wdowi stan może sugerować niektórym, że jestem do wzięcia, lecz tak nie jest. Nie będę do wzięcia dla mężczyzny pana pokroju. Nie zostanę też niczyją kochanką, więc jeżeli to miał pan na myśli jako cenę za mój dalszy pobyt w tym domu, to się pan pomylił. Moja propozycja negocjacji nie obejmuje tego typu sytuacji.

- Wie pani, że nawet mi to nie przyszło do głowy. Przykro mi, jeżeli pani coś takiego pomyślała. Sądziłem, że w zamian za możliwość dalszego zamieszkiwania w Ferry House byłaby pani skłonna ofiarować mi coś bardziej trwałego. Skoro powiedziała pani, że wie, jakiego pokroju mężczyzny nigdy by pani nie poślubiła, wygląda na to, że nie mamy o czym rozmawiać.

Musieli przerwać dialog, gdyż pokojówka postawiła na stoliku tace z dzbankiem czekolady i małymi biało-niebieskimi kubkami. Gdy Phoebe jej podziękowała, dygnęła z uśmiechem i pokuśtykała do drzwi.

- Czy ona uległa wypadkowi? - zapytał Ransome.

- W pewnym sensie, tak. Była ulicznicą, ciężko pobita, kiedy ją znalazłam. Chcieli ją zamknąć do więzienia, ale ich uprosiłam, żeby mi ją pozwolili wziąć do siebie. Mieszka tu od dwóch lat.

- Ach, tak. Jedna z pani bezradnych podopiecznych.

- Mam dwie takie pokojówki do wszystkiego. Jedna była w przytułku na wzgórzu. Co pan powiedział przed chwilą? Chyba nie dosłyszałam.

- Jeżeli będzie pani nadal trzęsła tak dzbankiem, to będzie pani miała więcej czekolady na tacy niż w kubkach. Pozwoli pani, że ja naleję. Proszę usiąść.

Spodziewała się, że podczas tego spotkania będzie zirytowana, a nawet zła. Nie zamierzała przecież oddać domu bez walki. Nie przypuszczała jednak, że poczuje zakłopotanie i pewną bezradność w towarzystwie tego niezwykłego człowieka. W Londynie nie pozwoliła mu zbliżyć się aż tak bardzo do siebie. A teraz wypełniał sobą cały pokój, sprawiając, że poczuła się bardziej kobieca i pożądana niż kiedykolwiek. Żaden znajomy mężczyzna nie odważyłby się mówić i zachowywać tak jak on. Z drugiej strony, co ją opętało, że mu na to pozwoliła?

- Powinnam posłać po panią Spindelów - powiedziała. - Gdyby pan nie przyjechał tak wcześnie...

- Proszę wypić czekoladę. Poradzimy sobie bez przyzwoitki.

- Hetty to moja przyjaciółka. Nie mamy przed sobą sekretów.

- Czy ona wie o panu Donville'u?

- Nie. Nikt nie wie o tym oprócz pana.

- Oprócz mnie. Zatem musimy porozmawiać o pani przyszłości oraz o tym, jak obejść przeszkodę, jaką jest kwestia własności. A do tego nie potrzebujemy widowni.

- Kwestia własności? Nie jestem pańską własnością, milordzie. Może i wyglądam na typową bezbronną kobietkę, ale...

- Tego bym nie powiedział.

- Niech mi pan pozwoli skończyć.

- Cały czas na to liczyłem. To brzmi interesująco. - Wziął kubek i opróżniwszy go jednym haustem, odstawił z uśmiechem. - Słucham dalej. Bezbronną...?

Phoebe wzniosła oczy do góry, modląc się w duchu o cierpliwość.

- Lordzie Ransome, moim zdaniem, jest pan najbardziej irytującym, apodyktycznym grubianinem, jakiego spotkałam.

- Mogłem się tego domyślić, sądząc po pani minie - odparł, nie przestając się uśmiechać. - Czyli nie zaakceptowałaby mnie pani jako męża, tak? Szkoda. Oboje mamy tak wiele do zaoferowania.

TLR

Rozdział trzeci

Znowu to samo spojrzenie, pomyślał Ransome, jakby podjęła decyzję, zanim usłyszała jego propozycję. Od początku był przygotowany na to, że będzie musiał użyć perswazji, tymczasem już w trakcie poprzedniego spotkania odkrył tę stronę Phoebe Donville, którą znał tylko jej zmarły mąż. Jak jej matka mogła być tak głupia, żeby zezwolić na ten mariaż? Znał dobrze Claude'a Donville'a, bezwzględnego uwodziciela i krzywoprzysięcę. Jaka szkoda, że właśnie szesnastoletnia Phoebe Hawkin wpadła mu w oko. Oczarowana nim uwierzyła, że francuski wdzięk wystarczy za wszystko.

Poczuł, jak pragnęła bliskości mężczyzny. Topniała w jego ramionach, kiedy ją całował i silnie reagowała na pieszczoty. Była podniecona, ale zaraz po tym zła. Odmowa przyszła jej bez trudu.

- Nic podobnego! - zaprotestowała. - Nie mam panu nic do zaoferowania, lordzie Ransome, z wyjątkiem tego, że mogę pozostać zapobiegliwą lokatorką pańskiej posiadłości. Pan nie ma mi do zaoferowania nic, co by mnie interesowało, z wyjątkiem domu.

- Wszystkie wyjątki mogą być podstawą do negocjacji, prawda? Gdyby zechciała pani słuchać tego, co mówię, zamiast dawać posłuch własnym uprzedzeniom, miałyby pani więcej podstaw, by robić sobie nadzieje. Proponuję pani możliwość dalszego zamieszkiwania w tym domu, a także coś jeszcze. Niestety, jest pani z góry nastawiona wrogo do wszelkich moich ofert. Może byłoby lepiej, żeby pani jednak się nad tym zastanowiła?

- Nie chcę - odparła, zerkając z ukosa na Ransome'a. - Zdecydowałam się na ten krok tylko raz i zostałam oszukana, a ten ból wciąż we mnie tkwi jak zatruty kolec. Nie pozwolę na to, aby jakiś mężczyzna znów zawładnął moim życiem. Niech mi pan powie, że się mylę, iż nie o tym pan myślał.

- Nie pomyliła się pani - odparł. - Istotnie, zastanawiałem się nad małżeństwem. Nie ma pani szesnastu lat i nie tak łatwo panią oszukać. To uczciwa propozycja. Najwyższa pora, żebym się ożenił, a pani powinna zatrzymać dom.

Ransome spodziewał się gwałtownej odmowy, lamentów ze wszystkimi „jak to” i „dlaczego”. Phoebe jednak milczała, okręcając obrączkę na palcu. Błądziła wzrokiem po

pokoju, zatrzymując go na dobranych z wielkim smakiem przedmiotach, srebrnym dzbanku z czekoladą, porcelanowych kubkach... Miała świetny gust, wycucie, wrażliwość oraz dobre serce, uczciwość i odwagę - czyli wszystkie zalety, które cenił i podziwiał w kobiecie. Musiał pamiętać o tym, że po odkryciu prawdy o śmierci i zdradzie męża pani Donville stała się równie krucha i podatna na zranienie jak biedne stworzenia, które przygarnęła pod swoje skrzydła.

- Czy o to panu chodziło, kiedy mówił pan, że zostanę jego własnością, tak samo jak dom? - odezwała się w końcu. - Jeżeli tak, to przyznam, że na myśl o tym wszystko się we mnie burzy. Nie byłam panią Ferry House, ale przez ostatnie dziewięć lat byłam panią siebie i przyzwyczaiałam się do tego stanu rzeczy. Żaden pan i właściciel nie jest mi do niczego potrzebny. Czy rzeczywiście nie może pan pozwolić mi żyć jak dotąd? Nie wystarczy panu akt własności domu? Poza tym z tego, co wiem, nie uskarża się pan na brak damskiego towarzystwa.

- Potrzebuję żony, a pani nie tylko mieszka na terenie mojej posiadłości, ale również skupia w sobie wszystkie zalety, jakich szukam u przyszłej towarzyszką życia. Wierzę, że potrafimy się zorganizować tak, by żyło nam się całkiem znośnie. Dowiodła pani, że potrafi doskonale zarządzać domem, a nawet więcej. Rozumiem, że prowadzi pani rachunki?

- Oczywiście, że tak - przytaknęła.

- To niesłychane.

- Zamierza mnie pan teraz zapytać, czy śpiewam, gram na fortepianie oraz harfie, maluję i haftuję, robię wiśniówkę i ocet malinowy? Może chce pan sprawdzić komody z obrusami i pościelą, a także przepytać stangreta? Trzymam też konie, gdyby pan nie wiedział.

- Ma pani zwyczaj pytać gości, czy chcą jeszcze jeden kubek czekolady?

- Nie, kiedy sami sobie nalewają.

- Otóż to! - Ransome usiadł prosto. - Może jeszcze jedną czekoladę? - spytał z uśmiechem. - Podobno świetnie koi nerwy.

- Moim nerwom nic nie dolega, a przynajmniej nic, czego nie dałoby się naprawić przy odrobinie współdziałania z pańskiej strony. Nie mógłby pan wziąć pod uwagę moich próśb?

- Już to zrobiłem. - Nalał czekolady do obu kubków i postawił jeden przed Phoebe.
- Jak widać, jestem nieźle wytresowany. Rozumiem pani zastrzeżenia. Nie depczę po nich buciorami, bo wiem, jak można się z nimi uporać. Gdyby tylko zechciała pani pójść na pewne ustępstwa...

- Ustępstwa?! - wykrzyknęła Phoebe, omal nie rozlewając przy tym czekolady. - Uważa pan, że małżeństwo wbrew zdrowemu rozsądkowi to z mojej strony ustępstwo? Rezygnacja z wolności na rzecz kogoś, kogo nawet nie lubię? Wpuszczenie go do domu, który sama odbudowałam, wkładając w to siły i serce? Danie córce ojczyzna z pańską reputacją? Pan to wszystko nazywa ustępstwem?!

- Nie wypada kręcić nosem na pewny dach nad głową, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy tylu nieszczęśników śpi na ulicy. Lojalna służba, dobrze prowadzony dom, konie w stajniach - ze stangretem czy bez - to znacznie więcej, niż pozostało niejednej wdowie. Na pani miejscu rozważyłbym jeszcze raz wszystkie opcje, bo oferta równie hojna jak moja może się pani nie trafić.

- Mam rozumieć, że jeśli się nie zgodzę, wyrzuci nas pan z Ferry House? Czy to jedna z tych opcji?

- Na razie rozważamy te korzystne. Powiem pani, kiedy dojdziemy do niekorzystnych. Niechże pani dopuści do głosu rozum, kobieto, i przestanie roztkliwiać się nad sobą.

- Tak zrobię. Pojadę do Leona i porozmawiam z nim o moim przewrażliwieniu.

- Kiedy ostatnio go wiedziałem, nie był stanie z kimkolwiek rozmawiać. Trzeba go przywieźć do Richmond. Niedaleko stąd mieszka mój przyjaciel, który użyczy mu lokum, gdzie Leon będzie mógł dojechać do siebie, być w pobliżu rodziny, a niewykluczone, że zacznie malować. Wspomniała pani, że jest mu potrzebny mecenas. Pomyślałem o kimś takim.

- Naprawdę zrobiłby pan to dla Leona?

- W ramach naszej umowy gotów jestem zrobić, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Ktoś, kto tak maluje, nie powinien tracić czasu przy zielonym stoliku.

- Gdy go pan ogrywał, nie myślał pan o tym.

- Wtedy milczał o swoich talentach. Niespodziewanie może się okazać, że ta przegrana to najlepsze, co mogło mu się przydarzyć. Wszystko w pani rękach.

Phoebe zajrzała do pełnego wciąż kubka, a potem odstawiła go na tacę i wstała, wyraźnie przygnębiona. Ciężła jej świadomość, że od jej decyzji będą zależały losy wielu osób.

- Leon bardzo potrzebuje pomocy. Jestem mu to winna. Przyznam, że stawia mnie pan w wyjątkowo trudnej sytuacji.

- Wręcz przeciwnie, to nadzwyczaj nieskomplikowana sytuacja. Może nie jestem najlepszym kandydatem na ojczyma dla pani córki, podejrzewam jednak, że zanim udałoby się znaleźć taki ideał, przestałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Poznałem ją, dobrze nam się rozmawiało i wydawała mi się urocza. Czy nie czas, żeby wreszcie miała ojca? Przecież tak naprawdę do tej pory go nie miała.

Przydałoby jej się także rodzeństwo, pomyślał Ransome, patrząc na zgnębioną Phoebe. Wiedział, co mu odpowie, jeszcze zanim zaczęła mówić.

- Proszę mi dać trochę czasu, dobrze? Chyba że panu bardzo się spieszy, aby wziąć w posiadanie dom?

Nie dom, odparł jej w duchu, a głośno powiedział:

- Nie ma pośpiechu, bo wykańczam nową rezydencję w Mortlake. Rzemieślnicy będą tam jeszcze przez tydzień, ale dam sobie radę.

Ransome podszedł do okna, stanął za Phoebe i popatrzył na Claudette, która w towarzystwie Tabby Maskell i Hetty siedziała na kamiennej ławce pod murem. Czarne i lśniące włosy Phoebe roztaczały miły zapach. Delikatny, kwiatowy, z lekko orzeźwiająca nutą.

- Mam pomysł - oznajmił. - Przyjadę jutro po lunchu i zabiorę panią do mojego przyjaciela. Jest malarzem i kolekcjonerem. Będzie pani mogła porozmawiać z nim i jego żoną o swoim bracie, a także osądzić, czy są w stanie mu pomóc.

- Co to za ludzie? - zapytała, nie odwracając się.

Poczuł, jak drży, chociaż ich ciała się nie stykały.

- Mieszkają w Ham. Z pewnością ich pani polubi, tak jak wszyscy. Potem, jeśli pani uzna, że nie stać pani na dalsze ustępstwa, da mi pani znać.

Phoebe wychwyciła w jego głosie nutę ironii.

- Dobrze - odrzekła. - Dziękuję. To rzeczywiście pomoże mi w podjęciu decyzji. Nie jest to chyba jednak najlepsza droga na szukanie żony, lordzie Ransome. Mało pan o mnie wie poza tym, co wolałabym zachować w tajemnicy. Ja też wiem o panu niewiele, a to, czego się dowiedziałam, ani trochę mi się nie podoba, w przeciwieństwie do mojej matki. Z drugiej strony, ma pan świadomość, kogo wcześniej tak ochoczo zaakceptowała.

- Dlatego będzie najlepiej, jeżeli pani przestanie słuchać tego, co inni mówią na mój temat i spróbuje się sama przekonać, jaki jestem. Będę tutaj jutro, tuż po południu. A teraz życzę miłego dnia. - Pochylił głowę i dotknął ustami karku Phoebe.

Stała bez ruchu, kiedy Ransome pocałunkami znaczył linię od wycięcia sukni aż po włosy.

Nagle uprzytomnił sobie, czym pachną jej włosy - mirtem.

Pszczoly wokół brzęczały leniwie, a kot wyszukał sobie najbardziej nasłonecznione miejsce na podłodze. Niestety, ten sielski spokój nie udzielił się Phoebe. Sprzeczne myśli kłębiły jej się w głowie. Wciąż czuła na karku ciepłe wargi Ransome'a. Drażniące prądy biegły od nich w dół jej pleców, poprzez brzuch, aż po uda. Na przemian to drżała, to omdlewała, rozchyłała usta, nabierając tchu, by zaraz potem stłumić bolesny jęk. Niech go diabli, przeklinała go w duchu. Niech go wszyscy diabli...

Przycisnęła bezwiednie ręce do brzucha, nakazując sobie spokój. Ransome wciąż stał za nią. Czuła bijący od niego żar i chociaż jej nie objął, musiał chyba zdawać sobie sprawę z tego, jak działała na nią jego bliskość. Nadawało to nowy wymiar szczeremu stwierdzeniu, że potrzebuje żony. W ten zawoalowany sposób chciał dać jej do zrozumienia, że to ona potrzebuje męża. I to nie było jakiego, lecz mężczyzny w sile wieku, doświadczonego, odważnego, który byłby w stanie wyprzeć z jej pamięci wyblakłe wspomnienia zabiegów miłosnych Claude'a Donville'a. Urodzenie dziecka nie zaspokoilo jej potrzeb, tylko je nasiliło. Efektem tego był wewnętrzny konflikt, w którym pra-

gnienie mężczyzny i lęk przed miłosnym zawodem ścierały się ze sobą nieustannie. Nikomu nie udało się zakłócić tej niezdrowej równowagi. Aż do tej pory.

Odwracając się od okna, uznała w duchu, że wszystko, co ją spotkało, jest straszliwie nie fair. Utrata domu na rzecz jednego z najbardziej znanych londyńskich dandysów. Możliwość pozostania w nim, roztoczenia opieki nad Leonem za cenę ślubu z tym człowiekiem, który, co gorsza, stałby się ojcem dla Claudette. Prawda, że nieodpowiednim, ale lepszy taki niż żaden. A bezpieczeństwo tych nieszczęśników, którzy dla niej pracowali? Jak mogłaby ich zawieść? Kto by ich przyjął? Kto poprowadzi ten dom i dokąd pójda ona i Claudette? Zgnębiona Phoebe nie potrafiła odpowiedzieć sobie na te pytania. Dlatego pojedzie z tym apodyktycznym człowiekiem do jego przyjaciół w Ham. Mimo licznych zastrzeżeń nie wolno jej zapomnieć, że dobro Leona i Claudette jest teraz najważniejsze.

Musiała też pamiętać o zdradzie i haniebnej śmierci męża, o której wicehrabia nie wspomniałby, gdyby nie zamierzał wykorzystać ich przeciwko niej. Nie mówił wprawdzie, że użyje swojej wiedzy jako narzędzia nacisku, lecz nie zapewnił jej, że tego nie zrobi.

Phoebe zastanawiała się, ile czasu minie, zanim reszta rodziny zareaguje na wiadomość o najświeższych długach Leona. Nie musiała długo czekać. Jak zwykle brat Ross z żoną pojawił się, ledwie domownicy Ferry House zdążyli wstać od stołu po lunchu. Każdego innego dnia Phoebe zareagowałaby na to uśmiechem, jednak Ross i Josephine bawili u niej niespełna tydzień temu, więc kolejna wizyta w tak krótkim odstępie czasu musiała oznaczać, że dotarły do nich alarmujące wieści od matki.

W tej skomplikowanej sytuacji Phoebe przydałoby się rozsądne, życzliwe wsparcie, jednak porady Rossa Hawkina bywały zazwyczaj tak katastroficzne i najeżone prawnymi klauzulami, że wolała, aby trzymał się z daleka od jej spraw. Poprosiła Hetty, by uprzedziła kucharkę o przybyciu niespodziewanych gości, a Tabby Maskell poleciła zabrać Claudette na górę i doprowadzić do porządku, jeśli nie chcą później do końca życia wysłuchiwać uwag, że mała jest zaniedbana.

Drzwi powozu otworzyły się i z pojazdu wysiedli państwa Hawkinowie wraz z trzyletnim synkiem Arthurem, wyjąłym i rozglądającym się za najbliższą nogą, której mógłby się ucześcić.

- Wejdźcie, proszę! - zawołała Phoebe, przekrzykując krzyki chłopca. - Jedliście już lunch? - Wiedziała, oczywiście, że nie, i знаła na pamięć powody. Albo kucharka zachorowała lub coś ich zatrzymało w mieście i postanowili zajrzeć w drodze do domu. Nie planowali zostać na lunch, ale skoro kucharka Phoebe coś przygotowała, pomogą to zjeść. A poza wszystkim Phoebe ma o wiele większy ogród i lepiej zaopatrzoną spiżarnię... i tak dalej... i tak dalej... Porównywanie ich posiadłości stanowiło ulubiony temat brata i bratowej.

Nie próbując ocenić stanu ducha Phoebe, odziana w szkarłatne atłasy Josephine zamknęła ją w przesadnie wylewnym uścisku. Odwzajemnienie go stanowiło fizyczną niemożliwość, gdyż bratowa musiała być w co najmniej siódmym miesiącu. Dało to Phoebe szansę na skrócenie powitania, ale Josephine zdążyła ją jeszcze chwycić mocno za ręce, zmuszając do przyjęcia na siebie pełnego impetu jej emfaticznych słów oraz zboląlej miny.

- Och, droga Phoebe, co za straszna historia! Musiałaś słyszeć o tym od lady Templeman. Co za szok! Od razu powiedziałam panu Hawkinowi: „Musimy jechać do twojej kochanej siostry i być z nią w godzinie potrzeby. Chociaż niańka ma dziś wychodne, trzeba podyskutować o tym, co dalej”. Nie tak było, panie Hawkin?

Słuchając jej, Phoebe nie mogła się oprzeć cynicznej refleksji, że żadna dyskusja z Rossem i Josephine nic nie da. Mieszkała w ich pobliżu od trzech lat, podczas których ani razu nie pospieszili jej z pomocą. Josephine, płodna i zdrowa jak rydz, znalazła sobie doskonałą wymówkę, że jest chorowita, dzięki czemu nie musiała się angażować w nic, co wymagałoby najmniejszego nawet wysiłku. Phoebe nie mogła się nadziwić, że brat się na to godzi, skoro z takim zapałem tropił i tępił wszelkiej maści obiboków. Leon był najwdzięczniejszym celem jego ataków.

- Co za potworna sprawa! - zagrzemiał Ross, cmokając Phoebe w oba policzki. - Strach pomyśleć, do jakiego stanu musiał doprowadzić się Leon, skoro zrobił coś tak

koszmarne! - Mówiąc to, odczepił synka od nogi i wziął go na ręce, a ten natychmiast uwiesił mu się na szyi.

Zanim dotarli do przytulnej, złoto-białej jadalni, Hetty i jedna z pokojówek zdażyły ustawić na świeżo sprzątniętym stole nowe nakrycia, jakby nieproszeni goście byli od początku spodziewani. Wniesiono półmiski zimnych mięs, świeże pieczywo, tartaletki z serem, miski sałaty i rukwi, a także plastry jabłka w cukrze i krem migdałowy, przeznaczony na obiad. Po dłuższej dyskusji, czy głód Arthura jest prawdziwy, czy tylko udawany, Claudette i Tabby zabrały malca do ogrodu. Zamiast dać mu kawałek rukwi, żeby to sprawdzić, kochająca mamusia poczęstowała go tartaletką. Skutek był taki sam, tyle że chłopczyk upaprał wszystko wokół siebie.

Jak się można było spodziewać, sposobność najedzenia się za darmo zepchnęła na dalszy plan kwestię interesów. Potrawy w zastraszającym tempie znikwały z półmisków, a Phoebe musiała poczekać, aż brat odłożył sztucce, zanim raczył podjąć temat.

- Kiepska sprawa - orzekł, ocierając usta. - List od mamy przyszedł dziś rano. Leon musiał się zabawiać w klubie, U Brooksa. Synowie Templemana byli tam, kiedy to się stało, i dzięki temu się dowiedziała. - Omiótł wzrokiem stół w poszukiwaniu dokładki, po czym nalał sobie kolejny kieliszek wina z czarnego bzu. - Bardzo dobre - skonstatował. - Prawie tak dobre jak zeszłoroczne.

Phoebe zawrzała gniewem.

- Czemu, na Boga, nie zareagowali? Nagle zaniemówili?

- Po pierwsze, nie można powstrzymać dorosłego człowieka przed zastawieniem swojej posiadłości, skoro to jedyna waluta, jaką posiada. Jeżeli pozostali gracze zgodzili się na to, nie było powodu do ingerencji.

- Przecież synowie Templemana to nasi powinowaci, Ross.

- Nie wiedzieli o posiadłościach Leona.

Ross, w wieku lat dwudziestu dziewięciu, należał do najbardziej wziętych członków palestry w Mortlake i rzadko pomijał okazję, żeby wszystkim o tym przypomnieć. Zaczynał tracić włosy na czubku głowy, przybywało mu za to w talii. Pulchna twarz była chłopięca raczej niż przystojna. Skłonny do ostentacji, większą wagę przywiązywał do rozmiarów złotej dewizki przy zegarku niż do jakości materiału i kroju pantalonów.

- Czy mama nie zaproponowała mu pomocy?

- Odpowiedź jest prosta, moja droga. Wszystko w rękach Templemana. Nawet gdyby mama chciała zrobić coś dla naszej rodziny, on ma na utrzymaniu dwóch gamoniów. Dlatego nie poręczy za długi Leona.

- Nawet wtedy, gdy stawką jest utrata rodzinnych włości?

- Nawet wtedy. To prywatna sprawa Leona.

Podczas gdy Ross smarował masłem kolejną kromkę chleba, jego żona dostrzegła swoją szansę i zabrała głos.

- Kochana Phoebe, koniecznie musimy wiedzieć, co zamierzasz w zaistniałej sytuacji. Jeżeli ten okropny Ransome przejmie dom - a nie wątpię, że tak - co stanie się z tobą i Claudette? Wicehrabia kupił to miejsce obok nas, Greenwater, i sąsiedzi obawiają się, że chce tam ulokować ostatnią kochankę. Nie miej takiej zaszokowanej miny, mój mężu, ponieważ nie znajduję na to innego słowa. Dowiedziałam się o tym od pani Blackmann, bo pan Blackmann rozmawiał z kolegą rzemieślnika. Wicehrabia spędził tam dwie ostatnie noce, wiem to od niańki, która przechodziła tamtędy dziś rano. Widziała przed domem jego kariolkę*, więc być może zamierza złożyć ci wizytę, Phoebe. Czy chciałabyś, żeby któreś z nas było przy tym?

* Kariolka - odkryty spacerowy powozik (przyp. tłum.).

Zimny dreszcz przebiegł Phoebe po plecach. Wiadomość, której tak się obawiała, została jej przekazana lekkim tonem, dokładnie tak samo jak smakowite plotki, jakimi Josephine zaśmiewała sobie umysł. Ransome miał kochankę gotową się wprowadzić do Mortlake, choć zaledwie kilka godzin wcześniej złożył jej matrymonialną ofertę i całował ją w kark. Poczuła, że wszystko się w niej przewraca ze złości. Przyszło jej cierpieć, zanim się do czegokolwiek zobowiązała? Co będzie, jeśli sprawy zajdą tak daleko, że nie będzie drogi odwrotu? Czy może powiedzieć mu „tak”? Czy potrafi po raz kolejny znieść ból, kiedy będą deptać jej dumę?

Aż do tego momentu Phoebe celowo trzymała w tajemnicy wiadomość o wizycie wicehrabiego. Teraz jednak, jakby w przeciwwadze dla wypowiedzianej gładko informa-

cji o jego kochance, podziękowała Josephine za wielkoduszną propozycję pomocy i zaskoczyła ją nową rewelacją.

- Nie, dziękuję. Wicehrabia Ransome był już u mnie.

Nóż Rossa zazgrzytał o talerz.

- Był tu? Kiedy, jeśli wolno zapytać?

- Ależ oczywiście. Odwiedził mnie wczoraj.

- Bez zapowiedzenia?

- Przysłał wiadomość. Nie otrzymałam listu od mamy. Widocznie uznała, że powinniście się dowiedzieć przede mną.

- Przecież gdybyś mi dała znać, Phoebe, mogłem tu przyjechać, prawda? - Ross położył ręce na stole.

- W jakim celu?

- W celu wsparcia rodziny! Jakim innym? Poza tym to nie wypada, żeby młody nieżonaty mężczyzna przebywał sam na sam z...

- Och, daruj sobie! Jestem wdową i liczę dwadzieścia sześć lat. Mam tu Hetty oraz dom pełen kobiet. Gdybym je wezwała na pomoc, rozerwałybyśmy go na strzępy, lecz tego nie zrobiłam i, jak widzisz, nic mi się nie stało. Sama sobie poradzę. W końcu robię to od trzech lat.

- Jesteś niesprawiedliwa, Phoebe. Mieszkamy zaledwie o kilka mil stąd, po drugiej stronie parku. Mogłaś do nas wpaść, jeżeli czegoś potrzebowałaś.

- Mówiliśmy ci, że Ferry House jest dla ciebie za duży - wtrąciła się Josephine, która niespodziewanie złapała wiatr w żagle. - Byłoby znacznie lepiej, gdyby...

- Gdybyście to wy go mieli - dokończyła Phoebe. - Leon w odruchu serca użył mi domu, kiedy potrzebowałam wsparcia, i nigdy mu tego nie zapomnę. On jeden zrobił coś dla mnie. Żałuję tylko, że nie zobaczył, jak bardzo na korzyść zmienił się dom i jego otoczenie.

- Ja też żałuję, siostró - rzekł ironicznie Ross, zdejmując serwetkę z kolan i rzucając ją na stół. - Wielki dobrodziej. Jedną ręką daje, a drugą odbiera. Ciekawe, czy będziesz mogła liczyć na jego pomoc, kiedy przyjdzie ci spakować swoje rzeczy i wyjechać? Czy Ransome wyznaczył ci ostateczny termin?

- Nie wyjadę - powiedziała cicho Phoebe i spojrzała na Hetty, która nie odzywała się dotąd ani słowem.

Zapadło milczenie, które przerwała Josephine:

- A powinnaś. Ransome to nie jest człowiek, z którym warto zadzierać.

- Rozumiem, że chcesz mi pomóc - odparła Phoebe. - Macie dla mnie realną propozycję? Możemy z wami zamieszkać? Nie, uspokój się, żartuję. Nie rób przerażonej miny. Przecież wiem, że wasz dom jest o wiele za mały, a nawet gdyby nie był, to i tak wykluczone, prawda? Trzymam przecież u siebie te upadłe dziewczyny jako pokojówki, a to raczej nie w waszym stylu.

- Takie dyskusje prowadzą donikąd - stwierdził Ross. - Chodzi o to, jak zapewnić ci dach nad głową, a nie o styl. Musisz myśleć o Claudette. Nie sądzę, żeby

Leon zaprzął sobie głowę takim drobiazgiem, kiedy przegrał Ferry House.

- Nie obrażaj przy mnie Leona, bardzo proszę. To dzięki niemu miałam trochę spokoju po tym, co przeżyłam. Teraz sam ma kłopoty. Boję się nawet pomyśleć, co się z nim dzieje. Powinnam to sprawdzić. Bo ty raczej nie pojedziesz, prawda?

Ross udał, że nie usłyszał pytania siostry.

- Przede wszystkim musisz rozwiązać swoje problemy - powiedział, odsuwając krzesło. - Gdybyśmy mieli warunki, zaproponowalibyśmy ci, żebyś u nas zamieszkała. We wrześniu urodzi się drugie dziecko i nie będzie dla was miejsca. Naszej siostrze Mimi także nie wiedzie się najlepiej w Twickenham. Mieszka z matką Nateby'ego, jego siostrami i, oczywiście, dziećmi. Należy wziąć adwokata, choć sprawa nie wygląda zbyt dobrze. Jeżeli Ransome chce przejąć dom, musicie ustalić, ile zechce dać ci czasu. Na nic więcej nie możesz liczyć, skoro dałaś mu jasno do zrozumienia, że nie życzysz sobie mieć z nim nic wspólnego.

- Ross, byłam wtedy w żałobie. Nikt, kto ma bodaj odrobinę serca, nie mógł po mnie oczekiwać, że będę towarzysko usposobiona w takich okolicznościach.

- Ransome raczej nie słynie z dobrego serca, prawda?

Przypomniała sobie delikatne pieszczoty, lecz nic nie powiedziała.

- Kochanki! - sapnęła Josephine. - To haniebne! Będiesz bardzo dobrą guwernantką, moja droga Phoebe. Znasz dobrze francuski i masz świetne podejście do dzieci.

Ale ty, Hetty... Nie wiem, co moglibyśmy z tobą zrobić... Chyba że jest gdzieś starsza dama, która szuka kogoś do pomocy. - Wypinając brzuch, potoczyła się do okna, kompletnie nieświadoma tego, jak niesmaczny przedstawia sobą widok.

- Nie musimy nic robić z Hetty - rzuciła ostro Phoebe, kładąc dłoń na rękę wiernej towarzyski. - Ona jest w taki sam sposób częścią mego życia, jak Claudette, i pójdzie wszędzie tam, gdzie ja. Zakładam, że jeśli lord Ransome spędza większość czasu w Mortlake ze swoją kochanką, nie będzie przyjeżdżał tu zbyt często. Może więc pozwoli mi zostać? Jak na razie nie zapadły żadne decyzje.

- Nie oglądał domu i ogrodów? - zapytał Ross, wstając od stołu.

- Nie, przyjechał tylko, żeby mi przekazać wiadomość. Wróci jutro.

Ross wyczuł, że siostra nie wiąże wielkich nadziei z tą wizytą.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył? - zapytał.

- Nie, dziękuję. Nie wierzę, aby chciał nas wyrzucić w ciągu najbliższego tygodnia.

- Pozwól, że przed wyjazdem udzielę ci pewnej rady, moja droga. Nie próbuj odgadywać intencji człowieka takiego jak Ransome. Może i posługuje się nietypowymi metodami, lecz nie jest głupcem jak nasz kochany braciszek. Nigdy nie postawiłby w grze czegoś, na czego utratę nie może sobie pozwolić. Żadna kobieta, jak dotąd, nie oskarżyła go o ojcostwo swojego dziecka. To akurat wiem.

Phoebe znowu poczuła zimny dreszcz.

- Dziękuję ci za radę - wyszeptała.

Chciałaby mu powiedzieć, że ta druga kwestia jest zupełnie bez związku, ale Ross był adwokatem i nie udzielałby porad, wszystko jedno, darmowych czy za pieniądze, gdyby nie było to istotne.

Przysłuchując się rozmowie przy stole, Hetty patrzyła, jak Hawkinowie obżerają się, obojętni na stan ducha Phoebe, żywo za to zainteresowani stanem jej posiadania. Widziała, jak Josephine ogląda ukradkiem próby na srebrnych sztuccach, jak podnosi kieliszek do światła, żeby sprawdzić błysk rżniętego kryształu, jak maca koronki przy obrusie i chciwym wzrokiem taksuje kotary ze złotego brokatu.

Josephine Sadler skwapliwie przyjęła oświadczenia Rossa Hawkina po tym, jak wicehrabia Ransome okazał kompletny brak zainteresowania jej osobą. Ross Hawkin,

jako młodszy syn, musiał jednak zarabiać pracą na życie*, dlatego nie mogła się pogodzić z tym, że Leon mógł swobodnie dysponować odziedziczonym majątkiem. Nie przepuściła żadnej okazji, by nie utyskiwać na niesprawiedliwość losu, który pozwolił takiej młodej wdowie jak Phoebe zamieszkać w Ferry House. Zamiast się cieszyć, że bratowej powiodło się po tylu nieszczęściach, zazdrościła jej wszystkiego.

* Zgodnie z angielskim prawem, cały majątek oraz tytuły szlacheckie dziedziczy najstarszy syn (*przyp. tłum.*).

Hetty podejrzewała, że zawistna Josephine obawia się, iż lord Ransome mógłby znów zainteresować się Phoebe. To dlatego tak szybko doniosła jej o jego planach dotyczących domu w Mortlake. Fakt, że miał kochankę, musiał być dla Phoebe większym kamieniem obrazy niż władcze maniery, jakie wicehrabia zademonstrował poprzedniego dnia. Hetty była tego pewna, bo jako jedyna wiedziała, że zdrada męża zraniła serce jej ukochanej przyjaciółki głębiej niż jego śmierć. Hetty zauważyła także, że podczas wizyty Hawkinów Phoebe nie powiedziała niczego, co mogłoby zdyskredytować lorda Ransome'a, i nie próbowała go potępiać za to, że chciał odebrać coś, co prawnie mu się należało.

Na znak Phoebe wszyscy przeszli do salonu, gdzie Ross pozbiierał kawałki połamanej sztalugi, odłożył je na miejsce, po czym zaczął oglądać akwarelę przedstawiającą Marble Hill House.

- Co tu się działo? - zapytał. - Niezdarna pokojówka, tak?

- Nie, to ja okazałam się niezdara - wyjaśniła Phoebe. - A ten obrazek dostałam od Leona.

- Ciekawe, że wcześniej go nie zauważyłem. Jest dobry. Kto to malował?

- Szukaj w dolnym lewym rogu. Podnieś do światła, Ross.

- Ach, tak. Co?! Tu jest napisane L. Hawkin. To niemożliwe!

- A jednak tak. Leon namalował to jakieś pięć czy sześć lat temu.

- Teraz chyba nie ma tak pewnej ręki. - Ross rzucił obrazek na połamaną sztalugę. - Szkoda.

- Czego szkoda, konkretnie? - zapytała Phoebe.

- Zmarnowanego talentu. No, musimy już jechać. Daj mi znać, gdybyś chciała, żeby bym był przy wizycie Ransome'a. Jutro, tak? Jutro będę miał ręce pełne roboty w kancelarii, ale może znajdę trochę czasu pojutrze... chyba. Gdzie ten nasz dzieciak, Josephine?

- Och, Hetty! - Z westchnieniem ulgi Phoebe przytuliła się do kuzynki, wdychając wąty aromat mięty i wtulając policzek w jej miękkie, siwe włosy. - On ma kochankę w Mortlake - wyszeptała. - Powinnam była się domyślić.

- Jakie to ma znaczenie? - powiedziała Hetty, głaszcząc ją po plecach. - Jesteś zaskoczona?

Phoebe skinęła głową.

- Usiądźmy przy oknie. Chcę ci coś powiedzieć. Muszę podjąć decyzję, kochana Hetty.

Tego samego wieczoru, gdy zachodzące słońce zalewało rzekę gamą ciepłych kolorów, Phoebe Donville wraz Hetty Spindelov wyruszyły powozikiem w stronę Mortlake. Zamierzały sprawdzić to, co Josephine uważała za pewnik. Greenwater musiał być jednym z tych dużych białych domów nad rzeką, przy głównej ulicy Mortlake. Prowadziła do niego lipowa aleja. Na rozległym trawniku po jednej stronie domu dobudowano trzy piętrowe skrzydło pokryte częściowo dachem z szarego łupku. Phoebe nie chciała podjeżdżać aż pod sam dom, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego zatrzymały się za drzewami i z wysokości powoziku zerknęły za mur.

Dwaj robotnicy sprząтали narzędzia, wołając do kogoś nad rzeką, żeby uważał. Potem dwaj mali chłopcy - jeden z nich z siatką na ryby - odpowiedzieli na głośniejsze nawoływanie i pobiegli w stronę domu, wprost w rozpostarte ramiona jego właściciela, który złapał ich zakręcił nimi jak na karuzeli i wśród pisków i śmiechów postawił na ziemi. Phoebe i Hetty zamarły ze zdumienia. Były pewne, że dom to Greenwater, a trzymający za ręce dwóch malców mężczyzna to lord Ransome. Razem szli do domu.

- Nie muszę nic więcej widzieć, Hetty - stłumionym głosem powiedziała Phoebe.

- Pora wracać.

Phoebe szarpnęła lejce, a gdy powozik zawrócił, pojechała z powrotem tą samą drogą, oślepiana promieniami zachodzącego słońca i łzami, nad którymi nie potrafiła zapanować.

- Nie będę płakać - wyszłochała. - Nie będę!

- Powinnaś poprosić go o wyjaśnienie, i to już jutro. Skoro przyjmujesz jego ofertę, masz prawo wiedzieć.

- Nawet jeżeli dowiem się czegoś więcej, to niczego nie zmieni, prawda? Może Ross wiedział o tym, kiedy mi mówił, że lord Ransome nie miał sprawy sądowej o ustalenie ojcostwa. Jeżeli wicehrabia uznaje własne potomstwo, to nie ma potrzeby go oskarżać. Sądząc po rozmiarach nowego skrzydła, musi mieć wielu domowników.

Czy to właśnie miał na myśli, kiedy jej mówił, że powinna się sama przekonać?

TLR

Rozdział czwarty

Trudno było oczekiwać, że po tych wszystkich rewelacjach Phoebe będzie spała smacznie i długo. Miała głowę nabitą myślami, dręczyły ją rozliczne wątpliwości. Rozwiązanie najbardziej palących problemów pozostawało w jej zasięgu; należało tylko przyjąć warunki Ransome'a. Jednak cena była wygórowana. Musiałaby zrezygnować z tego, co hołubiła: poczucia niezależności i swobody, spokoju ducha i decydowania o sobie. Ile tak naprawdę to wszystko dla niej znaczy, rozważała, skoro bierze pod uwagę rezygnację ze swoich zdobyczy w zamian za pozostanie w Ferry House? I co z Leonem, pogrążonym w takich kłopotach? Reakcja Rossa i Josephine nie zaskoczyła Phoebe, choć wolałaby, żeby było inaczej. Korzystali z jej gościnności, kiedy tylko mieli na to ochotę, natomiast sami nie wrywali się z pomocą. W sprawie Leona zabrakło nawet chęci.

Bezradna, czekała na moment olśnienia, który, niestety, wciąż nie chciał nadejść. Co gorsza, niepostrzeżenie pomiędzy kwestie życiowej wagi zaczęły się wkradać wspomnienia butnego arystokraty, który przewrócił do góry nogami jej świat, i jego przenikliwe spojrzenia, które za dużo dostrzegało. Myślała o aurze męskości, jaką wokół siebie roztaczał Ransome, o jego szerokich ramionach, wąskich biodrach, dumnie uniesionej głowie. Był władczy i najwyraźniej przyzwyczajony do posłuchu.

Przypomniała sobie Claude'a, który w porównaniu z nim wydawał się nijaki - drobniejszej budowy, o bladej cerze i delikatnych dłoniach. Gdy go spotkała, była młodziutką dziewczyną i podobała jej się jego chłopięca aparycja i francuski wdzięk, nie dostrzegła natomiast, że wbrew pozorom potrafił być na tyle przebiegły, by ją oszukać. Obecnie nie drżałaby, gdyby Claude się do niej zbliżył, tak jak to się działo w obecności Ransome'a. Rozbudzona, lecz niezaspokojona seksualność domagała się bardziej dojrzałych pieszczot. Przelotny dotyk ręki Ransome'a, muśnięcie ust wystarczały, by ogarnęła ją fala gorąca. Wiedziała już, że tylko on może zaspokoić te cielesne tęsknoty.

Ransome miał jednak kochankę i dzieci. Zapewne ze względu na pozycję i tytuł potrzebował także odpowiednio dobrze urodzonej żony. Do wygranego w karty domu może się wprowadzić od ręki, a żoną uczynić zamieszkujejącą go kobietę, z którą będzie mógł się pokazywać w towarzystwie i podejmować gości ze swojej sfery. Co za bystrość,

żeby w mgnieniu oka dostrzec wszystkie korzyści, nie dając nic od siebie. Dla niej rola jego żony będzie kolejnym wielkim poświęceniem. Przyjdzie jej dzielić męża z inną kobietą, która dała mu już dwóch synów.

Faeton wicehrabiego Ransome'a był cięższy i solidniejszy niż powozik Phoebe, mimo to z powodu bardzo dużych kół mógł się okazać dosyć niestabilny na ostrych zakrętach. Dla wysokiego i długonogiego mężczyzny wspięcie się na dwuosobowe siedzenie nie przedstawiało najmniejszych trudności. Natomiast dama w sukni z prążkowanego jedwabiu i zielonej pelisce musiała skorzystać z dwóch silnych męskich rąk. Zielono-złote drzwiczki z herbem wicehrabiego były niskie, siedzenia wyścielane aksamitem, dywanik pod nogami miękki i czysty, a klamki i uchwyty posrebrzane. Przyzwyczajona do bezpiecznej kariolki, Phoebe pomyślała, że łatwo wypaść z tego eleganckiego powozu na wysokich resorach. Buck Ransome umiał jednak powozić jak nikt w Londynie, zaś jego zaprzęg należał do najlepszych. Gdy oboje usadowili się wygodnie, wyprostował nogi i oparł stopy o podnóżek. Phoebe nie miała gdzie uciec przed naporem jego ud, kiedy zakręcał i wyjeżdżał przez bramę w kierunku Richmond.

- Mieliśmy jechać do Ham - powiedziała. - Przecież to nie w tę stronę.

- Owszem, pani Donville. Chciałbym jednak obwieźć panią wokół Richmond Green, zanim pojedziemy do Richmond Hill.

- Dlaczego?

- Aby się panią pochwalić. - Zerknął z ukosa na jej peliskę lamowaną złotem, zielone rękawiczki i buty, a także na czarne loki wymykające się spod wykończonego zieloną wstążką kapelusika ze słomkowym rondem. Na kolanach trzymała wyszywany paciorkami woreczek i mały pakunek.

Patrząc na Phoebe, mimowolnie porównywał w myślach mało mu znaną młodziutką dziewczynę sprzed lat z ognistą pięknnością o ostrym języku, której przyszłością zadysponował, zresztą ku jej oburzeniu. Wciąż nieufna i dosyć mu niechętna, tym razem nie odwróciła wzroku. Przepastne czarne oczy otaksowały krytycznie jego granatowy surdut i białe bryczesy, zatrzymując się dłużej na dłoniach obciągniętych skórzanymi rękawiczkami. Nie musiał zgadywać, o czym pomyślała. Powiedział mu to jej ciemny rumieniec.

W wolnym tempie objechali Richmond Green, mijając po drodze eleganckie rezydencje. Mieszkało tam wielu jej znajomych, wiedział więc, że będzie musiała odwzajemniać powitania. Tym razem plotki będą mogły zawierać w sobie sporo prawdy, uznał Ransome.

Podjechał później pod górę Richmond Hill, wraz z licznymi jeźdźcami i powozami zmierzającymi do zajazdu Star and Garter, i dalej aż na sam szczyt wzgórza, skąd rozciągał się zapierający dech w piersi widok na dolinę Tamizy. Zwolnili nieco, kiedy powóz musiał przebijać się przez skłębiony tłum.

- O ile wiem, w tych okolicach mieszka sporo francuskich emigrantów - powiedział Ransome. - Zna pani kogoś z nich?

- Odpowiedź na to pytanie jest prosta, milordzie. Im dalej od nich, tym lepiej zarówno dla mnie, jak i dla nich - odparła Phoebe. - Nie mam pojęcia, co oni wiedzą, i nie próbowałam tego sprawdzić.

- Może się okazać, że po tylu latach nie próbują wyrównywać z sąsiadami dawnych rachunków, bo cieszą się, że są bezpieczni. Poza tym Claude Donville nie był jednym z nas, tylko jednym z nich, a oni pozałatwiali sprawy pomiędzy sobą. Zdrada, jakiej się dopuścił, nie była odosobnionym przypadkiem. Mógłbym pani opowiedzieć o kilku podobnych skandalach. Oto, co wojna robi z ludźmi. Wyzwała w nich najgorsze, ale i najlepsze instynkty. Miała pani siedemnaście lat i była przy nadziei, kiedy została wdową. Chyba to dosyć czasu, aby rany zdążyły się zbliznić.

- Ich rany czy moje?

- Jedne i drugie. Wiem, że mówi pani o pieniądzach, ale tutaj, w Richmond, wszyscy wiedzą, jakiego rodzaju jest pani osobą, co zrobiła dla okolicznych mieszkańców, że zatrudniła biednych ludzi i dała im dach nad głową, odnowiła dom i sprzedaje pani swoje plony. Nie wątpię, że jedli produkty z waszych ogrodów...

- A jakie ma pan teraz plany wobec moich ogrodów?

- Dotąd raczej o tym nie myślałem, ale skoro pani pyta, nie widzę powodów, by cokolwiek zmieniać. Niby po co? Chyba nie wierzy pani w teorię o zemście? Nie mam czasu na takie nonsensy. Chciałbym, aby pani została moją żoną, ponieważ wydaje mi

się to najlepszym wyjściem z sytuacji. Zresztą i dla pani, i dla mnie. Nie potrzebuję kochanki, tylko żony.

Phoebe natychmiast dostrzegła swoją szansę. Była ciekawa, czy Ransome się przyzna, jeśli odpowiednio delikatnie go przyciśnie.

- Nie potrzebuje pan kochanki? - rzuciła. - Zastanawiałam się... No cóż, ach, w gruncie rzeczy to nieważne.

- Ale co?

- Odpowiedział pan już na moje pytanie, zanim je zadałam. Zastanawiałam się po prostu.

- Nad moją hojną ofertą?

- Owszem, i jednego nie mogę zrozumieć. Dlaczego szuka pan żony, zamiast po prostu wziąć sobie kochankę? A może ma pan już kogoś takiego?

- Krótka odpowiedź na to brzmi „nie” - odrzekł, ściągając wodze i kierując faeton na pobocze. - Jedną kobietą całkowicie mi wystarczy. Mieć dwie jednocześnie byłoby szaleństwem. A żona i kochanka to nie w moim stylu.

- Chciał pan powiedzieć: za duży koszt? - zapytała Phoebe, przyglądając mu się uważnie spod słomkowego rondka.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- O co pani chodzi? Proszę wyrzucić to z siebie. Czy dobrze zrozumiałem, że wolałaby pani zostać moją kochanką niż żoną?

- Ma to swoje zalety - odparła, spoglądając na zieloną dolinę Tamizy.

- Raczej niewiele. Co się dzieje, gdy romans dobiega końca? Pani jest wciąż zasiadła lokatorką w moim domu, a ja wracam do punktu wyjścia. Nie, dziękuję. Mnie potrzebna jest żona, dom za miastem i...

- Przecież ma pan już dom w Mortlake.

- To inny rodzaj domu.

- Ach, rozumiem.

- Nie byłbym tego taki pewny. Jakie to zalety widzi pani w byciu kochanką?

- Wątpię, by pan to rozumiał.

- Niech mi pani da szansę.

- Po pierwsze, byłby to szok dla mojej rodziny - odparła z nadzieją, że przyjmie jej punkt widzenia.

- I to ma być zaleta? Może ich pani bardziej zaszokować, zostając moją żoną.

- Nie miałyby to dla nich takiego samego, skandalicznego wydźwięku, a moja matka byłaby nawet zadowolona, jak sądzę. Nie moglibyśmy pójść na kompromis?

Kąciki ust drgnęły mu lekko, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Kompromis? Czy słuch mnie nie myli? Proszę jeszcze raz powtórzyć.

- Ani myślę. Staralam się mówić serio.

- Wobec tego będę musiał zgadywać. Moim zdaniem, chciała pani powiedzieć, że potrzebuje pani więcej czasu, a romans pozwoli pani trzymać mnie na odległość. Czy to chodzi?

- Absolutnie nie to - odparła.

- To dobrze. Zapomnijmy o tym. Nie chcę bękartów, tylko synów z prawego łoża, zrodzonych ze szlachetnej matki. Na świecie jest za dużo bękartów.

- Ale pan już... - Urwała, odwracając wzrok.

- Co?

- Nic. Możemy jechać? Wydaje mi się, że przedstawił mi pan już swoje argumenty.

Ransome poczekał chwilę, ale Phoebe milczała, więc orzekł:

- Chyba powinienem przedstawić argumenty w sposób bardziej przekonujący.

- Mój brat i jego żona złożyli mi wczoraj niespodziewaną wizytę.

- Ach, tak? Zaproponowali pomoc?

- Nie, jedynie swoją obecność podczas pańskiej następnej wizyty.

Ransome szarpnął lejce i faeton ruszył.

- Tylko tyle? Nie będzie ich przy tym.

- Skąd pan wie?

Nie odpowiedział, zerknął tylko z ukosa na Phoebe, która wyraźnie się zaczerwieniła i nie mogła się pozbyć rumieńca dopóty, dopóki nie ujrzeli nielicznych zabudowań wioski Ham.

Gościwiec zakręcał, aby dalej prowadzić wzdłuż rzeki, w kierunku murów z czerwonej cegły, stajen oraz widoku znanego Phoebe z akwareli Leona.

- To tu - powiedziała - wychylając się do przodu i wskazując biały dom, widoczny na tle zieleni i usytuowany na drugim brzegu rzeki. - To musi być Marble Hill.

- A przed nami znajduje się Ham House.

Konie przebiegły truchtem przez złoto-błękitną bramę, w stronę imponującej dwupiętrowej rezydencji z czerwonej cegły, o wielu oknach, cofniętym froncie i wysuniętych bocznych skrzydłach. Na głównym dziedzińcu nagi kamienny brodacz rozsiadł się na skale. Sądząc po jego laurowym wieńcu i poważnej minie, musiał to być antyczny bóg.

- To dom hrabiego Dysarta - stwierdziła z nabożnym podziwem Phoebe. - Naprawdę jest pańskim przyjacielem?

- Znam Dysartów od lat - odparł Ransome - ale on został hrabią stosunkowo niedawno. Przedtem mieszkał tu jego brat Lionel. Dom był w nie najlepszym stanie, gdy przejął go obecny hrabia. To człowiek światowy, był członkiem parlamentu, a potem pełnił funkcję szeryfa Cheshire, a wcześniej walczył jako żołnierz.

- Czemu miałby zainteresować się Leonem?

Nie oczekiwała odpowiedzi, gdyż lokaje pomagali jej wysiąść z powozu po podstawionych schodkach. Przybiegli na widok gości, w liberiach i białych pończochach, typowi służący starej daty. Jeden z nich poprowadził Phoebe i Ransome'a po niskich kamiennych schodach, otworzył przed nimi ciężkie dębowe drzwi z herbami, za którymi znajdował się wielki hol, obwieszony portretami antenatów. Dwie gipsowe figury balansowały na półce nad kominkiem.

Z góry dobiegł ich władczy głos:

- Buck, jesteś nareszcie! Już schodzę. Poczekaj na dole!

Phoebe spojrzała ku balustradzie okalającej galerię na piętrze, skąd właśnie zniknęła czyjaś postać. Rozległy się szybkie kroki i w chwilę później po schodach zbiegł starszy siwowłosy mężczyzna o wojskowej posturze. Podszedł do nich i powitał ich z entuzjazmem, który zaskoczył Phoebe, gdyż rzadko spotykało się ludzi w jego wieku obdarzonych taką energią.

Wyciągnął ręce i uściskał Ransome'a, ale niemal natychmiast skupił uwagę na Phoebe.

- Buck, mój chłopcze, miło cię znów widzieć, a kto...

- Pani Donville, lord Dysart - przedstawił ich sobie Ransome.

- Ach, rzeczywiście... To Phoebe, prawda, Buck? Czy to nie jest nasza Phoebe Hawkynne?

- Nazwisko panięskie pani Donville brzmiało Hawkin. Rzeczywiście, jest pewne podobieństwo. Byłem pewny, że pan je zauważy.

- Zechce mi pani wybaczyć skandaliczne maniery. - Hrabia zwrócił się do Phoebe.

- To dla mnie zaszczyt móc panią poznać. Nie zwykłem się zagłębiać w genealogię moich gości, jednak w pani przypadku... Gdyby pani zechciała pójść za mną, pokażę pani przyczynę mego zdumienia. - Po tych słowach zawrócił od razu ku schodom jak ktoś, kto nie chce tracić ani chwili z czasu, jaki mu jeszcze pozostał.

Ransome podał Phoebe ramię i poprowadził ją na górę, uśmiechając się ukradkiem na widok miny hrabiego. Spodziewał się takiej reakcji. Weszli na galerię, gdzie na ścianie pokrytej turkusową tapetą wisiały kolejne portrety. Hrabia cofnął się i zlustrował wzrokiem wizerunek młodej pary w strojach z końca siedemnastego wieku, o czym świadczyły sute fałdy jedwabiu, koronkowe kryzy, atłasowe wstążki i aksamity. Mężczyzna miał szeroki pas, a przy nim pochwę z rapierem, zaś dama złoty wisiołek z jasnym księżycem. Oboje trzymali się czule za ręce. Dwójka dzieci tuliła się do ich kolan - poważny chłopczyk i filuterna dziewczynka z masą czarnych loczków.

- To sir Leo Hawkynne, Szkot - wyjaśnił hrabia. - Był sekretarzem księcia Lauderdale'a, męża hrabianki Dysart, mojej antenatki. A ta dama to małżonka sir Leo, Phoebe. Czy widzi tu pani coś, co panią interesuje? Może podobieństwo rodzinne?

Zaskoczona, uznała, że to naprawdę niesamowite uczucie patrzeć na siebie w sukni z epoki: ta sama owalna twarz w obramowaniu kruczoczarnych loków. Od namalowania obrazu w 1684 roku upłynęło prawie sto dwadzieścia lat, dzieliło ich kilka pokoleń, a jednak rysy były prawie identyczne.

- Nie miałam pojęcia - odrzekła. - Wiedziałałam że imiona Leo i Phoebe powtarzały się często w naszej rodzinie, nikt mi jednak nie powiedział, że ci pierwsi byli małżeń-

stwem. Muszę przyznać, że to niezwykle patrzeć na swoich przodków. Pan odczuwa pewnie to samo, kiedy pańscy antenaci spoglądają na pana z portretów.

Hrabia roześmiał się.

- Nic mi nie ujdzie płazem, bo cała rodzina śledzi każdy mój krok - przyznał żartobliwie. - Ten portret został namalowany dla księżnej Lauderdale. To dlatego nie miała pani okazji oglądać go do tej pory. Musieli być jej bardzo bliscy. O ile mi wiadomo, doczekali się czwórki dzieci. Przypominam sobie, że w moim regimencie był sir Leo Hawkin. Czy to może...?

- To mój ojciec, milordzie. Zginął, kiedy byłem młodziutką dziewczyną.

- To był wspaniały człowiek. Ma pani braci, prawda?

- Leon jest najstarszy. Przyniosłam kilka jego prac, żeby je panu pokazać.

- Chowaliście się bez ojca? To dopiero tragedia. Proszę mi pokazać obraz.

Hrabia podprowadził Phoebe pod okno i posadził na ławeczce, wyściełanej aksamitem. Wziął od niej akwarelę. Uniósł ją do światła i oglądał w milczeniu, a jego wyrazista twarz złagodniała, kiedy oceniał paletę barw, mieszanek pigmentów, delikatną kreskę. Ransome mówił, że jego przyjaciel jest zapalonym malarzem amatorem, a także wybitnym koneserem sztuki. W pewnych sferach zwykło się tak czasami określać ludzi, którzy mieli za dużo czasu oraz pieniędzy, ale hrabia był prawdziwym miłośnikiem sztuki i jej znawcą. Co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości.

Nie wyraził hałaśliwie pochwał, spojrział tylko na Ransome'a, kiwając głową.

- Świetny malarz - ocenił. - Wielki talent. Nie rozumiem, dlaczego o nim nie słyszeliśmy. Czy wystawia gdzieś swoje obrazy?

Trzy głowy nachyliły się nad akwarelę w momencie, który miał zadecydować o przyszłości Phoebe. Pomyślała, że zanim będzie można liczyć na jakąkolwiek pomoc, musi powiedzieć hrabiemu o kłopotach Leona i swoich. Świadomość, że ktoś wreszcie docenił talent brata, oraz niezwykle spotkanie z pierwszą Phoebe, wzburzyły ją do tego stopnia, że trudno jej było znaleźć stosowne słowa. Przycisnęła rękę do piersi, aby się uspokoić, i spróbowała coś powiedzieć, tłumiąc szloch.

Widząc, jak zмага się ze sobą, hrabia czułym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

- Wszystko rozumiem. Talent nie zawsze idzie w parze z dyscypliną i zaradnością. Można go tylko wspomagać, podsycając jego płomień tak długo, jak długo się tli. Dopóki pani brat żyje, dopóty jest nadzieja. Czy jest pani w stanie opowiedzieć mi o tym?

Wyjawiała mu wszystko, nie zatajając niczego prócz garstki wstydlivych informacji, jak Ransome wszedł w posiadanie Ferry House. Powiedziała o hazardzie i picciu, o rzekomej bezradności lady Templeman. Nie potrafiła przy tym zdecydować, co ją bardziej przygnębiało - to, o czym mówiła, czy zmarnowany talent Leona.

Dla hrabiego stało się jasne, że najmłodsza siostra Leona Hawkina ma ogromny dług wdzięczności wobec brata i że Ransome przywiózł ją do Ham House w nadziei, iż tutaj będzie mogła liczyć na pomoc. Dla hojnego hrabiego Dysarta, z jego koneksjami, nie przedstawiało to większej trudności, oczywiście, o ile młody człowiek, o którym mowa, przyjmie propozycję mecenatu i zgodzi się zamieszkać w domku na terenie jego posiadłości. To, że Hawkin będzie musiał poddać się terapii, nie podlegało dyskusji, jeżeli hrabia Dysart ma rekomendować jego malarstwo.

Aspekty praktyczne zostały omówione szczegółowo, gdy Phoebe i lord Ransome szli wolno przez Ogród Fontannowy do oranżerii. Wysoki ceglany mur zasłaniał ich przed oczyma mieszkańców Ham House, a w szemrzącej radośnie fontannie pluskały się ptaki.

- Jutro pojedę do Londynu - oznajmił Ransome. - Poszukam Leona i przywiozę tutaj.

- Mówił pan, że przyjaciel pomoże - powiedziała Phoebe, rozwiązując wstążki kapelusika - jednak to niebywale wielkoduszna propozycja. Zamówienia. Darmowe mieszkanie. Jak pan sądzi, czy to dlatego, że odnalazł potomka Hawkynne'ów?

- Wątpię. Moim zdaniem, hrabia robi to dlatego, że lubi. Każdemu chętnie pomoże, a zwłaszcza artyście. Poza wszystkim jest wielkim filantropem i drzwi w Ham House stoją otworem przed ludźmi potrzebującymi wsparcia. Służba go wręcz uwielbia.

Phoebe zdjęła kapelusik i zaczęła nim kołysać, trzymając za wstążki. Część loczków wysunęła jej się z szykownego koka i podskakiwała jak sprężynki. Gdy szła cieniastą alejką, pod gałęziami drzew, zwieszającymi się nad murem, poczuła na sobie bacny wzrok lorda Ransome'a. Przystanęła i odwróciła się do niego.

- Dlaczego pan chce pomóc Leonowi? - zapytała. - Przecież pan skorzystał z jego nałogu i zarazem niezbyt mu współczuł.

- Och, ze wszystkich niewłaściwych powodów - odrzekł bez przekonania.

- A nie z potrzeby zadośćuczynienia? Z poczucia winy?

Bez ostrzeżenia chwycił ją za ręce i przyciągnął tak raptownie, że nie zdążyła się uchylić. Z kapelusikiem w jednej ręce, a woreczkiem w drugiej, z odchyłoną do tyłu głową, mogła się tylko poddać, bo tak groźnie nad nią górował, i już czuła nacisk jego gorących, muskularnych ud. Jego usta poszukały łapczywie jej warg, jakby się nie mógł doczekać, kiedy nią zawładnie.

Przeciągnął dłońmi po talii i ramionach Phoebe i wsunął je w czarne loki. Zaczęła się więc w jego objęciach. Czy przyczyniło się do tego wzruszenie, jakiego doznała, patrząc na portret swojej imienniczki, czy ulga, że jest nadzieja dla Leona, czy po prostu tłumione od lat pragnienia znalazły wreszcie ujście - tego nie potrafiła powiedzieć. Po raz pierwszy od lat namiętność wzięła górę nad rozsądkiem, a ona z radością dała się jej ponieść.

Odkąd Ransome pojawił się na powrót w jej życiu, to kpiła z siebie, to robiła sobie wyrzuty. Mówiła sobie, że jest bezczelny, że go nie chce i nigdy nie chciała, że pożądanie to czysty wymysł. Teraz jednak, kiedy przyciskał ją do siebie, ciało nie chciało słuchać tchórzliwych kłamstw i zbuntowało się przeciwko niej. Głucha na głos rozsądku, wtuliła się w Ransome'a, miękka i uległa, napierając na niego obolałymi piersiami i podając mu usta do pocałunku. Ochoczo i bezwstydnie.

Otoczył ją ramionami, kładąc dłoń na jej pośladku. Oderwał na moment wargi od jej ust i głosem schrypniętym z emocji powiedział:

- Robię to dla ciebie, kobieto, i tylko dla ciebie. Nie z żadnego poczucia winy. Pragnę cię, to wszystko. Nie spodziewaj się żadnych wyrzutów sumienia. Kiedy znajduję coś, co chcę mieć, biorę to, i tyle. A teraz znalazłem ciebie i będziesz moja.

Zadrżała z podniecenia, ale i strachu. Zaborczość, nie miłość. Brutalność, nie czułość. Ona miała to, czego on pożądał - a on to, czego ona pragnęła. Targowanie się nie wchodziło w rachubę, skoro Ransome był górą i wygrywał. Naturalne w tej sytuacji obiekcje splotły się z miłosnymi potrzebami jej wygłodniałego ciała, a ponieważ umysły

męskie nie funkcjonują na tym samym poziomie, Ransome nie zrozumiał jej, kiedy zaczęła się opierać, okładając go pięściami i przechodząc od uległości do kontrataku.

- Tak po prostu! - syknęła z furją. - Będziesz moja! Otóż nie, nie będę, milordzie. Nie znalazł mnie pan, bo się nie zgubiłam. Nie weźmie mnie pan też, bo nie jestem do wzięcia dla żadnego mężczyzny. Mam bardziej subtelne potrzeby niż uliczna dziewczka. Niech pan mnie puści!

Ransome opuścił ramiona i, chwyciwszy Phoebe za nadgarstek, zmusił, by go wysłuchała, a ona stała z odwróconą głową, uspokojona, że nie okazał zaskoczenia jej nagłą zmianą nastroju.

- Najpierw mnie posłuchaj. Nie... stój spokojnie... i słuchaj! Wiem, że poczułaś się dotknięta, lecz to nie powód, żeby się wypierać uczuć. Spodziewałaś się... wolałabyś usłyszeć słowa miłości. Czy byś mi uwierzyła? Nie sądzę. Dlatego byłem szczery. Myślałem, że mnie zrozumiesz. Jesteś kobietą, Phoebe, a nie dziewczyną. Nie musisz mieć do siebie pretensji o to, że od czasu do czasu poddasz się namiętności.

- Proszę nie traktować mnie z góry. Uległam namiętności, ale wbrew własnej woli. Jeśli pan przypuszcza, że od czasu do czasu folguję sobie, to muszę pana oświecić. Dziewięć lat to nie chwila, tylko wieczność. Mąż kochał się ze mną wszystkiego trzy razy. Mniej niż można policzyć na palcach jednej ręki. Miał we Francji kochankę, co odkryłam dopiero później. Nie mógł się doczekać, żeby do niej wrócić po tym, jak wypełnił małżeński obowiązek. - Mówiła głosem zdyszonym, jak po długim biegu, a gdy skończyła, Ransome znów wziął ją w objęcia i zaczął głaskać po plecach. - Niech pan mi nie współczuje - zastrzegła się, wtulona w wykrochmalony gors koszuli Ransome'a. - Nie potrzebuję niczyjej litości, a już na pewno nie pańskiej. Mam córkę, mam też swoje życie. A po tym wszystkim nie dbam już o to, czy moja rodzina dowie się prawdy o Claudie, czy nie. Nikt z nich nawet palcem nie kiwnął. Dlatego zasługują na porządny wstrząs. Wygląda na to, że muszę się zwrócić o pomoc do obcych ludzi. Do pana i hrabiego. Czy to nie ironia losu?

- Posłuchaj, Phoebe - odparł Ransome, odgarniając jej delikatnie włosy. - Już nie jestem dla ciebie obcy. Wkroczyłem w twoje życie i zamierzam w nim pozostać na dobre. Jednak potrzebujesz więcej czasu. Gdybym wcześniej wiedział to, co mi wyjawiałaś,

nie ponaglałbym cię do podjęcia decyzji. Jeżeli wolisz być przez jakiś czas moją kochanką, muszę się z tym pogodzić. Szokuj rodzinę, ile dusza zapragnie, nie będzie to miało żadnego wpływu na moje plany względem ciebie. Przez większą część życia szokowałem bliźnich i stałem się ekspertem w tej dziedzinie. Możesz się mnie radzić, moja słodka nimfo.

Gdy wstrząsnął nią cichy śmiech, przytulił ją mocniej. Było jej tak dobrze w jego ramionach! Słyszała cichy szum wody, pluski i świergot kąpiących się w fontannie ptaków, rżenie koni z oddali.

- Jest pan zdecydowany - podsumowała, odsuwając się lekko.
- O tak, pani Donville. Jak nigdy przedtem.
- A nie jest pan zgorszony moim zachowaniem?
- Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony i zamierzam cię znowu sprowokować.
- Nie sądzę, aby pan miał z tym większe trudności, milordzie.
- To świetnie. Nie mogę się doczekać.
- Nie to miałam na myśli. Wydaje mi się, że zapuszczamy się na głębokie wody.

Miał mi pan pokazać nową oranżerię hrabiego.

Ledwie przeszli przez furtkę do ogrodu, wyszła naprzeciw nim szczupła dama w brązowej sukni i jedwabnym szalu w tureckie wzory, zsuwającym jej się z ramion. Phoebe zdążyła go złapać w ostatniej chwili i oddała jej go z uśmiechem.

- Buck Ransome - zaćwierkała cienkim głosem dama - i pani Donville. Nie było mnie, kiedy przyjechaliście, a mąż, oczywiście, nie podjął was herbatą. Wejdźcie do domu, kochani. Poczęstunek czeka na was w bawialni. - Cmoknęła wicehrabiego w oba policzki, wyciągając rękę, jakby chciała się upewnić, że Phoebe nie ucieknie.

- Lady Dysart, pozwoli pani, że jej przedstawię panią Donville. Phoebe, kochanie, ta piękna dama to hrabina Dysart.

Nikt nie zwrócił się do niej „Phoebe, kochanie” w sposób tak elegancki, a zarazem czuły i chwytający za serce. Dygnęła, oszołomiona, i z miejsca pokochała tę przemiłą starszą damę, która wyszła po nich, zannasi posłać służącego. Hrabina wzięła Phoebe za rękę jak matka córkę i poszła z nią w stronę domu, potykając się o kępki trawy, dopóki

Ransome nie podał jej ramienia niczym syn. Phoebe pomyślała, że nigdy w życiu nie spotkała tak uroczej pary jak hrabiostwo Dysartowie.

Hrabia powiedział żonie o najnowszym odkryciu, czyli Leonie Hawkinie, w linii prostej potomku sir Leo i lady Phoebe, po czym zaczął z ożywieniem opowiadać o innym młodym protegowanym, Johnie Constable'u*, który wykonywał dla niego pewne prace w Londynie, a także o nieżyjącym od dziesięciu lat przyjacielu, sir Joshui Reynoldsie*, który miał dom w Richmond Hill, o kupionym właśnie obrazie Gainsborough* i odziedziczonym van Dycku*. O swoim talencie malarskim mówił bardziej oględnie i dopiero hrabina Anna Maria pokazała im w bibliotece jego portfolio.

* Zgodnie z angielskim prawem,10 John Constable (1776-1837) - malarz ang. uważany za jednego z najwybitniejszych pejzażystów XIX w. (*przyp. tłum.*).

* Joshua Reynolds (1723-1792) - wybitny portrecista ang. Malował również sceny historyczne i mitologiczne (*przyp. tłum.*).

* Thomas Gainsborough (1727-1788) - znany portrecista i pejzażysta ang. (*przyp. tłum.*)

* Anton van Dyck (1599-1641) - flamandzki malarz późnego baroku, uczeń Rubensa; od 1632 tworzący w Anglii, na dworze Karola I (*przyp. tłum.*).

Od przeprowadzki do Ham ona i hrabia większość czasu poświęcali na doprowadzenie posiadłości do dawnego kwitnącego stanu. Wykonano wiele koniecznych napraw w domu i uporządkowano zarośnięte ogrody.

- Czy zauważyliście nasz nowy posąg boga rzecznego na frontowym dziedzińcu? - zapytał hrabia. - Anno Mario, musisz pokazać Phoebe książeczkę łazienkę. Każdy powinien mieć taką, a ja nie mogę namówić żony, żeby zechciała z niej korzystać. - Jego wręcz zaraźliwy entuzjizm przygasł, gdy rozmowa zeszła na rodzinne tematy, Dysartowie nie mieli bowiem dzieci, a ukochany bratanek hrabiego zginął w wieku lat osiemnastu.

Phoebe zadała sobie w duchu pytanie, czy dlatego tak chętnie wspierali młode talenty.

Już na odjeźdźnym Phoebe i Ransome otrzymali kolejną porcję informacji i instrukcji.

- Urządzamy w piątek wieczorek muzyczny - powiedziała hrabina, całując Phoebe w oba policzki. - Powiedz Buckowi, żeby cię przywiózł, kochanie. Kilku muzyków z Londynu zagra utwory Haydna i Haendla. Będzie też paru śpiewaków. Początek o siódmej. Przewidziana jest mała kolacja.

- Dziękuję, milady. Będziemy zaszczyceni.

Po raz pierwszy od lat Phoebe powiedziała „my”. Kiedy wyjechali za bramę i skręcili w stronę wioski, poczuła w głębi serca, że oto dokonał się ogromny krok w kierunku, który jeszcze kilka dni wcześniej wydawał jej się nie do przyjęcia. Wybuch gniewu w ogrodzie przypomniawszy jej, że od śmierci Claude'a nie zmieniła podejścia do mężczyzn, jak również powziętej wówczas decyzji, że nie zwiąże się z żadnym z nich. Tymczasem własne ciało dało jej wyraźnie do zrozumienia, że obiekcje są mocno przestarzałe. Buck Ransome, arogant i despota, a zarazem bardzo przystojny mężczyzna, siedzący obok niej zdecydowanie zbyt blisko, wdarł się w jej życie i uparł się być jego częścią. Okazje takie jak ta uświadomiły Phoebe, czego od dawna jej brakowało: towarzystwa, konwersacji, galanterii, męskiej opieki i... tak, tego też. Dlatego, ledwie między nimi zaiskrzyło, a już płonęła.

Miała możliwość zobaczyć go od innej strony. Mężczyzna, którego miłosne podboje stanowiły częsty temat rozmów londyńskiej śmietanki i któremu nieobcy był hazard, w Ham House rozmawiał ze znawstwem o najnowszych przeróbkach, materiałach i stylach. Opowiadał też o miejscach, które odwiedził, i poznanych ludziach, znajomych artystach i uczonych, o politykach i literaturze. Niezwykle szlachetnie zarekomendował hrabiemu jej brata Leona i osobiście poręczył zlecenie na serię widoków Ham House w trakcie renowacji. Hrabia pragnął bowiem mieć coś w rodzaju malarskiej dokumentacji do prywatnej kolekcji. Dla potomności, jak powiedział.

- Jak mogłeś poświadczyć za Leona? - zapytała go, gdy mijali w pędzie przydrożne drzewa. - Czy to nie ryzykowne, zważywszy na jego nałogi?

- Jeszcze nie za późno, żeby go zmienić - odparł ze wzrokiem utkwionym w wijący się gościniec. - W Londynie nie ma oparcia, otaczają go same pasożyty. Tu otrzyma każdy rodzaj wsparcia, jakiego mu potrzeba. Nie został jeszcze spisany na straty, mada-me.

- Wcześniej mówiłeś do mnie „Phoebe”. Wydaje mi się, że się zobowiązałam, prawda?

- Nie przejmuj się tym. To musiało się stać, a ja nie chcę się tym. Jeżeli to wszystko potoczyło się zbyt szybko, to zawiniły okoliczności i moja niecierpliwość.

Przecież ma kochankę, pomyślała Phoebe, ciekawe, ile jej powie. Z drugiej strony, Ransome twierdził, że w jego życiu nie ma innej kobiety. Czy może mu wierzyć po tym, co widziała? Po co mu drugi dom w Mortlake?

- Hrabia i jego żona mówili do ciebie „Buck”. Jak masz na imię? - zapytała.

- Buckminster Percival Ransome, do usług.

- Buckminster? - Zwróciła na niego czarne, roześmiane oczy.

- Tak - odrzekł z powagą. - Do imienia Percy raczej bym się nie przyzwyczaił. To nie dla mnie. Chyba się ze mną zgodzisz?

Pisnęła, kiedy faeton podskoczył na wyboistej drodze.

- Jak najbardziej. Nie mogłabym zostać kochanką mężczyzny, który ma na imię Percy.

- Czyli przecucie mnie nie myliło - stwierdził z uśmiechem.

Dalszą część drogi do Ferry House przebyli w zgodnym milczeniu i Phoebe mogła się zastanawiać, co jeszcze Buck wie, na przykład o portrecie. Dla niej był to szok, kiedy dowiedziała się, że ma szacownych przodków, lubianych tak bardzo przez księżną Lauderdale, że kazała ich sportretować. Zatem antenatka hrabiego Dysarta znała jej przodków - sir Leo i Phoebe Hawkynne'ów. Buck Ransome od początku wiedział o jej korzeniach i wykorzystał szansę, aby jej ukazać znaną i sławną część rodziny. A potem, aby rozładować atmosferę, wyjawiał jej swoje prawdziwe imię, brzmiące tak dostojnie: Buckminster Percival. Co za niesamowity człowiek!

Rozdział piąty

Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc okienne szyby ognistą poświatą, blednącą z wolna, w miarę jak chowało się za horyzont. W szarości bliskiego zmierzchu słyhać było świergot ptaków szukających nocnego schronienia. Phoebe spacerowała po ogrodzie, pogrążona w zadumie. Obok niej stąpał prądkowany kot, który, oczywiście przez czysty przypadek, zmierzał akurat w tę samą stronę.

Lord Ransome nie zabawił na tyle długo, by zdążyli omówić warunki ich nowego porozumienia, jednak pozwolił się zaprowadzić nad rzekę, gdzie Claudette pokazała mu zielone żabki, młode łabędzie oraz kaczki. Traktował ją bardziej po bratersku niż ojcowsku i każde z nich najwyraźniej odnalazło w towarzystwie drugiego coś, czym mogło zrekompensować sobie niedosyt pewnych uczuć.

Mijając klomby pachnącej lawendy, Phoebe po raz setny zastanawiała się, jak to możliwe, że tak szybko doszło do poprawy wzajemnych relacji. Nie mogła też pojąć, dlaczego człowiekowi, który jeszcze niedawno był jej wybitnie niemiły, zdradziła wszystkie przykre szczegóły swojego krótkiego małżeństwa, chociaż dotąd nie mówiła o tym nikomu. Nawet teraz, po tylu latach, z niesmakiem wspominała zniecierpliwienie, z jakim Claude Donville zareagował na kompletny brak doświadczenia młodziutkiej żony. Natarczywością i drwiną szybko ostudził płomień jej miłości. Zakochana w nim, miała nadzieję, że to się z czasem zmieni, nie pomogły jednak ani jej dobre chęci, ani pachnące świece i atłasowe prześcieradła. Trzy próby wyniesienia jej na szczyt zakończyły się klęską, o co obwiniała wyłącznie siebie. O tym, że miał kochankę, dowiedziała się dopiero po jego śmierci, lecz miniony czas nie zaleczył bolesnej rany.

Jak to możliwe, że po tak głębokim rozczarowaniu tłący się w niej płomień buchnął nagle i bez ostrzeżenia przy pierwszym pocałunku Ransome'a, skradzionym jej przecież, a nie przez nią ofiarowanym? Może stało się tak dlatego, że podsycala go namiętność, a nie poczucie obowiązku? Czowała bowiem, że Ransome jej pożąda, że nie potrzebują ani świec, ani atłasowych prześcieradeł. Czy jednak po raz drugi nie znajdzie się w miłosnym trójkącie, z góry skazanym na niepowodzenie? Jak może zaufać

Ransome'owi, skoro dowód jego niewierności widziała na własne oczy? I czy w ogóle ma jakieś inne wyjście, bo tak naprawdę ich układ jest umową handlową?

Przeszła wzdłuż wysokiego muru i pchnęła furtkę do ogrodu warzywnego, gdzie pod nagrzaną południową ścianą znajdowała się szklarnia. W wilgotnym wieczornym powietrzu unosił się zapach lawendy i mięty. Przystanęła i zaczęła go wdychać, spoglądając na szpaler drzewek brzoskwiniowych i morelowych, na którego końcu rósł figowiec o pękających owocach i woskowanym liściach.

Nazajutrz przypadał jeden z tych dni, kiedy dostarczali zamówienia do okolicznych zajazdów, więc już od świtu zaczęło się wysyłka produktów, przygotowanych i spakowanych w ciągu nocy w osobnej szopie wyposażonej w zlew, stoły, kubły, kosze, skrzynki oraz wiadra. Wiedziała, że może ufać pracownikom, mimo to postanowiła zajrzeć, żeby sprawdzić, kto co kupuje i w jakich ilościach. W środku było ciepło i ciemno, zostawiła więc otwarte drzwi, żeby wpuścić resztkę światła. W półmroku zobaczyła stoły z masą podpisanych skrzynek pełnych jarzyn, ziół i wczesnych truskawek. Gdy szła pomiędzy stołami, dotykając chłodnych liści rabarbaru i botwinki, nagle zapadła ciemność.

Odwróciła się, wystraszona. W drzwiach rysowała się potężna męska sylwetka. Rozpoznała ją z miejsca i serce jej szybciej zabiło z podniecenia.

- To ty! - powiedziała cicho. - Wróciłeś!

Nie musiała pytać po co, bo jeszcze nie skończyła mówić, a on zaczął się rozbierać. Ściągnął surdut i rzucił go do najbliższego koszyka, zerwał z szyi biały fular i, rozpiąwszy kamizelkę, ruszył w jej stronę, rozrzucając po drodze części garderoby.

W smutnych i bolesnych wspomnieniach Phoebe miłosny akt rozgrywał się w starannie zaaranżowanej scenerii sypialni, według pewnych ściśle określonych schematów, wykluczających spontaniczność. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że alternatywą może być ogrodowa szopa. Ransome jednak dobrze wiedział, jak rozbudzić jej drzemiące zmysły, bo już czuła, że cała płonie. Wyciągnęła ręce i tej samej chwili przygarnął ją do piersi, szukając łapczywie jej ust, aby dokończyć pocałunek rozpoczęty w Ham House. Wtedy się nim nie nasycili, gdyż przerwała im sprzeczka, ale uczucie niedosytu pozostało i domagało się zaspokożenia.

Phoebe wczepiła palce we włosy Ransome'a i przyciągnęła ku sobie jego głowę. Gdy zawładnął jej ustami, namiętność wybuchła jak płomień.

Odurzona zaborczą męskością, rzuciła się na oślep w świat zmysłowych wrażeń, nad którym władzę sprawował nie jej rozum, ale jego wola. Pomiedzy koszami i skrzynkami jarzyn rozegrał się pierwszy akt ich miłości. Przyciśnięta do ławki, Phoebe pozwoliła ustom kochanka powędrować wzdłuż jej szyi.

Nagle Ransome usłyszał jej szept:

- Patrz... tam... kołdry...

Odgadując bez trudu, o co jej chodzi, wyciągnął ze sterty używanych do okrywania inspektów kołder dwie i rozłożył je na podłodze pomiędzy koszami, konwiami i donicami. Wziął Phoebe w ramiona i pociągnął ostrożnie w ciemność, pachnącą ziemią i męczyzną. Poczula na sobie jego ciężar, mięśnie ramion i torsu. Jęknęła, kiedy wraz z następnym pocałunkiem jego dłoń rozpoczęła delikatną wędrówkę po jej ciele.

Wprawne palce w mig uporały się z guziczkami stanika, uwalniając piersi. Urodziła córkę i sama ją karmiła, więc jej figura rozkwitła i nabrała bujnych kształtów. Gdy zaczął dotykać jej piersi, z ust Phoebe wyrwał się okrzyk.

- Moja ty bogini urodzajów, jakaś ty piękna - wyszeptał, drażniąc językiem ich stwardniałe czubki. - Mówiłaś, że żaden mężczyzna nie może cię wziąć? Czy dobrze słyszałem?

- Nie to miałam na myśli, Buck. Dobrze wiesz, o co mi chodziło.

Uniósł głowę. Poczula na twarzy jego oddech i była pewna, że się triumfalnie uśmiechał.

- Tak, wiem, co miałaś na myśli, ty dumna kobieto. Bałaś się, że nie będziesz w stanie zapanować nad pożądaniem. Nagle odezwało się z wielką siłą, i to z powodu mężczyzny, którego próbowałaś znieubić przez te wszystkie lata. Myślałaś, że cię nie przejrę, moja piękna?

- Mylisz się. Nie chciałam cię, i tyle.

- Obawiałaś się przyznać, że mnie pragniesz. A teraz? Kiedy cię trzymam w ramionach? Miękką, ale wciąż najeżoną? Czego ode mnie oczekujesz, kobieto?

- Niczego od ciebie nie chcę, ty arogancki brutalu. Absolutnie niczego...

Parsknęli śmiechem jak na komendę, po czym połączyli się w zaborczym pocałunku. Niecierpliwym gestem odsunęła jego ręce od swoich piersi i, pragnąc jak najszybciej zapemnić pulsującą w niej pustkę, uniosła biodra, by go przyjąć w siebie. Pomogła mu podsunąć do góry spódnicę i na wpeł obnażona poddała się wprawnym pieścizotom jego ręki. Z Claude'em ta część była zawsze upokarzająca, gdyż swym egoistycznym pościechem sprawiał jej tylko ból.

Ransome pieścił ją niespiesznie, obsypując jej twarz, szyję i piersi czułymi pocałunkami, od których kręciło jej się w głowie. Jęczała z rozkoszy, aż wreszcie zaczęła go ponaglać okrzykami, by wziął to, co chciała mu ofiarować, i to już, jak najszybciej! Tyle lat czekała na namiętność, która nie będzie się wiązała z uczuciem lęku i upokorzenia, że się niecierpliwiła.

Uniósłszy się nad Phoebe, Ransome rozpiął bryczesy i wszedł w jej spragnione wnętrze, delikatnie, ale zdecydowanie. Znał Donville'a, jego przechwałki, rozwiąłość i brak szacunku dla kobiet. Po tym, co mu Phoebe opowiedziała, przestał się dziwić jej niechęci do kolejnego zamążpójścia. Naiwne zdumienie, z jakim reagowała na jego pieścizoty, potwierdziły jego przypuszczenia, że choć impulsywna, namiętna i nieokiełznana, była w głębi duszy niewinna i mało doświadczona.

Dlatego wziął na siebie rolę przewodnika i prowadząc ją na szczyt, pilnie wsłuchiwał się w jej westchnienia i jęki. Czekał na każdy jej znak i, odkrywając w niej większe pokłady namiętności, niż się spodziewał, przyspieszył tempo, widząc, że jest gotowa. Okrzyk rozkoszy i gwałtowny spazm, wstrząsający jej ciałem, uświadomiły mu, że po raz pierwszy dotarła do celu.

Dopiero wtedy i on pofolgował wreszcie namiętności z siłą, która nimi wstrząsnęła, odbierając im mowę.

- Och, ty moja nimfo - wyszeptał. - Tyle lat! Pomyśl, co straciliśmy.

Phoebe uśmiechnęła się i pogłaskała go po głowie.

- Gdybym wiedziała... - wymruczała z ustami przytulonymi do jego podbródka.

- Ale co?

- Hm... sama nie wiem. Może i lepiej, że nie wiedziałam. Wtedy coś takiego by nam się nie przydarzyło, prawda? Nie mogłabym zrobić tego z nikim innym. Tylko Buck Ransome potrafi wtargnąć nocą do ogrodu kobiety, żeby ją gwałtownie posiąść.

Pocałował ją i, przyciągając do siebie, powiedział:

- Nie dokończyłem pewnych spraw.

- Wszystko to zaplanowałaś, tak?

- Owszem, ale to było spontaniczne planowanie.

Tak jest o wiele lepiej, kiedy ma się do czynienia z nieznośnymi wdowami.

- Jakimi znów nieznośnymi wdowami?

- Pięknymi, trochę szalonymi, o imieniu Phoebe, tak podniecającymi, że człowiek kocha się z nimi w butach, bo ich nie zdąży zdjąć.

Uśmiechnęła się sennie i, wsunąwszy mu rękę pod koszulę, poczuła pod palcami krąg włosków wokół jego pępka.

- Ach, teraz już rozumiem - szepnęła.

Po tym wszystkim niełatwo było Phoebe wrócić niepostrzeżenie do swojego pokoju. Po ostatnim, zaborczym pocałunku lord Ransome wskoczył na karego konia i odjechał w ciemną noc, kwitując pobłażliwym prychnięciem jej obawy, że domownicy mogą się zorientować. Dodał, że pora, aby zaczęli się przyzwyczajać. Co było równoznaczne ze stwierdzeniem, że i jej to dotyczy. Nie mogła jednak narzekać, że zostawili bałagan, bo posprzątali bardzo porządnie w szopie, by nie było żadnych śladów. Tak więc gdy o poranku zjawią się pakowacze, nie zastaną tam niczego podejrzanego.

Następnego ranka, zanurzona w parującej kąpieli o zapachu mirtu i bzu, Phoebe miała trochę czasu, aby się zastanowić nad poprzednim dniem, tak obfitym we wrażenia. Po namyśle przyznała rację lordowi Ransome'owi, że niedawne dramatyczne wydarzenia mogły się okazać dla Leona zbawienne. A może i dla mnie, pomyślała, uśmiechając się w rozmarzeniu. Na szczęście, Claudette, która przysłała się z nią wykąpać, była tak podkorytowana zbliżającą się wizytą u cioci Mimi w Twickenham, że przez cały czas paplała jak najęta, nie zwracając uwagi na lekki rumieniec i tajemniczy uśmiezek mamy. Nie uszły one natomiast uwagi pokojówki, która rozsądnie zachowała swoje myśli dla

siebie, za to przyniosła szczególnie twarzową dzienną suknię z falbankami przy dekolcie, a Phoebe bez szemrania przyjęła ten wybór.

Gdyby miała zwyczaj pobłażać sobie, byłaby pewnie spędziła ten dzień na tarasie w ogrodzie, marząc, wachając kwiatki i kontemplując widoki Tamizy. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić, gdyż trzeba było pomyśleć o nowych zamówieniach, lekcjach harfy dla Claudette oraz przygotowaniu pokoju dla Leona, którego spodziewała się wieczorem. Tak więc miała bardzo mało czasu na refleksje poza jedną: że to najcudowniejsze uczucie zostać zdobytą przez jedyne go mężczyznę, który samą obecnością budził zamęt w jej duszy.

Nie uzgodnili godziny przyjazdu Leona, ponieważ nie było wiadomo, czy Ransome go znajdzie i w jakim stanie. Minęła pora kolacji, a potem czas pójścia Claudette do łóżka, mimo to Phoebe nie była wcale zdenerwowana, a co najwyżej lekko zaniepokojona. Spodziewała się lada chwila usłyszeć turkot kół na podwórzu i odgłosy towarzyszące wyładowywaniu kufrów. Tymczasem pojawienie się samotnego jeźdźca na karym koniu obudziło w niej najgorsze przeczucia.

- Wejdźmy do domu, najdroższa, wszystko ci opowiem. Tak, tak... przywiozłem go i jest bezpieczny.

- Bezpieczny? A gdzie on jest?

Ransome objął ją i z uśmiechem przyciągnął do siebie, po czym weszli do salonu, gdzie pozapalano świece, a na parapetach poustawiano wazy z kwiatami.

- Jest w moim domu - odparł. - Nie mogłem go tu przywieźć. Musi najpierw dojść do siebie.

Phoebe spostrzegła, że Ransome jest zmęczony, a w oczach ujrzała prośbę, by zechciała mu zaufać. Uznała, że skoro podjął taką decyzję, to musiał wiedzieć, co robi. Posadziła go w bujanym fotelu przy oknie, gdzie lekki wietrzyk przynosił do pokoju słodki zapach goździków.

- Jest bardzo chory? - spytała, gdy opadł na fotel z zamkniętymi oczami.

Uniósł powieki i potrząsnął głową.

- Nie, lecz nie jest też w takim stanie, aby można go było przywieźć do domu eleganckiej damy.

- Nawet siostry?

- Nawet. Okropnie nabrudził mi w powozie. Uznałem, że najlepiej będzie zawieźć go od razu do Mortlake, żeby doszedł do siebie. A potem może się przenieść tutaj.

- Och! - Zgnębiona Phoebe ukryła twarz w dłoniach.

Widząc to, objął ją i, przygarnawszy do piersi, zapewnił:

- Wydobrzeje, mogę ci to obiecać, najdroższa.

- Nie jest z nim dobrze, prawda? - zapytała ze łzami w oczach. - Kto się nim zajmie w Mortlake? Przecież nie może tam zostać. - Oczyma duszy Phoebe widziała brata zdanego na łaskę i niełaskę kochanki Ransome'a.

- Nie zostanie tam, moja nimfo. Zatrudnię dwóch mężczyzn, lokaja i zarządcę. Będą wiedzieli, czego mu potrzeba. Wykąpią go, ogolą i wyleczą...

- Nie ma tam żadnej kobiety?

- Kobieta to ostatnie, czego mu teraz trzeba. Strasznie się nad sobą użala, a mężczyźni wiedzą najlepiej, jak sobie z tym poradzić.

- Z czym? - zapytała, pociągając nosem.

- Nie poczęstuje mnie pani niczym, pani Donville?

- Och, rzeczywiście, przepraszam. Każę podać coś do jedzenia. Nie byłam pewna...

- Dasz mi kieliszek burgunda?

Zamrugła, pocierając czubek nosa gestem, który wydał mu się uroczy.

- Obawiam się, że to początek końca naszego romansu, milordzie. Mogę zaproponować śliwowicę, wino agrestowe lub z czarnego bzu albo...

- Och, kobieto! Powinienem...

Nie dane mu było dokończyć, bo drzwi otworzyły się i poczciwa Hetty wniosła baterię trunków na srebrnej tacy nakrytej koronkową serwetką. Po niej weszła pokojówka z półmiskiem kanapek przybranych plasterkami rzodkiewki i natką pietruszki w jednej ręce, a ciastem owocowym w drugiej. Hetty i lord Ransome poznali się przed wielu laty w Londynie, Phoebe zaprosiła ją więc, by została i posłuchała jego opowieści, jak znalazł Leona. Sprawa kochanki z Mortlake zeszła na dalszy plan.

Biedny Leon, jak się okazało, spił się do nieprzytomności, gdy do niego dotarło, że przegrał rodzinną posiadłość, której nie da się odzyskać. Nikt z rodziny nie odwiedził go,

żeby mu zaproponować pomoc lub podyskutować o konsekwencjach. Nawet matka miotająca się w szale przygotowań do kolejnego przyjęcia dla męża. Leon był u siebie, pod opieką służącego, który wyznał Ransome'owi, że jego pan nie jadł od kilku dni. Był wskutek tego tak osłabiony, że nie miał siły zaprotestować, kiedy wicehrabia zajechał powozem przed dom przy Harley Street i z pomocą służącego spakował jego bagaże, owinał go w kołdry i zawiózł do Mortlake. Uznał, że byłoby nie fair zostawiać go w takim stanie w domu pełnym kobiet.

Hetty przyznała się później Phoebe, że najbardziej zaskoczyła ją w całej tej sprawie rola Ransome'a. Kto po wygraniu czyjegoś domu zaprzętałby sobie głowę niešťcześnieńnikiem, który go przegrał? Tymczasem wicehrabia przywiózł go swoim powozem, umieścił we własnym domu i zajął się nim jak brat.

Niestety, nie jak rodzony brat, stwierdziła z goryczą Phoebe.

Hetty zgodziła się z nią i powiedziała, że lord Ransome jest wyjątkowym człowiekiem, bez względu na to, czy ma kochankę w Mortlake, czy nie. Dodała, że musi mu na Phoebe szalenie zależeć, skoro stara się zdobyć jej uznanie w taki sposób. Na jej miejscu nie przejmowałaby się tym, kto z nim mieszka, bo człowiek ten ma w sobie wiele z samarytanina.

W tym momencie Phoebe poczuła się w obowiązku wyznać kochanej Hetty, że jej silna niechęć przerodziła się w coś, co bardziej przypominało miłość, jeżeli tak można określić to, co działo się z nią, ilekroć myślała o Ransome'u. Nic takiego nie przydarzyło jej się z Claude'em Donville'em - była tylko świadomość sukcesu, zapewniona przyszłość i chociaż raz uznanie ze strony matki.

Hetty zapytała, czy dlatego wylała fusy po herbacie do cukiernicy, bo bała się już, że coś jest nie tak... Jednak zakochanym wiele się wybacza.

- Tyle że ja nie chcę być w nim zakochana - oznajmiła Phoebe. - To nie ten typ mężczyzny, z jakim powinnam się zadawać. Sama widziałas, jaki on jest, a do tego twierdzi, że nie ma żadnej kobiety w Mortlake. Czy mogę mu wierzyć?

- Przecież nie widziałyśmy tam kobiety, kochanie.

- A poza tym co to za człowiek, który jest w stanie przejąć dom nieszczęsnej wdowy, ot tak, nie pytając jej o zdanie? Wmawia mi też, że zawsze się nim interesowałam, choć to czysta arogancja, bo wcale mi się nie podobał.

- I dlatego zachowałeś balowy karnecik, do którego ci się wpisał, kiedy miałaś lat szesnaście?

- Jest w nim więcej nazwisk.

- Obawiam się, że nie.

- To jeszcze o niczym nie świadczy, Hetty.

- Masz rację. Symptomy i dowody to nie wszystko, ale...

- Ale co?

Hetty poprawiła z westchnieniem okulary i wyjęła z koszyka czólenko do robienia koronek.

- Można wciąż szukać i odrzucać, zastanawiając się, dlaczego życie przemija w zaskakującym tempie. A potem nagle człowiek budzi się i uświadamia sobie, że skoro sam nie jest ideałem, czemu miałby się spodziewać, że znajdzie kogoś, kto nim jest. Wicehrabia Ransome zaproponował ci małżeństwo, a ty wciąż szukasz powodów do odmowy, chociaż rozwiązałyby to wszystkie nasze problemy. Czy nie pora, żebyś pomyślała o korzyściach? Czy on musi wskoczyć do jaskini lwa po twoją chusteczkę do nosa, żeby cię zdobyć?

- Nie. Hetty, nie złość się na mnie. Dostrzegam płynące z tego korzyści dla nas wszystkich, nie tylko dla siebie. Ponieważ już się sparzyłam, staram się być ostrożna.

- Czas nie przemawia na naszą korzyść, kochanie. Wygląda na to, że on wypełnił warunki umowy.

- Tak, wiem. Może posunęliśmy się nieco dalej, niż myślisz.

Hetty oderwała wzrok od koronek i przyjrzała się uważnie zarumienionej twarzy Phoebe, po czym znów wzięła do rąk robótkę.

- To by wiele wyjaśniało - mruknęła enigmatycznie.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, nazajutrz rano, tuż po śniadaniu, Phoebe została odwieziona powozem lorda Ransome'a do Mortlake. Specjalnie na tę okazję włożyła najładniejszą spacerową suknię z białego muślinu w niebieskie kwiatki, a na nią

jasnoniebieski spencerek, spod którego wystawały białe koronki przy dekolcie i mankietach. Twarzowy czepek ze sztywnym rondkiem, przybrany falbanką i pękiem błękitnych wstążek, doznał lekkiego uszczerbku w trakcie nagłego przystanku w Richmond Park, gdy lord Ransome pocałował ją szybko i zachłannie, po czym, jakby nigdy nic, ruszył w dalszą drogę.

Poprawiła czepek, wsunęła pod niego niesforny lok i, zerkając z ukosa na swego towarzysza, zapytała:

- Czy kochanka musi się z czymś takim liczyć?

- O tak. Żona też. To było znowu spontaniczne planowanie.

- Powiedz mi lepiej coś o Leonie, proszę. Czy jest poprawa?

- Ogromna. Kiedy wyjeżdżałem, siedział w łóżku i jadł śniadanie. Może ci się jednak wydać zmieniony od czasu, gdy ostatnio go widziałas - ostrzegł ją. - Przede wszystkim schudł, lecz tym się nie martw, podtuczymy go. Będzie też potrzebował ruchu i świeżego powietrza. Nie przejmuj się, najdroższa.

Później była mu wdzięczna, bo gdyby jej nie uprzedził, byłaby na widok brata wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Leon mógł się wydawać niewidoczny na tle białych poduszek, gdyby nie masa czarnych loków, skreconych jak sprężynki po niedawnej kąpieli. Kiedy skierował na zatroskaną twarz siostry wpadnięte oczy o ciężkich powiekach, ciemne i nadal nabiegłe krwią, natychmiast napełniły się łzami.

- Mój kochany! - zawołała Phoebe, biorąc go w ramiona. - Ćśś, nie płacz, wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą i odkarmimy cię. Ćśś!

- Czy potrafisz mi wybaczyć, Pheeb? Przecież wiesz, że nigdy bym cię świadomie nie skrzywdził. Boże, co ja najlepszego zrobiłem!

- Poradzimy sobie ze wszystkim, zobaczysz. Przecież tylko o to chodzi. A co na to mama? Nie skontaktowała się z tobą?

- Jest pod pantoflem Templemana.

- Mama pod pantoflem mężczyzny? To coś nowego.

- Czy Ross już wie? - zapytał Leon, ocierając łzy rogiem prześcieradła.

- Tak, mama napisała do niego, lecz nie do mnie.

- Kolejny Hawkin pod pantoflem - wyszeptał.

Phoebe wyprostowała się, zaskoczona.

- Ross? To niemożliwe.

Skinął głową i powiedział:

- Możliwe, Pheeb. Ta kobieta pnie się po drabinie społecznej jak bluszcz. Ciebie też by się uczyła, gdyby mogła. Przed Rossem polowała na mnie, bo jestem najstarszy. A jeszcze wcześniej - spojrzał na Ransome'a - zagięła parol na tego kolosa. Ale dosyć już o nich. Co się z tobą stanie, Pheeb? To najbardziej mnie martwi.

- Mam pewne plany, ale ty jesteś najważniejszy, Leonie. Czy nadal malujesz?

Niezdolny spojrzeć jej w oczy, odwrócił wzrok.

- Nie, i to od dawna - wyszeptał. - Chciałem, ale...

- Mam przyjaciela, który jest gotów ci pomóc. Czy rękę masz wciąż pewną?

- Nie wiem, Pheeb, natomiast wzrok mnie zawodzi. Ransome wykazał więcej optymizmu.

- Będzie dobrze, przyjacielu - powiedział. - Wyciągnij rękę i zobaczymy, czy trzęsie ci się mniej niż wczoraj.

Ręka nie drżała już, nadgarstek był szczupły i zgrabny, tylko paznokcie trochę za długie.

- Moim zdaniem, wszystko jest w porządku. Potrzebny ci odpoczynek i dobre jedzenie. A za dzień czy dwa zawieziemy cię do tego przyjaciela. Podobała mu się twoja praca.

Leon nachmurzył się.

- Gdzie on ją wiedział? Przecież nie wystawiam.

- Pokazałam mu twoją akwarelę - wyjaśniła Phoebe. - Tę, którą mi dałeś. To hrabia Dysart z Ham House. Uważa, że masz niebywały talent.

Trudno było oczekiwać wybuchu entuzjazmu po człowieku w tak mizernej kondycji, lecz żadne z nich nie spodziewało się też, że Leonowi twarz wykrzywi się jak dziecku, a oczy znów zajdą łzami.

- Czemu jesteś dla mnie taka dobra, Pheeb? - spytał łamiącym się głosem. - Przecież na to nie zasłużyłem. Zrujnowałem ci życie, a ty mi za to odpłacasz dobrem. Czy to nowy rodzaj kary?

Phoebe ścisnęła go za rękę i na znak Ransome'a pocałowała brata w czoło, po czym wstała.

- Odpoczywaj, kochany. Później porozmawiamy.

Wyszła, zostawiając ich samych, aby mogli zamienić parę słów. W ciągu kilku chwil zdążyła jednak zauważyć wiele drzwi wokół przestronnego holu na piętrze. Dom był znacznie większy, niż się wydawał z zewnątrz. Po co ktoś chciałby rozbudowywać dom, który i tak ma tyle pokoi? W korytarzu mignęła jej niemłoda kobieta w szarej sukni i białym czepcu - prawdopodobnie gospodyni. Nigdzie jednak nie dostrzegła małych chłopców.

- Znowu zasnął - powiedział Ransome, zamykając drzwi. - Musi nadrobić zaległości. Nie zamartwiaj się, najdroższa. Poza tym wszystkie wina i wódki trzymam pod kluczem, tak że nie dostanie ani kropelki. Mogę ci to obiecać. A teraz zejdźmy na dół. Chcę ci pokazać coś ciekawego.

Hol wejściowy także był bardzo przestronny, z drzwiami do wielu pokoi. Umeblowany dosyć oszczędnie sprzętami praktycznymi raczej niż eleganckimi, miał tyle krzeseł, że można by zapraszać wielu gości. Ransome zamierza wydawać przyjęcia, pomyślała Phoebe i uznała, że przed poczynieniem kolejnych kroków zdecydowanie powinna się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

- Wejdźmy tutaj - powiedział. - Tu jest mój gabinet.

Większość znanych Phoebe mężczyzn miała pełen ksiązek gabinet, w którym gromadziła dokumenty, prowadziła korespondencję, uprawiała hobby i rozmawiała z agentami oraz służbą. Pokój Ransome'a nie różnił się od innych, wyposażony w skórzane fotele i pachnący woskiem oraz tytoniem.

- Dziś rano dostałem list od twojego drugiego brata - powiedział, kiedy Phoebe usiadła. - Dostarczony przez posłańca. W samą porę. Może chciałabyś rzucić okiem?

- Oczywiście. Dziękuję. Nie słyszałam jednak, żebyś wspominał o tym Leonowi.

- Przeczytaj go.

List był krótki; Phoebe wystarczyło kilka chwil na zrozumienie propozycji Rossa. Reakcja była natychmiastowa. Oczy zapłonęły jej oburzeniem, a trzymająca list dłoń za drżała.

- Chce, żebyś sprzedał dom? I to jemu? Powiększająca się rodzina... potrzebuje pokoiów dla dzieci i niańki i dużego ogrodu. Ferry House? Mój dom? Najwyraźniej nie marnował czasu.

Ransome wziął od niej list.

- Może on myśli, że ja nie potrzebuję tego domu - powiedział.

Phoebe pokręciła głową, starając się zrozumieć, co powodowało Rossem. Rzeczywista potrzeba czy chęć postawienia na swoim po latach skarg i utyskiwań?

- Mogłabym to zrozumieć, gdyby chciał go kupić dla mnie, żebym mogła w nim nadal mieszkać. Oczywiście, miałbyś prawo odmówić, ale przynajmniej byłby to szlachetny gest z jego strony. Tymczasem w ogóle nie obchodzi go, gdzie się podzieję ze swoimi domownikami. Co za samolub, Buck! Ani mu w głowie było kupno dopóty, dopóki dom stał pusty i popadał w ruinę.

Zapewne Leon by mu go sprzedał, gdyby Ross złożył ofertę. Ale teraz? Jak on może robić coś takiego?

- Muszę przyznać, że jestem zdumiony. Czy w ogóle padła jakaś propozycja, dokąd mogłabyś się udać?

- Nie. Mieli chrapkę na Ferry House, odkąd doprowadziłam posiadłość do stanu kwitnącego. Uważali, że dom jest dla mnie za duży. Za to dla nich w sam raz. Chyba nie weźmiesz pod uwagę ich oferty, Buck? To jeden z warunków naszej umowy.

Ransome wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Przestań się zamartwiać - rzekł łagodnie. - Umowa zobowiązuje. Ferry House jest nam potrzebny. Przecież będziemy w nim mieszkać, czyż nie? Bądź spokojna, nie zamierzam go sprzedawać.

- Och, Buck! Nie zmienisz zdania, prawda? - Objęła go, a on ścisnął ją tak mocno, że zabrakło jej tchu, po czym ich usta spotkały się po raz drugi tego ranka.

- Wciąż mi ciebie mało - szepnęła. - Za nic w świecie nie zmienię zdania w żadnej sprawie, pani Donville. Jestem teraz za ciebie odpowiedzialny i nie ma odwrotu.

- Dziękuję ci raz jeszcze za to, że uratowałaś Leona. Po naszym pierwszym spotkaniu nie sądziłam, że stać cię na taką wielkoduszność. Najwyraźniej muszę wiele o tobie się dowiedzieć.

- Zrobię wszystko, żebyś dowiedziała się samych najlepszych rzeczy, i to jak najszybciej - odparł, całując ją w czubek nosa.

- Ross myśli, że będziesz mieszkał w Mortlake, jak dotąd.

- Może sobie myśleć, co chce, kochanie. Rozumiem, że ty nadal jesteś za tym, żeby go zaszokować? Jeżeli marzy ci się słodka zemsta, nieszkodliwa, rzecz jasna, to zgodzę się przedyskutować z nim jego propozycję po to, aby podtrzymać jego zainteresowanie.

- Raczej podsycić jego nadzieje. To chciałeś powiedzieć? Niezły pomysł - przyznała ze śmiechem. - Będzie się miał z pyszna. Czas najwyższy, żeby mu ktoś wreszcie utarł nosa.

- Wyślę mu dziś list.

- Napiszesz mu, że jest tu Leon?

- Lepiej będzie, jak sam się o tym dowie, nie uważasz? Niespecjalnie się interesowałam kłopotami brata, podobnie jak twoimi.

- Czy oprowadzisz mnie teraz po Mortlake, skoro tu jestem?

- Nie, odwiozę cię do domu. Pamiętasz, że wieczorem wybieramy się na koncert? Ponieważ masz jeszcze moment czy dwa... - Rozwiązał wstążki czepka, zdjął go z głowy Phoebe i położył na biurku. - Nareszcie - powiedział, biorąc ją znów w objęcia. - Teraz mogę cię pocałować bez obawy, że wybiję sobie oko tym sztywnym rondkiem.

- Ale ja chciałabym obejrzeć twój dom.

- Obejrzysz, kiedy zakończą się prace budowlane i będzie gotowy do użytku. Czy mogłabyś powstrzymać się od zadawania pytań, kiedy twoje usta są mi potrzebne w innym celu?

Kiedy dom będzie gotowy do użytku? Jakiego? - chciała zapytać. Po co komuś takiemu jak Buck Ransome dwa domy w tej samej okolicy? Chyba że ma dwie rodziny na utrzymaniu? Jak się dowiedzieć prawdy bez przyznawania się, że go szpiegowała?

Rozdział szósty

Wręczając swojej pani rzeźbiony wachlarz z kości słoniowej, panna Cowling obrzuciła krytycznym wzrokiem purpurową suknię i poprawiła kokardy na bufiastych rękawkach. W jej oczach pojawił się błysk uznania. Panna Cowling nie zwykła się uśmiechać, ale można było poznać, kiedy jest zadowolona. Jedwab mienił się i lśnił w świetle, podkreślając mistrzowski krój i pomysłowość krawca.

- Dziękuję ci, Evie - powiedziała Phoebe. - Czy to moja torebka?

- Jest w niej chusteczka do nosa, lusterko i balsam do ust - wyjaśniła panna Cowling, podając jej torebkę. - A oto aksamitna narzutka, na wszelki wypadek. Później może się zrobić zimno.

Phoebe od lat nie miała na sobie purpurowej sukni, ostatnio przerobionej zgodnie z obecną modą. Prezentowała się w niej zjawiskowo, tak że czekający na dole wicehrabia Ransome oniemiał z zachwytu. Niezwykle przystojny, cokolwiek by na siebie włożył, wyglądał nadzwyczajnie w ciemnoniebieskim fraku z czarnym aksamitnym kołnierzem i obcisłych bryczesach z jedwabnego dżerseju, podkreślających muskulaturę długich nóg. Oboje mieli świadomość, że podczas tego wieczoru trudno im będzie się skupić na koncercie, skoro myślami już wybiegali ku temu, co będzie potem.

Wieczór okazał się bardzo przyjemny, choć Phoebe obawiała się, że po latach nieuczestniczenia w życiu towarzyskim nie spotka znanych sobie osób. Tymczasem przyszło wielu członków charytatywnego komitetu parafialnego z Richmond. Obecność sporej grupy Francuzów była jednak dla niej niemiłym zaskoczeniem.

- Pomyślałam, kochanie, że będzie ci miło ich zobaczyć - powiedziała hrabina Dysart, kiedy zajmowały miejsca w reprezentacyjnym holu na parterze. - Wprawdzie wiedzą wszystko o tobie, ale są bardzo dyskretni.

- Wiedzą wszystko o mnie? - powtórzyła szeptem przerażona Phoebe, zwracając się do Ransome'a. - Czy ona też?

- Tak, dowiedziała się od francuskich gości. Nie martw się, to stare sprawy - pocieszył ją. - Jak ci wspomniałem, oni zapomnieli o dawnych sprawach, szczęśliwi, że mogą w spokoju żyć w Anglii. Poza tym ty nic im nie zawiniłaś.

- Łatwo ci mówić. A skoro tak twierdzisz, to dlaczego wypomniałeś mi uczynki męża podczas pierwszej wizyty?

- A jak inaczej mógłbym cię zmusić, żebyś zechciała ze mną porozmawiać?

- To było bardzo nieeleganckie, milordzie.

Odpowiedział szelmowskim uśmiechem i wziął ją za rękę.

- Chodź, usiądziemy obok panien Berry, dobrze? Znasz je, prawda?

- Spotkałyśmy się kilka razy. One mieszkają w Green.

Hol w Ham House nie był szczególnie obszerny, a jednak sześćdziesiąt osób zasiadło w nim wygodnie, wśród szelestu jedwabi i aksamitów, muślinów i koronek, falbanek i strusich piór. Dodatkowa grupa gości ulokowała się na galerii i z góry spoglądała na rzędy wyelegantowanych głów, a także orkiestrę ulokowaną na prowizorycznej scenie. Hrabstwo Dysartowie, gospodarze wieczoru, prezentowali się znakomicie. Hrabia miał pudrowaną perukę, noszoną już tylko przez starszą generację, oraz długi haftowany surdut z brązowego aksamitu. Jego ukochana żona widoczna była z każdego miejsca na sali niby kościelna wieża, a to dzięki fantazyjnemu stroikowi z długich piór i koronek zdobiącemu głowę. Niewykluczone, że taka przyświecała jej intencja.

Phoebe rozejrzała się wokoło i jej wzrok przykuła młoda dama w połyskliwej srebrzystej sukni, uszytej wedle najświeższej francuskiej mody, siedząca po drugiej stronie panien Berry. Dama owa spojrzała na nią wielkimi ciemnymi oczyma i uśmiechnęła się, jakby wiedziała, kim jest Phoebe, i chciała się z nią zaprzyjaźnić.

- To siostrzenica księżniczki d'Henin - wyjaśnił Ransome. - Ona też mieszka w Green. Później was sobie przedstawię.

Odwzajemniając uśmiech, Phoebe doszła do wniosku, że Ransome musiał wcześniej bywać na takich koncertach. W chwilę później rozległy się pierwsze tony, spróbowała zatem skupić się na muzyce. Jej ulubionym utworem był chorał Bacha „Jezu, ma radości”, ale z przyjemnością słuchała także „Muzyki dla Królewskich Ogni Sztucznych” Haendla, jednego z Koncertów Brandenburskich Bacha, arii Purcella oraz pięknego kwartetu smyczkowego Schuberta. Było jej jednak trudno się skoncentrować, gdyż nawiedzały ją świeże wspomnienia bliskości Ransome'a. Tym bardziej że siedział tak, że stykali się ramionami i udami. Serce jej szybciej zabiło i miała ochotę krzyczeć, bo wte-

dy także krzyczała. Na myśl o tym, co będzie potem, kiedy się rozbiorą, wstrząsnął nią rozkoszny dreszcz.

Ransome ujął dłoń Phoebe. Jak zwykle czytał w jej myślach. To nazbyt wiele po krótkiej znajomości. Nie wątpiła już, że wyjdzie za niego za męża. Przecież sama wpuściła go do swojego życia i w ciągu kilku dni przekonała się, jak to jest mieć mężczyznę, który rozwiązuje jej kłopoty, podejmuje decyzje, chroni ją i zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Przestała się bać francuskiej afery i związanych z nią konsekwencji. Siedząc obok niego, w pałacu hrabiostwa Dysartów, postanowiła raz na zawsze odciąć się od przeszłości i odtąd spoglądać z nadzieją w przyszłość. Ransome miał rację. Najwyższa pora zapomnieć o dawnych lękach.

Podczas antraktu goście przeszli do jadalni, żeby porozmawiać z przyjaciółmi oraz znajomymi, wypić kieliszek alkoholu i skosztować wykwintnych specjałów. Pokój tonął w ciepłym blasku świec. Purpurowe zasłony, mahoniowe meble, połyskujące srebra i kryształy tworzyły piękną, romantyczną scenerię. Oczarowana Phoebe powiedziała sobie w duchu, że czas najwyższy, aby i ona zaczęła przyjmować gości, gdyż sądząc po liczbie osób, które chciały z nią porozmawiać, miała więcej przyjaciół, niż sądziła.

Pomiędzy winem a maleńkimi ciasteczkami olśniewająca wdowa Donville, ofiara Rewolucji Francuskiej, została przedstawiona grupie Francuzów z Richmond. Młodemu markizowi de la Tour du Pin, który się do niej już wcześniej uśmiechał, hrabinie de Balbi, kochance hrabiego de Provance, mieszkającej w domu sir Joshui Reynoldsa, dwóm wiekowym księżniczkom i jednej leciwej księżnej, kilku pisarzom i muzykom, a także paru malarzom i architektom. Rozmawiając z nimi biegle w ich ojczystym języku, szybko podbiła ich serca i pod koniec antraktu wręcz promieniała, co jej się nie zdarzyło od lat. Duchy przeszłości nareszcie przestały ją dręczyć. Nawet myśl, że krewni mogliby poznać prawdę o jej mężu, przestała ją przerażać, bo skoro obcy ludzie dawno pogodzili się z tamtą tragedią, to czemu nie mogłaby tego zrobić jej rodzina?

Hrabia Dysart chciał się dowiedzieć, kiedy będzie mógł poznać jej brata.

- Przywieź go jutro - powiedział, klepiąc dobrotliwie Phoebe po dłoni, niczym ojciec. - Odbędzie się festyn dla dzierżawców z moich włości. Każdego lata urządzamy go w ogrodach. Zobaczysz, że ci się spodoba. Zawsze przyjeżdża mój przyjaciel

Rowlandson. Byłoby dobrze, gdyby twój brat mógł go poznać. Zatem jesteście umówieni.

Phoebe chciała porozmawiać dłużej z hrabiną na temat remontów, jakie przeprowadzili w Ham House, uznała jednak, że będzie musiała z tym poczekać, bo hrabina na pewno nie znajdzie czasu, skoro już następnego dnia po koncercie urządza festyn dla dzierżawców.

- Jeszcze nigdy nie byłaś tak piękna - szepnął jej na ucho Ransome, kiedy wrócili do holu. - Widać, że ci ze szczęściem do twarzy.

- Bardzo jesteś miły, milordzie.

- Wcale nie jestem miły. Przecież dobrze mnie znasz.

- Owszem. Jestem szczęśliwa, bo pewne rzeczy nareszcie trafiły na swoje miejsce. A także dlatego, że mogę tu być z tobą jako twoja kochanka.

- A może jako przyszła żona?

- Rozwiałeś prawie wszystkie moje wątpliwości w tej kwestii, milordzie, to pewne. Och... widzę, że muzycy wracają.

- Prawie wszystkie? Mogę zapytać o pozostałe?

- Ćśś! Powiem, kiedy się ich pozbędę - odparła, poprawiając fałdy sukni. A potem, aby go uspokoić, nakryła dłonią jego dłoń i trzymała ją tak przez cały czas, kiedy muzycy grali fragmenty „Czarodziejskiego fletu” Mozarta. Znow jednak, jak przed przerwą, muzyka zeszła na dalszy plan, a ich ściskające się co jakiś czas dłonie przekazywały sobie jednomyślne sygnały, równie zrozumiałe jak słowa.

Drogę powrotną do Richmond przebyli w milczeniu, czekając z utęsknieniem na to, co miało nastąpić.

Czas uprzejmych rozmówek i zawołanych sugestii dobiegł końca i panna Cowling została odesłana tuż po tym, jak nie mrugnawszy okiem, otworzyła drzwi do sypialni. Wiedziała zresztą, że musi do tego dojść, bo byli tak sobą zajęci, że nawet nie usłyszeli, kiedy mówiła „Dobranoc państwu”.

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, Phoebe i Ransome rozpoczęli własny koncert na dwa serca, bez akompaniamentu. Miłosny duet, którego słowa znali tylko oni.

- Ukochana... szczęście ty moje... jesteś jak dojrziała śliwka.

- Śliwka? - powtórzyła ze śmiechem.

- Tak, czerwona, soczysta, słodka... Śliwka, którą zaraz wezmę do ust. Zrzucić z siebie tę cholerną skórę, żebym mógł się dostać do miększu.

Tylko Buck Ransome mógł powiedzieć coś takiego w taki sposób, że zabrzmiało to nadzwyczaj romantycznie. Pomogli więc sobie nawzajem wyłuskać się z wieczorowych strojów wśród śmiechów i pieszczot, aż wreszcie Ransome stanął przed Phoebe w płóciennych kalesonach, a ona sięgnęła po koszulkę, nagle zawstydzona, a zarazem urzeczona widokiem okazałego męskiego torsu.

Choć dotąd oglądała go tylko w ubraniu, wiedziała, czego może się spodziewać. Mimo to poraziła ją jego męska uroda. Na widok imponującego obnażonego ciała przypomniała sobie Claude'a Donville'a, który modnymi strojami skutecznie maskował niedostatki figury, a pozornym polorem - kompletny brak obyczajów i prostactwo w łóżku.

Ransome, władczy i pański, miał odpowiednie do tego ciało i maniery. Nawet jeżeli coś przed nią ukrywał, to na pewno nic takiego, co mogłoby świadczyć przeciwko niemu.

- O co chodzi, najdroższa? - zapytał, spoglądając jej w oczy.

Przygryzła wargę, po czym, kładąc mu rękę na ramieniu, powiedziała:

- Nic takiego, coś sobie pomyślałam.

Ujął jej dłoń i położył ją na swojej piersi.

- Dzisiejszy wieczór obudził wspomnienia, czego się zresztą spodziewałem. Ale był to również spory krok naprzód. Uporaliśmy się z przeszłością - ty z twoją, a ja z moją - i nareszcie jesteśmy wolni. Przysięgam, że nigdy cię nie oszukam. Jeżeli żywisz wątpliwości czy zastrzeżenia, zapytaj, a chętnie ci odpowiem. Nie będę niczego przed tobą ukrywał. Zachowałem się niegodnie, zmuszając cię do przyjęcia mojej propozycji tylko dlatego, że nie miałem innego oręza, moja słodka nimfo, i musiałem uciec się do desperackich środków.

Drżała, kiedy wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka z baldachimem i położył na nagrzanej słońcem pościeli. Choć miłosny spektakl rozpoczęli w pośpiechu, wątpliwości Phoebe sprawiły, że zwolnili tempo i zaczęli się napawać rozkosznymi szczegółami,

które przeoczyli za pierwszym razem - ostrożnym wyjmowaniem szpilek z włosów, rozczesywaniem ich, niespieszną wędrówką dłoni po plecach i ust po jedwabistej skórze.

Przycisnąwszy ręce Phoebe do poduszki, Ransome rozwiązał jedwabny sznureczek przy dekolcie koszuli i zaczął ją zsuwać w dół, wodząc ustami i dłonią po obnażonym fragmencie, aż wreszcie leżała pod nim naga i drżąca w oczekiwaniu rozkoszy. Tymczasem badał niespiesznie wszystkie najtajniejsze zakątki jej ciała, ożywiając je i budząc w nich pragnienie dalszych pieszczot. Odpowiedź jej była równie żywiołowa i spontaniczna jak za pierwszym razem: jęki przerodziły się w okrzyki, dłonie zaczęły go ponaglać, cała się wygięła, gotowa na jego przyjęcie.

- Teraz! - wyszeptała. - Nie powstrzymuj się, najdroższy. Kochaj mnie.

Odpowiedź Ransome'a na to żarliwe zaproszenie była równie namiętna jak jej sny o nim. Posiadł ją z pasją, o jakiej marzyła latami, wynosząc na szczyty, których nie była w stanie sobie wyobrazić. Oto mężczyzna, na którego czekała, jedyny zdolny obalić mury, jakimi się otoczyła. To dzięki niemu zrozumiiała, że jej tak zwane spokojne życie zaczynało się przeradzać w izolację. Ich pierwszy raz w ogrodzie był ograniczony z powodu jej braku doświadczenia. Jednak nie była już nowicjuszka i mogła mu ofiarować miłość równie szczodłą i zmysłową jak on jej.

Nie musiał jej prowadzić jak za pierwszym razem, bo szli ręka w rękę. Była to najbardziej podniecająca noc w życiu ich obojga - noc ucieczek i pościgów, posiadania i poddania, czułości i determinacji - zanim wspólnie osiągnęli szczyt.

Phoebe odniosła wrażenie, że niebo wali im się na głowę. Złączeni w uścisku, dzieląc się tym samym płytkim oddechem, uchwycili się ostatniej gasnącej gwiazdy.

Świeca wypaliła się i tylko blask księżyca sączył się przez rozsunięte kotary łóżka, gdy wreszcie wypuścili się nawzajem z objęć - jak się okazało tylko na chwilę. Phoebe wtuliła się w kochanka, uśmiechnęła się, gdy przesunął dłonią po jej krągłym biodrze, po czym nagle przeciągnęła się sennie i, odwróciwszy się znów do niego, podała mu usta.

Nazajutrz z rana Phoebe pojechała do Mortlake w nadziei, że uda jej się namówić Leona, aby zamieszkał z nimi w Ferry House dopóty, dopóki nie wyzdrowieje i jego przyszłość nie zostanie ustalona. Po przybyciu na miejsce przekonała się z ulgą, że brat wypoczęty, troskliwie pielęgnowany i karmiony najlepszymi smakołykami przez gospo-

dynię Ransome'a, zmienił się nie do poznania. Żałosny nieszczęśnik sprzed kilku dni stał się eleganckim kawalerem, o starannie przystrzyżonych czarnych włosach i lśniących oczach, bez ciemnych podkówek i czerwonych obwódek. Oczy te wciąż jednak spoglądały przeprasząco i niepewnie, jakby Leon nie do końca pojmował to, co mu się przytrafiło.

- Zrobię, jak uważasz, Pheeb - powiedział. - Jeżeli chcesz, zostanę w Ferry House, chociaż to tymczasowe rozwiązanie, prawda?

- Zobaczymy, mój drogi. Nie musimy decydować o wszystkim już teraz.

Ze względu na Claudette Ransome opuścił Ferry House bladym świtem. Zgadzając się na przeprowadzkę Leona, zaproponował, że przewiezie jego bagaże później krytym powozem, aby uniknąć plotek. Leon nie przypominał sobie, by kiedykolwiek odwiedził Ferry House, zaś różnica między dawnym stanem posiadłości a obecnym nie pomogła mu odświeżyć pamięci. Dopiero kiedy otworzono bramy przed wiozącym go faetonem, dotarło do niego, że ten przepiękny dom był ceną, jaką zapłacił za jeden wieczór hazardu.

- Och, Phoebe - rzekł zdławionym głosem. - Czy to tu? To twój dom?

Korzystając z okazji, mogła mu opowiedzieć, jaki był plan i dlaczego wszystko stało się tak szybko mimo jej znanej wszystkim niechęci do wicehrabiego Ransome'a. Jednak skupiona bardziej na powożeniu niż na sprawach sercowych, postanowiła poczeekać, aż będzie po powitaniach.

Serdeczność, z jaką został przyjęty, przytłoczyła nieco Leona. Ze zdziwieniem skonstatował, jak zmieniły się Hetty, Claudette i Tabby Maskell - najbardziej jednak Claudette. A choć nie widzieli się od wielu lat, aluzja Hetty do powrotu marnotrawnego syna nie była tak do końca nie na czasie, mimo że zamiast wystawnej uczyty podano lekki poczęstunek. Oprowadzono go potem po domu i ogrodzie, a entuzjizm, z jakim Claudette pokazywała mu ukochany dom, była nieuzasadniona w zaistniałych okolicznościach. To panna Maskell dostrzegła rozpacz malującą się na urodziwej twarzy Leona i zasugerowała, że powinien odpocząć.

Gdy znaleźli się w gabinecie Phoebe, Leon osunął się z westchnieniem na fotel i powiedział:

- Miałem czas, żeby to wszystko przemyśleć... Chodzi mi o ciebie. Wciąż mam rodzinny dom przy Harley Street. Wprawdzie nie jest taki duży jak ten i nie otacza go ogród, ale znajdzie się w nim dosyć miejsca dla ciebie i...

- Leonie, uspokój się, mój drogi. Problem został rozwiązany.

Nie była to wiadomość, którą można zaserwować w pośpiechu komuś, kto docho-
dził do siebie po monstualnym kacu. Należało ją dawkować po trochu jak lekarstwo.

- Co? - Leon zasępił się, biorąc z rąk siostry filiżankę z kawą. - Czy coś jest między tobą a Ransome'em? Co on kombinuje? Nigdy go nie lubiłaś, a teraz nagle z nim rozmawiasz? I dlaczego robi to wszystko dla mnie, po tym jak...? Och, nie, to wyłącznie moja wina. Po co się wypierać?

- Pozwól, że ci wytłumaczę. Doszliśmy do porozumienia, i tyle. - Niestety, cokol-
wiek by mówiła, pomimo jej wysiłków słowa zdawały się mieć mocno dwuznaczny wy-
dźwięk.

- Ach, tak? Doszliście do porozumienia... - powtórzył Leon. Filiżanka zabręczała
o spodek w jego trzęsącej się znowu ręce. - To chyba nie wszystko, prawda, Pheeb?
Sprzedałaś się za dom. Dobrze mówię?

- Nie sprzedałam się. Niepotrzebnie dramatyzujesz.

- Zgodziłaś się zostać jego kochanką, a on pozwala ci tu mieszkać. Nie próbuj my-
dlić mi oczu. Ta zgoda, te uprzejmości po tym, jak nie mogłaś znieść jego widoku? -
Wstał, sztywny jakby kij połknął.

Phoebe uznała, że jest urażony. Jak go przekonać, żeby zrozumiał, zastanawiała się
z rozpaczą.

- Posłuchaj, Leon, błagam... - zaczęła, ale było już za późno, gdyż w holu rozległ
się męski głos, któremu wtórował płacz dziecka oraz kobiecy lament.

- Niech to diabli! - zaklął Leon. - To Ross, prawda? Czego on chce?

Phoebe zrozumiała, że szansa, aby cokolwiek wytłumaczyć, wymyka jej się z rąk.
Chwyciła brata za ramię i odwróciła twarzą ku sobie.

- Proszę cię, ja się tym zajmę, bo wiem, po co przyjechali. Nie miej takiej zasko-
czonej miny. Udawaj, że wiesz.

- Ale co wiem?

- To, co zamierzam im zaraz powiedzieć, do cholery! - syknęła, po czym zwróciła się do gości: - Ross, Josephine! Co za niespodzianka. Zjawiliście się tak wcześnie. O, i jest też Arthur. Może przejdziemy do salonu? Tutaj nie przyjmuję gości - dodała, chcąc przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim oni zdążą to zrobić. Cokolwiek powiedziałyby jednak czy uczyniła, nie złagodziłoby to ich osłupienia na widok Leona.

Ross wyprostował się jak oficer, który zamierza pałać mowę nowemu rekrutowi.

- Co ty tu robisz?!

- Piję kawę z siostrą. Dzień dobry, droga Josephine. Wyglądasz świetnie, jak zwykle. Dobry Boże, jak to dziecko urosło!

- Kiedy przyjechałeś? - drażył Ross, w którym nagle obudziła się prawnicza dusza.

Obecność Leona wyraźnie zbiła go z pantafelku, a spojrzenie, jakie rzucił żonie, sugerowało, że być może przyjdzie im skorygować taktykę.

Josephine nie zamierzała jednak zmienić raz obranej linii ataku i wzięła Leona w krzyżowy ogień pytań, zanim zdążył odpowiedzieć Rossowi. Gdy tylko przeszli do salonu, zażądała wyjaśnień, dlaczego postawił kochaną Phoebe w tak tragicznym położeniu, wydając ją na pastwę okropnego człowieka. Czy nie wiedział, że to oni zamierzali zaproponować jej...

- Co takiego, Josephine? - przerwała jej grzecznie Phoebe. - Co też takiego proponowaliście mi, bo już zapomniałam?

- To chyba nieistotne - stwierdził Ross, podnosząc wrzeszczącego chłopca. - Rzecz w tym, że znaleźliśmy sposób, aby obejść ten problem. Dlatego dobrze się składa, że tu jesteś, Leonie, ponieważ dotyczy to również ciebie.

- Zaskakujesz mnie, bracie - odparł Leon, krzywiąc się, bo od wycia Arthura pękały mu bębenki. - Nie moglibyśmy porozmawiać o tym bez tego akompaniamentu?

Wyprowadzenie nieszczęsnego chłopca do ogrodu razem z jego kuzynką zajęło kilka minut, podobnie jak nalanie kawy oraz podanie jej przez wszechobecną Hetty. Wystarczyło to Leonowi, aby zrozumiał, że elegancją bije brata na głowę. Podniosło go to na duchu na tyle, że zainicjował dalszą rozmowę, uśmiechając się do Hetty.

- Cukier, ale bez mleka, dziękuję - powiedział z błyskiem rozbawienia w oku. - Słucham, Ross. Jakie rozwiązanie masz na myśli? Czy dotyczy ono tylko mnie, czy nas wszystkich?

Ross odchrząknął, ale Josephine go uprzedziła. To miał być jej wielki moment i nie zamierzała go nikomu odstępować.

- To był mój pomysł - oznajmiła, biorąc biszkopta. - Napisałam do lady Templeman w odpowiedzi na jej list. Uznałam, że jako synowa muszę zrobić wszystko, byle tylko oszczędzić jej zgryzoty. Biedna lady Templeman nie miała przecież żadnych możliwości, aby zaproponować kochanej Phoebe miejsce...

- Mam nadzieję - uciał stanowczo Leon. - Przecież kochana Pheeb nie mogła się doczekać, żeby stamtąd uciec.

- Leon - wtrąciła się Phoebe. - Pozwól Josephine kontynuować, dobrze, jeśli łaska? Ściągnął gniewnie brwi, pojawił jednak, o co jej chodzi.

- Dziękuję, Phoebe - powiedziała Josephine. - Jak już mówiłam, zaproponowałam lady Templeman, żeby Leon udostępnił ci swój dom przy Harley Street. W końcu to on jako jedyny powinien cierpieć teraz niewygody, a choć zdaję sobie sprawę...

- Co takiego zrobiłaś, Josephine? - rzuciła ostro Phoebe, przygważdżając szwagierkę do fotela morderczym spojrzeniem. - Nie przyszło ci do głowy, żeby to ze mną skonsultować? Tobie też nie, Ross?

Josephine zamrugła i odłożyła biszkopt na talerzyk.

- No cóż, miałyby się to z celem, moja droga. Nie miałaś przecież żadnych możliwości, aby...?

- Kiedy nie będę miała żadnych możliwości, żeby decydować o swoim życiu, będziesz mogła wynieść mnie w trumnie, Josephine. A co z Leonem? Czy jego nie wypadało zapytać, co o tym sądzi?

- W zaistniałej sytuacji nie musimy go o nic pytać - orzekł Ross.

- Skąd wiesz? - Leon spojrzał na młodszego brata tak trzeźwo, jakby od wieków nie brał do ust kropli alkoholu. - Najwyraźniej niespecjalnie zależało ci na tym aby się dowiedzieć, co pocznę. To Ransome zaproponował mi pomoc i to on mnie odnalazł.

- Przecież proponujemy ci pomoc - zaproponowała Josephine, spoglądając na męża w nadziei, że ją poprze.

- To samo dotyczy Phoebe. Pomyśleliśmy, że tak będzie najlepiej dla was obojga, skoro wszystko się zmieniło. Nie tak było, kochany mężu?

Zanim zdążył odpowiedzieć „Tak, kochanie”, Phoebe zabrała głos:

- Które z was zamierza mi zakomunikować, że złożyliście ofertę na Ferry House? Które z was dwojga bardziej się miota pomiędzy oportunistycznym, chciwością chęcią pomocy a jawną ingerencją?

- Pheeb - odezwał się cicho Leon. - Usiądź, kochanie. Pozwól Rossowi wyjaśnić. Przecież on robił już niejedno w szczytnym celu, prawda, bracie?

Spojrzenie Rossa przesunęło się z Leona na Phoebe i z powrotem, a potem spuścił wzrok i zaczął kręcić młynka palcami.

- Przyjechaliśmy, żeby i tobie o tym powiedzieć, Phoebe. Było to częścią naszego...

- Czego? Planu? Spisku?

- Wicehrabia Ransome zgodził się porozmawiać ze mną na ten temat jutro rano. Dlatego uznaliśmy, że powinnaś się dowiedzieć o tym dziś. Jest mi naprawdę przykro. Doskonale rozumiem, jak bardzo musisz być zawiedziona.

- Och, mną się nie przejmuj. Nie w tym momencie. Przecież biedna Josephine potrzebuje pokojów dla dziecka i drugiej niańki i większego ogrodu, i...

- Widziałaś list? - powiedział Ross.

- Ciekawa sprawa - mruknął Leon, zerkając w stronę Hetty.

- Ty też czytałeś mój list? - warknął Ross.

- Jeszcze nie. Mogę sobie jednak wyobrazić, kto wpadł na ten genialny pomysł. - Mówiąc to, Leon mrugnął znacząco do Josephine, która oblała się rumieńcem. Nie zdążyła się jednak odciąć, bo miał coś jeszcze do powiedzenia. - Może mówię to nieco przedwcześnie, moi drodzy, ale uważam, że powinniście poznać pewne fakty, zanim zaczniecie snuć nierealne plany co do kupna Ferry House. Phoebe nigdzie nie wyjeżdża. Ten dom nie jest na sprzedaż.

- Leon! - zawołała Phoebe. - Ani słowa więcej!

- Wybacz, kochanie, lecz nie pozwolę, aby młodszy brat myślał, że wypije całą śmietankę. Nadal jestem najstarszy i głowę mam nie od parady. Wiem, że nie chciałaś, aby Ross i Josephine dowiedzieli się, zanim Ransome sam im o tym powie...

- O czym znów? - warknął z rozdrażnieniem Ross.

- Och, przepraszam, wybiegłem myślą w przód... O tym, że jest kochankiem Phoebe.

Josephine czknęła z wrażenia, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Co? - zapiszczał Ross.

- Tak, sami chcą tu zamieszkać.

Phoebe siedziała z opuszczonymi powiekami, wpatrując się w filiżankę. Nie przyszło jej do głowy, że Leon tak szybko i trafnie oceni sytuację. Wcześniejsze oskarżenie nie było oskarżeniem, nie poczuł się też dotknięty, tylko w nagłym olśnieniu zrozumiał, że coś jest między nią a Ransome'em. Chciała sama zakomunikować im tę wiadomość, ale lepiej, że usłyszeli ją od Leona.

- Wolą was nie szokować - ciągnął Leon, z trudem powstrzymując się od śmiechu - bo zna waszą opinię na ten temat, ale zawsze ich do siebie ciągnęło, prawda? Nawet kiedy... och, mniejsza o to. Któregoś dnia to musiało się stać. Przypuszczam, że to właśnie zamierzał ci powiedzieć Ransome podczas jutrzejszego spotkania, Ross.

- Och! - Josephine chwyciła się za głowę. - Jesteś jego metresą? Jak mogłaś, Phoebe? Co za hańba!

- Czy to prawda, Phoebe?! - huknął Ross.

- Tak. Lord Ransome zamierzał cię o tym powiadomić.

Ross wstał i chwycił żonę za łokieć.

- Wobec tego, nic więcej nie dodam. Zrobiliśmy, co mogliśmy.

- Dla mamy to będzie poważny cios - odezwał się Leon. - Może napisałaś do niej jeszcze jeden list, Josephine, przekazując jej tę wiadomość? Poradź, żeby nie zmieniała swoich planów, dobrze?

Josephine spojrzała na Phoebe. Z jej wyblakłych, zaczerwienionych oczu biła nienawiść.

- Nie wiedziałam, że jesteś do tego stopnia zdesperowana, Phoebe. Nigdy bym nie przypuszczała, że posuniesz się tak daleko, wiedząc, co to za człowiek. Czy mówił ci o dzieciach, które trzyma w Greenwater?

- O dzieciach wiem, dziękuję ci, Josephine.

- I pozwolisz Claudette zadawać się z nimi? To przekracza ludzkie pojęcie. Mój drogi - zwróciła się do męża, opierając się ciężko na jego ramieniu - myślę, że powinniśmy natychmiast zawołać Arthura. Nie możemy pozwolić na to, by twoja reputacja... - Jej wyjście nie zrobiło takiego wrażenia, jak planowała, gdyż zawahała się przed użyciem słowa „bękart”. Pojawienie się wicehrabiego sprawiło jednak, że była rada, iż tego nie zrobiła.

Tymczasem Ransome zatrzymał się w progu i jednym spojrzeniem otaksował sytuację. Prześlizgnął się wzrokiem po zgromadzonych, by jego spojrzenie spoczęło pytająco na Phoebe. Kąciki ust drgnęły mu lekko.

- Oho, widzę, że się spóźniłem - powiedział. - Wieści już się rozeszły.

- Dzień dobry, milordzie. - Ross pierwszy się otrząsnął. - Właśnie wychodziliśmy z żoną. W tej sytuacji nie mamy po co się spotykać. Najwyraźniej pospieszyłem się z ofertą. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Ależ nic się nie stało, Hawkin. Uprzedziłeś bieg wydarzeń. Nie uważasz, że gratulacje byłyby teraz bardziej na miejscu? - Ransome podszedł do Phoebe, stanął za nią na tyle blisko, by nikt nie mógł wątpić o ich relacjach, i wsunął dłoń pod koronkę jej rękawka.

- Gratulacje?! - zdumiał się Ross. - Dlatego, że został pan... kochankiem... mojej siostry? - wyszeptał z dezaprobatą. Zerknął na żonę, lecz jej pochylona głowa nie dodała mu odwagi. - Czy to miał pan na myśli, milordzie? - Miłosne spojrzenie, jakie wymienili kochankowie, mocno go zirytowało, gdyż wolał widzieć świat albo czarny, albo biały.

Ransome tymczasem cieszył się w duchu, że udało mu się zaszokować Hawkinów.

- Ach, sytuacja jest, że tak powiem, płynna. Pani Donville i ja zawarliśmy porozumienie, które może przekształcić się w trwały układ. Na razie jesteśmy szczęśliwi i wszystko zostanie tak, jak jest, póki się nie zdecydujemy na następny krok, jakim będzie

ślub. Co, oczywiście, nastąpi, jak tylko skończę remont w Mortlake i znajdę odpowiedni personel.

- Mężu, zabierz mnie natychmiast do domu, bardzo proszę! - zapiszczała Josephine. - Arthur! Gdzie on jest? - Wytoczyła się z pokoju, pokrzykując żałośnie, a za nią Hetty.

Ross nie był aż tak bardzo przygnębiony jak jego żona.

- Phoebe - zwrócił się cieplej do siostry, gdy żona nie mogła go usłyszeć - czy tego chcesz?

- Może nie tego się spodziewałam, ale tak, chcę tego, Ross. Może zawsze tego chciałam, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Zrezygnowany, pokiwał głową i spojrzał na Leona.

- Zapewne wrócisz do domu i będziesz dalej żył tak jak do tej pory. Byłeś tylko następnym razem pamiętał, kto mieszka w twoim domu, bardzo cię o to proszę.

- Doceniam twoją troskę - odparł bez cienia skruchy Leon. - Trochę późno, ale wszyscy widzimy, skąd bierze się twoja motywacja. A teraz biegnij za żoną, a nam pozwól załatwiać swoje sprawy.

Ross odwrócił wzrok, dotknięty do żywego uwagami brata.

- Przepraszam za najście, Phoebe. To był głupi pomysł, prawda?

Podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu i cmoknęła go w policzek.

- Tak, kochanie, to był głupi pomysł. Przyślemy ci zaproszenie na ślub. Zawiadomię cię też o decyzjach Leona.

- Jesteście zdecydowani się pobrać?

- Jak najbardziej, mój drogi. Jak tylko przyzwyczaję się do tej myśli.

Ujawszy Rossa pod rękę, Phoebe wyszła z nim na zalane słońcem podwórze, gdzie Josephine pakowała swoje krnąbrne dziecko do powozu w takiej histerii, jakby ich ściagała sfora diabłów.

Rozdział siódmy

Leon rozkoszował się swoją przewagą w salonie, zauważył jednak, że po tej scysji Phoebe zrobiło się przykro. Ponieważ nie zwykł długo żywić urazy, zwłaszcza wobec brata, którego nie widział od dobrych paru lat, poszedł za siostrą i bratem na dwór, wyciągnął rękę i wziął Rossa w objęcia w przyjacielskim geście, który brat zdawał się odwzajemniać z radością.

- Trochę tu pobędę - zwrócił się do Rossa. - Wpadnę cię odwiedzić któregoś dnia, dobrze?

- Zawsze będziesz mile widziany. Co zamierzasz robić?

- Chyba będę malował. Jeszcze nie wiem. Powiem ci, jak będę wiedział na pewno. Nie przejmuj się Pheeb, nie popełni głupstwa.

- Dobrze, że chociaż jedna osoba spośród nas.

Leon nie poprosił brata o wyjaśnienie tej smętnej uwagi, ale gdy powóz, z którego wystawała tylko machająca dłoń Rossa zniknął z pola widzenia, wziął Claudette za rękę i wraz z guwernantką ruszyli przez ogród w kierunku rzeki. Kiedy Hetty chciała pójść w ich ślady, zatrzymał ją uścisk dłoni Phoebe, uzupełniony szybkim całusem.

- Dziękuję za pomoc, najdroższa. Chodź, zostań z nami na pogaduszkach, dopóki obiad nie będzie gotowy.

Częste wizyty wicehrabiego Ransome'a w Ferry House nie mogły być traktowane jako przypadkowe odwiedziny, jakby tego chciała panna Maskell. Wszyscy poza nią widzieli, że jest inaczej. Ransome zaproponował Phoebe, aby korzystając z tego, że domownicy zgromadzą się przy stole, przeprowadzić ogólną dyskusję, która sprawi, że Claudette poczuje się częścią ich planów.

Phoebe znowu była pod wrażeniem jego mądrości i tego, jak wnikliwie rozumiał potrzeby dziewczynki. Nic tak nie pochlebiało Claudette, jak bycie traktowaną na równi z dorosłymi. Wspólny posiłek zdawał się idealną scenerią dla szczerzej rozmowy o nieprzewidzianych i nietypowych układach między dorosłymi. Tego typu dyskusja przeraziłaby zarówno Josephine, jak i Rossa, ale wyjaśniała ona to, co Claudette powinna wiedzieć o możliwych zmianach w jej rodzinie, i sprawiała, że dziewczynka mogła po-

czuć, że dorosłym zależy na tym, by zrozumiała ich motywy. Niecodzienna obecność wujka Leona oraz wicehrabiego Ransome'a na wspólnym posiłku była dla niej dużym przeżyciem. Również Phoebe nie pozostała obojętna na ten fakt, zwłaszcza że obaj mężczyźni polubili się, i to pomimo nadzwyczajnych okoliczności.

Claudette, wyczulona na relacje między ludźmi, szczególnie ciepło odebrała szacunek, z jakim Leon odnosił się do panny Maskell, zresztą odwzajemniany przez Tabby. Wymowny uśmiezek małej, rzucony przez ramię, oznaczał, że poczuła się opiekunką swojej guwernantki.

Uznając, że sześć osób w jednym powozie to za dużo, mężczyźni postanowili pojechać konno na festyn zorganizowany w Ham House. Tymczasem panie, ślicznie przystrojone w pastelowe muśliny, zajęły miejsca w powozie, którym Ransome przywiózł rzeczy Leona.

Tym razem nie podjechali do posiadłości od strony północnej, gdyż na łące pomiędzy aleją a bramami rozstawiono ławki i stoły, wśród których kłębił się gwarny tłum, przywodzący na myśl rój pszczół. Pod drzewami kręcili się ubrani odświętnie dzierżawcy hrabiego. Starsi mężczyźni nosili peruki i kamizelki. Kobiety w najlepszych niedzielnych strojach, czy to w czepkach, czy bez nakrycia głowy, trzymały pod rękę mężów albo prowadziły potomstwo. Mężczyźni mieli ręce zajęte czarkami ponczu lub odkorkowywaniem kolejnej beczki z piwem. Wokoło przemykały psy, łaszac się i prosząc o resztki ze stołów. Puste dzbanki i pojemniki pod stołami stanowiły wyraźną wskazówkę dla nowo przybyłych, że impreza trwała od jakiegoś czasu.

Ubrany w czerwony mundur majora regimentu hrabia Dysart oraz hrabina w sukni bogato przyozdobionej; piórami zdecydowanie wyróżniali się z tłumu. Niespiesznie przechodzili od stołu do stołu, zatrzymując się przy każdym na krótką pogawędkę i toast, któremu za każdym razem towarzyszyły brawa. Nie było wątpliwości, że cieszą się wśród dzierżawców szczerą sympatią i szacunkiem. Dostrzegłszy Ransome'a i jego grupkę, hrabiostwo ruszyli im na spotkanie. Szacowni gospodarze nie szczędzili uśmiechów i uprzejmych słów żadnemu z gości. Choć spodziewano się, że najbardziej oczekiwanym gościem hrabiego będzie Leon, to szczególne względy spotkały małą Claudette. To właśnie ją hrabia Dysart wziął za rękę, podkreślając ich nieosiągalną dla nikogo ze

zgrupowanych relację. Widok ich obojga, idących razem, sprawił, że Phoebe ścisnęło się serce.

Nikogo z nich nie zmuszano do uczestnictwa w wesołym festynie Dysarta, do picia ponczu, śpiewania biesiadnych przyśpiewek, śmiania się z wesołych przypowiastek, przekomarzania się, zabawy w zamianę nakryć głowy. Był tam jeszcze jeden gość, który umknął ich uwagi, gdy wjeżdżali na festyn. Hrabia wraz z Claudette wyszli mu naprzeciw, by po kilku chwilach powrócić w towarzystwie łysiejącego mężczyzny w średnim wieku, niosącego skórzaną torbę i szkicownik. Podekscytowana Claudette trzymała go za rękę. Nigdy nie czuła się tak ważna jak właśnie teraz, gdy mogła powiedzieć rodzinie, że ów dżentelmen to pan Thomas Rowlandson, który miał wystawę w Akademii Królewskiej.

W przeciwieństwie do eleganckiego Thomasa Lawrence'a, portrecisty cieszącego się uznaniem modnych sfer, Rowlandson nosił podniszczony roboczy strój, chcąc pozostać niezauważony podczas szkicowania scen z życia codziennego. Dzisiaj także oddawał się temu zajęciu i bez zbytniego skrupowania usiadł pośród przybyszów, aby pokazać im rysunki z festynu i wytłumaczyć, jakie efekty uzyska po nałożeniu kolorów akwarelą.

- Miło pana poznać, panie Hawkin - zwrócił się do Leona, przekazując szkicownik Claudette. - Hrabia wspominał mi o panu jako o nowym odkryciu. Teraz chciałbym po przyjacielsku powiedzieć panu coś na ucho. - Z błyskiem w oku pochylił się w kierunku Leona. Zniżył głos, ale na tyle, by wszyscy mogli go usłyszeć. - Kiedy hrabia Dysart odkryje jakiś talent, to jego dzieła lądują na każdej ścianie jego posiadłości, nawet w łazienkach hrabiny. Proszę mi wierzyć, tu jest o wiele lepiej niż w Akademii Królewskiej.

Uśmiech Rowlandsona obnażał pewne braki w uzębieniu, a palce u dłoni krępe i grube, umazane były tuszem i farbą. Talent do wychwytywania najsubtelniejszych scen z życia stał w sprzeczności z jego aparycją abnegata. Nieskrywana szczerłość i błyskotliwość zjednywały mu tylu przyjaciół, co wrogów. Rowlandson i wicehrabia Ransome znali się dobrze, dzieląc podobne cechy charakteru, toteż gdy hrabia Dysart ruszył ponownie na obchód festynowych stolików, obaj panowie w towarzystwie Leona udali się w swoją stronę, dyskutując o zawiłych meandrach życia artysty.

Hrabina widząc, że grupa zaczyna się rozpadać, a dzierżawcy oddalają się w kierunku rzeki, zaproponowała krótki odpoczynek w cieniu.

- Nazywamy to krużgankami - wyjaśniła, prowadząc Phoebe przez boczne drzwi do pomieszczenia bez ścian, opartego tylko na kamiennych filarach, z rzędem kamiennych ław. Sufit dekorowały freski z widokami ogrodu.

Claudette, Hetty i Tabby usiadły po drugiej stronie, by wspólnie się zachwycać rysunkami Rowlandsona.

Nieuchronnie pogawędka z gospodynią przerodziła się w wymianę wrażeń z wczorajszego koncertu i spotkania z Francuzami, zachwyconymi możliwością osobistego poznania osoby wywodzącej się od postaci z portretu wiszącego w galerii. Hrabina była wdzięcznym słuchaczem, więc Phoebe dyskretnie zmieniła temat, skupiając się na swoim bracie i życzliwości, jaką lord Ransome okazywał mu ostatnio.

- Czy mogę zapytać, milady - zagała - jak pani i pan hrabia poznali lorda Ransome'a? Czy było to w Londynie? Ciężko mi pogodzić państwa wytworny styl życia z jego światem.

Hrabina wydała się rozbawiona tym pytaniem.

- Och, zapewne myślisz o jego reputacji jako człowieka używającego życia? Moja droga, musisz wiedzieć, że większość mężczyzn lubi zachować coś w ukryciu. Na przykład twój brat Ross prawie nic nie wie o talencie malarskim Leona, a mój szacowny i wrażliwy małżonek skrzętnie ukrywał przed większością towarzyszy broni upodobanie do ogrodnictwa. Twój mąż też musiał być taki. Inaczej byś się nim nie zainteresowała, prawda?

- Pani wie o nim?

Wątpliwość spoczęła na splecionych dłoniach Phoebe. Twarz hrabiny wyrażała szczerą troskę.

- Oczywiście, moja droga. Dwoistość, jaką kultywują mężczyźni, nie byłaby ani w połowie tak skuteczna ani ekscytująca, gdyby wszyscy o niej wiedzieli. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi działalność charytatywna, czyniona bezinteresownie, z dala od rozgłosu. Zgodzisz się ze mną?

- Tak, to prawda. Czy milady chce mi powiedzieć, że lord Ransome prowadzi podwójne życie? Sądziłam, że jego życie było i tak dość niebezpieczne, by szukać jeszcze dodatkowych wrażeń.

- Nie nazwałabym tego dokładnie „podwójnym życiem”. Mężczyźni tacy jak Buck wierzą, że kobietom bardziej podoba się mroczna strona niż ich dobre uczynki. Ta sfera to tylko lukier na torcie.

- Dobre uczynki? Lord Ransome? Czy to oznacza, że pomagał hrabiemu?

- Skądże. Poznaliśmy się przez londyńskie sierocińce. Buck został wybrany na zarządcę przytułku, a potem na członka komitetu parafialnego w Mortlake. Odkryliśmy, że pracujemy dla wspólnego celu, czyli niesienia pomocy sierotom i bezdomnym dzieciom. Buck na tym nie poprzestał. Zabiera wałęsające się dzieci z ulic i daje im schronienie na własny koszt. Wiem, że ma dom dla około dwudziestu chłopców na obrzeżach północnego Londynu, a ostatnio kupił i rozbudowuje posiadłość w Mortlake. Nie widziałaś jej jeszcze?

- Hm... Tak... widziałam. Powiedział mi tylko, że pokaże mi wszystkie pomieszczenia, jak będą gotowe. Nie wiedziałam, że mają służyć sierotom.

- Nadwyżka z Londynu, moja droga - odparła beztrosko hrabina. - Od czasu do czasu przywozi tutaj paru chłopców, by mogli powspinać się na drzewa albo pobawić się nad rzeką. To wspaniała odskocznia od warunków, w jakich się wychowują, slumsów, brudu, głodu, pracy przy czyszczeniu kominów i kradzieżach. Wszystkie pieniądze, które wygrywa w londyńskich klubach przeznacza na znalezienie dachu nad głową dla tych malców. Oczywiście, nikomu o tym nie mówi. Wydaje mi się, że pragnie otworzyć także dom dla dziewczynek, jak tylko znajdzie odpowiednich zarządców. To nadzwyczajny człowiek. Nie doczekaliśmy się syna, ale gdybyśmy go mieli, chcielibyśmy, aby był taki jak on.

Dwaj mali chłopcy to nie jego synowie, ale piszczące z radości sieroty, cieszące się wolnością, rzeką i ogrodem, pomyślała Phoebe. Te silne ramiona obejmujące ich pewnie i obracające jak na karuzeli. Śmiech. Uwagi Bucka o ludziach śpiących, gdzie popadnie, i o tym, że na świecie jest za dużo bękartów. Zapewnienia, że nigdy jej nie okłamie. Jego pełna akceptacja dla nieszczęsnej kobiety bez referencji, którą zatrudniła. Bezinteresow-

na pomoc dla Leona, bo nie mógł patrzeć, jak taki mężczyzna pogrąża się w depresji. Robił to nie tylko ze względu na nią, ale też dlatego, że nie chciał zniszczyć człowieka.

- Wszystko dobrze, moja droga? Czy to cię zaszokowało?

- Prawdopodobnie powiedziałby mi o tym, ale umniejszając swoje zasługi. Zastanawiam się, czemu nie wykorzystał tego, żeby mnie zdobyć. Aby pokazać mi się jako dobroczyńca, a nie tylko lekkomyślny hazardzista, który za nic ma wszystko i wszystkich? Większość kobiet raczej wiedziałaby... - Phoebe umilkła, czując, że hrabina odpowie, zanim ona dokończy.

- Nie jesteś taka jak większość kobiet, prawda? Jesteś jedną z Hawkinów, a z tego, co wiem o kobietach z tego rodu, pociągali je trudni mężczyźni. Czy po tym, co przeżyłaś, zainteresowałyby cię słodkie słówka, ckliwe piosenki i opowiadki o dobroczynności?

Kobiety wybuchnęły szczerym śmiechem. Wkrótce dołączyły do nich Claudette, Hetty i Tabby, prosząc o możliwość obejrzenia portretu Hawkynne'ów. Hrabina chętnie wykorzystała sposobność, by pokazać kobietom wnętrza rezydencji.

Zwiedzające były pod wrażeniem majestatycznych nazw, którymi ochrzczono poszczególne pomieszczenia: Sypialni Królowej, Przebieralni Księcia, antyszambrow i gabinetów. Claudette najbardziej zafrapowały drzwi w większych pomieszczeniach, które można było dostrzec jedynie dzięki dyskretnym nacięciom na tapecie. To tymi drzwiami cicho wchodziła i wychodziła służba po skończonej pracy. Dziewczynka wyobraziła sobie, że w ten sposób mogły przemieszczać się duchy. Bała się jednak o tym powiedzieć, sądząc, że takie fantazje nie spodobałyby się mamie. Szkoda, pomyślała Claudette, że dorośli są tak bardzo zajęci swoimi sprawami.

Myśli Phoebe tylko w połowie zajęte były pięknie udekorowanymi salami. Druga połowa obracała się wokół niezwyklej informacji o planowanym przez Ransome'a wykorzystaniu pokojów w Mortlake. Bardziej niż cokolwiek innego wiadomość ta uświadomiła jej, jak szybko przerzuciła na niego całą złość, będącą naturalną reakcją na uporczywe nalegania matki, żeby ponownie wyszła za mąż. Potem nie zadała sobie trudu, by sprawdzić, jaki on jest naprawdę, co się kryje za wizerunkiem na użytek publiczny. Zresztą nie przyszło jej do głowy, że mogło być coś więcej ponad to, co widzieli ludzie.

Problem nie leżał w tym, że miał kochanki. Mężczyźni utrzymywali metresy, zwłaszcza gdy żenili się dla majątku i potomstwa, a nie z miłości. Jednak niewiele kobiet zaakceptowałoby mężczyznę, który prosi kobietę o rękę, a równocześnie urządza w pobliżu lokum dla kochanki. Dopiero teraz zrozumiała, jak szkodliwa okazała się „pomoc” Josephine, której za szybko i zbyt łatwo uwierzyła.

Ale i Ransome nie zrobił niczego, by zadać kłam obrazowi, jaki sobie o nim wytworzyła. Zwłaszcza podczas pierwszej wizyty, kiedy zachowywał się bardzo niehonorowo, jakby był przekonany, że może ją zmusić, aby zweryfikowała swoje nastawienie. Teraz, bez względu na to, czy miał kochankę czy nie, pozwoliła mu wrócić do swojego życia. Może nie dlatego, że zajął się Leonem, ale z powodu atrakcyjności tej jego mrocznej strony - tak jak mówiła hrabina. Tej strony, która zaspokajała wszystkie jej fizyczne pragnienia i potrzeby. Pragnąc go bardziej niż cegokolwiek, zgodziła się zostać jego żoną, przyjmując jednak rolę kochanki, by dokuczyć rodzinie, która wcześniej sprawiła jej tyle przykrości. Trudno to nazwać postawą racjonalnej kobiety, lecz rozum nie grał prawie żadnej roli w jej stosunku do tego wspaniałego mężczyzny. Zadała sobie pytanie, czy byłaby gotowa zaakceptować go wcześniej, gdyby tylko знаła prawdę o jego planach co do domu w Mortlake. Nasunęła jej się refleksja, że hrabina była nieprzeciętnie spostrzegawczą kobietą.

- A to jest tak zwana Atlasowa Sypialnia - oznajmiła hrabina, wyprowadzając kobiety z komnat królowej - gdzie księżna Lauderdale zwykła trzymać ptaki w klatkach wokół okna. Rozpościera się za nimi zachwycający widok na rzekę.

Okreśną drogą dotarły wreszcie do galerii.

- Pierwotnie była to sala jadalna, dopóki nie przebito sufitu. Teraz jest o wiele lepiej. A oto sir Leo i lady Phoebe. Wasi przodkowie, panno Claudette. Czyż ta dama nie jest podobna do twojej mamy?

Phoebe znowu poczuła tę uderzającą więź, która ją zaskoczyła, a i teraz nic nie straciła ze swojej niesamowitej aury. Hrabina słusznie mówiła o pociągu do trudnych mężczyzn, więc może i ta para miała swoje wzloty i upadki?

Oprócz skomentowania pięknych strojów, ślicznego wisiora z perłami i księżycem, dzieci oraz psa Phoebe nie miała zbyt wiele do powiedzenia. Gdy grupa zwiedzających

skreśliła za róg, idąc ku klatce schodowej, została z tyłu, jakby chciała pobyc przez chwilę sam na sam ze swoją imienniczką

Lady Phoebe spoglądała wprost z obrazu, podobnie jak jej mąż.

Phoebe czekała. Głosy ze schodów odpłynęły jakby do innego świata.

Nagle spostrzegła, że usta na portrecie poruszyły się ledwie dostrzegalnie.

To niemożliwe, nie było żadnego dźwięku. To tylko jej wyobraźnia.

Jednak jakiś głos kazał jej patrzeć. Patrzeć... gdzie?

Bezwiednie, nie pytając dlaczego, podeszła do poręczy i spojrzała w dół, by ujrzeć półprzezroczyste sylwetki przesuwające się po holu, tam i z powrotem, łącząc się i rozdzielając. Potem dostrzegła mglisty błysk stali, trupio sine migotanie długich rapierów i białą koszulę sylwetki oświetlanej przez światło z północnych okien. Postać tę można było przejrzeć na wskroś, jak dymny kryształ.

Phoebe potrząsnęła głową, by odgonić zjawy i wyjść z tych zaklętych tunelów ciszy, które przykuwały jej uwagę. Jednak to było jak sen, który angażuje wszystkie zmysły. Żaden dźwięk nie dochodził do jej uszu, żadnego tupotu, żadnych zgrzytów ostrzy czy okrzyków ze strony postaci tłoczących się po kątach i zasłaniających ręką usta. Była tam duża, tęga kobieta w towarzystwie dwóch młodych panienek stojących za bilardowym stołem. Phoebe nie była w stanie dostrzec ich twarzy, tak były przezroczyste.

Stół bilardowy?

Był też mężczyzna w długiej peruce. Postawny, zdecydowany - z innej epoki, jak oni wszyscy.

Phoebe skupiła się na pojedynku. Drobniejszy z walczących był ubrany w kamiczkę narzuconą na koszulę obcisłe krótkie spodnie i białe pończochy. Był bosy. Miał czarne kręcone włosy jak... Ona miała takie włosy! To była kobieta. Phoebe Hawkynne pojedynkująca się z... tak, to był jej mąż, barczysta postać z portretu. Czy chciał ją zabić? Czy w owych czasach kobiety były dopuszczane do pojedynków? Czy to właśnie ogląda teraz na własne oczy? W obecnych czasach?

Rozglądając się ukradkiem wokoło, by się upewnić, że nikt jej nie obserwuje, i odcinając się od otaczającej ją rzeczywistości, Phoebe wychyliła się jeszcze bardziej. Chciała się przyjrzeć scenie rozgrywającej się tuż pod nią w zupełnej ciszy. Wiedziała

jednak, że powinna coś słyszeć, brzęk, zgrzyt metalu, chrapliwy oddech radzącej sobie coraz gorzej kobiety. Niemal czuła jej rozpacz.

Powietrze przeszył złoty guzik z jej kamizelki, odcięty rapierem przez atakującego mężczyznę. Kobieta uniosła ręce w złości. Potężny mężczyzna zamachał i wydał jakiś rozkaz. Kobieta podjęła walkę, atakując z furją ramię oponenta i rozcinając mu rękaw koszuli. Zawołał coś w kierunku ludzi stojących przy kominku. Coś, co wyprowadziło jego przeciwniczkę z równowagi. W pewnej chwili zdjęła kamizelkę i rzuciła ją w róg pomieszczenia, nie patrząc, gdzie upadnie. Patrzyła za to Phoebe. Z galerii. Widziała, jak wyższa z dziewcząt stojących z matroną podnosi guzik i przyciska go do piersi. Jaka ta pojedynkująca się Phoebe była smukła i zgrabna! Niewielu mężczyzn byłoby zdolnych skupić się na walce, mając przed sobą taką cudowną baletnicę.

Pojedynek rozgorzał na nowo. Phoebe widziała jednak, że jej imienniczka wyraźnie słabnie. Na jej twarzy malowały się ból i zmęczenie, a ręka nie była w stanie odpierać ataków sir Leo. Mógłby przeszyć ją rapierem w każdej chwili, gdyby tylko chciał, pomyślała Phoebe Donville.

Najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Zamiast zakończyć starcie czy rozbroić przeciwniczkę, nie przestawał atakować, aż wreszcie Phoebe nie była w stanie podnieść rapiera z podłogi. Wtedy, przyciskając ją do krawędzi stołu bilardowego, przyłożył jej ostrze do gardła wykrzykując coś, co nikło w otaczającej ciszy. Jej wyzywająca odpowiedź, szybki, ciężki oddech wydobywający się z wykrzywionych z wysiłku ust, też nie były słyszalne. Hol w dole wypełniały tylko cisza i napięcie.

Przerażona i zarazem urzeczona Phoebe Donville widziała wszystko to, co nastąpiło potem: długi, upokarzający pocałunek triumfatora i zafascynowane, pełne uwielbienia spojrzenie dziewczyny, która zatrzymała guzik. Pozostałe mgliste figury zakołysały się z ulgą choć w ich rozmowach dało się zauważyć zaniepokojenie zachowaniem sir Leo, który uniósł na wpół omdlałą kobietę i znikł z nią na schodach.

Phoebe wnoszona na górę, tam gdzie ona, Phoebe Donville, stoi. Pod słuchując i dając się ponieść wyobraźni.

Tyle że nie byłaby w stanie sobie tego wyobrazić. Nigdy.

Z oddali zaczęły napływać dźwięki, niczym sygnał pobudki. Dochodziły ze schodów, były coraz bliżej.

Kiedy odwróciła się, by spojrzeć, droga jej, znajoma postać nie niosła nikogo w ramionach ani nie była ubrana w białą koszulę z rozciętym rękawem, ale w błękitny frak, zamszowe bryczesy i buty jeździeckie. Ransome zmierzał pewnie w jej kierunku. Jego buty stuknęły o podłogę, a ciało było realne, najukochańsze.

Czując, jak drżą jej nogi, uczepliła się kurczowo balustrady. Chciała odpowiedzieć na pozdrowienie, ale była w stanie tylko szeptać.

- Spójrz! - Skinęła głową w stronę holu na dole.

Wiedziała jednak, że ich tam nie ma. Drobną figurką, która do niej machała, to była Claudette. Hetty także tam była i rozmawiała z hrabiną. Leon i Tabby Maskell podziwiali jakiś portret. Stół bilardowy znikł, meble zmieniły w bardziej solidne i autentyczne.

- Tak - powiedział Ransome - Wszyscy tam są. Czekają na ciebie. Czemu... Co się stało, kochanie? Jesteś blada jak ściana. Czy to od upału?

Oderwał jej ręce od balustrady i wziął ją w ramiona, po czym odwrócił w stronę portretu, na który mogła teraz spojrzeć świeżym okiem.

Lady Hawkynne spoglądała z niego jak wcześniej, chociaż Phoebe do tej pory nie zauważyła uśmiechu, igrającego na jej ustach. Nie zauważyła jeszcze czegoś: na brzegu obrazu ze stolika zwisało białe płótno, na którym leżała szpulka białych nici oraz bogato zdobiona poduszczyca na igły. Wyraźnie można było zauważyć rękaw z naszytą nań łąką. Dla Phoebe po tym, co widziała, przekaz był oczywisty, choć symbolika mogła utracić sens, odkąd portret został namalowany.

- Nic - odparła z westchnieniem, przykładając policzek do śnieżnobiałego fularu. - To nic, najdroższy, moje serce... Och, przytul mnie. Nie pozwól mi odejść, Buck. Pozwól mi zostać z tobą na zawsze.

Ransome rozluźnił nieco uścisk, by spojrzeć Phoebe W oczy.

- Co to wszystko ma znaczyć, moja słodka? Oczywiście, że nie pozwolę ci odejść. Już ci to mówiłem. Jesteś moja. Zdobyłem cię. Z zastrzeżeniami czy bez.

- Bez ani jednego zastrzeżenia. Kocham cię, Bucku Ransome. Pragnę zostać twoją żoną z wielu najrozmaitszych powodów, najdroższy.

Buck nigdy nie marnował słów, gdy wystarczyły pocałunki. Jednak ta deklaracja zastanowiła go i kazała mu uważnie zajrzeć w głąb ciemnych oczu Phoebe.

- Czekalem, żeby to usłyszeć. Kochałem i pragnąłem ciebie, i już myślałem, że straciłem cię na zawsze a teraz mam wszystko. Cudownie piękna Phoebe Hawkin mówi, że mnie kocha. Czy ja śnię?

- Nie, mój luby. To ci się nie śni. To czas, byśmy naprawili wszystko między nami. Zróbmy to, zanim będzie za późno. Nie potrzebuję twojego domu, tylko ciebie. Tylko ciebie!

- Zawsze mnie miałaś - zapewnił, zbliżając usta do jej warg - Nosilem cię w sercu, odkąd ukończyłaś szesnaście lat. Czy teraz rozumiesz, dlaczego wykorzystałem tak bezwstydnie twoją sytuację? Czy mi wybaczysz?

Phoebe uśmiechnęła się do niego czarująco, z pełnym zrozumieniem.

- Serce moje, nie jesteś pierwszym, który wykorzystuje kobiecą słabość, i nie wierzę, żebyś był ostatnim. To wszystko w imię miłości, prawda?

Nie mogła dostrzec łagodnego spojrzenia lady Hawkynne za swoimi plecami, bo sama wolała zamknąć oczy, by silniej zaznać rozkoszy pocałunków i omdlewać w mocnych ramionach. A jednak, chociaż nic nie było tak konkretne jak więź przebiegająca pomiędzy obiema Phoebe, myśl przekazywana z pokolenia na pokolenie, że mężczyźni mają swoje sposoby radzenia sobie z miłością, a kobiety mają inne, dotarła wreszcie do pani Donville. Jednak to od kobiety zależało, czy pozwoli mężczyźnie uważać się za zwycięzcę, to ona musiała naprawić straty poniesione w trakcie zmagania, jakiegokolwiek by one były. Przyszło jej do głowy, że wiele cech dziedziczy się po swoich przodkach.

Rozdział ósmy

Phoebe wolałaby od razu wrócić do Ferry House. Mając wiele tematów do rozmyślań i tyle nowych odkryć, uznała, że to nadmiar wrażeń jak na jeden dzień. Głównym powodem ich przyjazdu do Ham House była jednak chęć skontaktowania Leona z hrabią Dysartem, tak więc, wciąż głęboko poruszona tym, czego była świadkiem, o ile można to tak nazwać, Phoebe została po odjeździe dzierżawców.

Nad filiżanką herbaty i kawałkiem tortu biszkoptowego rozmawiali o tym, czego hrabia oczekuje od malarza. Przedstawił to w taki sposób, jakby Leon wyświadczał mu przysługę, a nie odwrotnie. Podkreślił, że jego zamówienie jest tym ważniejsze, że nie spodziewał się odziedziczyć Ham House, a sam nie ma potomka, któremu mógłby przekazać posiadłość w spadku. Gdyby Leona to interesowało, kontynuował hrabia, mógłby otrzymać stałe zajęcie w zamian za domek w wiosce Ham, hojne wynagrodzenie i dodatkową kwotę na materiały malarskie. Mógłby jadać w Ham House, kiedy tylko będzie miał ochotę, a hrabina znalazłaby mu gospodynię, która zadba o jego potrzeby.

Jeszcze kilka dni wcześniej Leon płakałby, słysząc tak hojną propozycję, teraz uścisnął rękę hrabiego i oczy zaszyły mu mgłą. Zaraz jednak roześmiał się, bo wszyscy zaczęli klaskać, a Claudette uściskała nie tylko wujka, ale również przyszywanego dziadka, zaś po głośnych skargach wicehrabiego Ransome'a i pana Rowlandsona ich także musiała uściskać. Potem przeszła z wujkiem na galerię, żeby obejrzał portret Hawkynne'ów i zobaczył, jak bardzo lady Phoebe była podobna do jego siostry.

Uzgodniono, że Leon zacznie pracować nad zamówieniem, jak tylko uporządkuje sprawy w Londynie. Za to już następnego ranka mógłby obejrzeć domek i sporządzić listę potrzebnych malarskich akcesoriów. Choć mało mówiono o szczęśliwej odmianie jego losu, jasne było, że on i Phoebe znaleźli w hrabim Dysarcie światłego i dobrego ojca, którego im brakowało. Czy hrabia zdawał sobie sprawę z tego, że jego zlecenie było właśnie tym, czego Leon potrzebował, aby nie wpaść ponownie w złe towarzystwo? Tego im nie wyjawiał, jednak jako doświadczony dowódca znał naturę młodych mężczyzn na tyle, by skierować Leona na właściwą drogę.

Phoebe postanowiła zachować dla siebie przeżycia związane z niesamowitą wizją. Bliscy znali jej sceptyczne nastawienie do zjawisk nadnaturalnych, opisywanych we współczesnych powieściach grozy, wątpiła więc, by udało jej się przekonać ich, że naprawdę widziała to, co widziała. Jej samej równie łatwo było w to uwierzyć, jak wątpić, i nawet teraz nie potrafiła zdecydować, czy sobie tego nie wyobraziła. Dokąd sir Leo zaniósł później Phoebe? Do którego pokoju? I co potem? Chciałaby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło.

Zanim dojechali do Richmond, dało o sobie znać zmęczenie po tak bogatym we wrażenia dniu. Phoebe nie przywykła próżnować, ledwie jednak zdążyła się przebrać w starą muślinową sukienkę, a już Ransome czekał, aby ją zaprowadzić na trawnik z widokiem na rzekę, gdzie ustawiono stół nakryty do kolacji. Przyniesiono jej wyściełaną leżankę, aby mogła się wyciągnąć, jedzenie, wystudzony cydr, dostała także poduszkę pod głowę i osłonę od chylącego się ku zachodowi słońca, po czym zaczęły się rozmowy o wydarzeniach tego dnia.

To jednak Hetty kazała wszystkim spojrzeć w przyszłość.

- Pan Leon będzie potrzebował gospodyni - zaczęła.

- Przyznam, że ta posada bardzo by mi odpowiadała. Znam jego zwyczaje lepiej niż inni i...

- Ależ, kochana Hetty, nie możesz tego zrobić! - wykrzyknęła Phoebe. - Przecież tu jest twoje miejsce.

- To tylko zmiana w rodzinie, prawda? Phoebe, nie będzie ci już potrzebna przyzwoitka. Poza tym hrabina chciałaby, abym pomogła przy renowacjach. Dla niej to za ciężka praca, a nie może się zdać tylko na swoich pracowników. Gdybym była w Ham, mogłabym jej pomóc. Bardzo bym chciała - dodała błagalnym tonem.

- Mnie też podoba się ten pomysł - oznajmił Leon. - Domek, o którym mówił hrabia Dysart, to w rzeczywistości sześciopokojowy dom z czasów królowej Anny, na tyle duży, by pomieścić rodzinę.

- W takim razie zacznij myśleć o założeniu rodziny - zasugerował Ransome.

- Zamierzam - odparł Leon, kierując wzrok ku pannie Maskell - jak tylko uporządkuję swoje sprawy.

Claudette buzia się wydłużyła.

- Jeżeli wujek zabierze mi Tabby, to co zrobię bez guwernantki?

Panna Maskell położyła jej rękę na kolanie i powiedziała:

- Nikt mnie stąd nie zabierze jeszcze przez jakiś czas, więc nie martw się na zapas.

- Och, nie zamierzasz dać mu buziaka?

- Claudette!

Filizanki szczęknęły o podstawki, a dyskretne pochrząkiwania przerodziły się w śmiech.

- Tak to jest, kiedy ktoś bawi się z wiejskimi dzieciakami - stwierdziła Phoebe. - To także skutek uczestniczenia w rozmowach dorosłych. Podejrzewam, że te rzeczy czasami ci się mylą.

- Przepraszam - powiedziała Claudette. - Nie chciałam nikogo obrazić.

- Skoro mam zyskać piękną pasierbicę, której przyda się trochę kindersztuby, biorę to na siebie. Proszę się jutro do mnie zgłosić, *mademoiselle* Donville, i poprosić pannę Maskell, aby zechciała ci towarzyszyć.

Claudette rozpromieniła się i oczy jej się zaświeciły.

- Naprawdę będzie pan to robił?

- Od czegoś muszę zacząć, prawda? - odparł z poważną miną, ale zdradził go rozbawiony wzrok.

- Nauczy mnie pan także powozić faetonem i kariolką?

- Nie, młoda damo. Z całą pewnością nie. Panno Maskell, powinna pani otrzymać tytuł szlachecki za krzewienie wiedzy ponad wymagany program.

- Dziękuję, milordzie - odrzekła z powagą.

- Pan żartuje! - zawołała Claudette.

- Wręcz przeciwnie, mówię poważnie. Postaram się nauczyć cię jeździć konno.

- Och, dziękuję, lecz nie mam konia.

- To trzeba będzie najpierw rozwiązać ten problem - orzekł Ransome.

Para kochanków długo jeszcze śmiała się z zapału małej Claudette. Nawet wtedy, gdy leżeli objęci w łóżku Phoebe, korzystając z lekkiego wiatorku, od którego kotary wzdymały się niczym żagle. Kochali się po długim dniu, kiedy pragnęli powiedzieć sobie

więcej niż dotąd o namiętym uczuciu, o miłości, którą Phoebe odkryła by ją uśpić i kazać jej czekać cierpliwie aż do lata. Ransome okazał się mniej cierpliwy.

- Przecież mnie nie szukałeś, Buck - wyszeptała. - Nawet nie wiedziałeś, że tu jestem.

- Próbowałem o tobie zapomnieć, najdroższa. Byłaś przecież zdecydowanie przeciwna powtórnemu zamążpójściu. Gdybyś nawet nie była i tak nie brałabyś mnie pod uwagę, prawda? Nie mogłem jednak o tobie zapomnieć i nie udało mi się znaleźć kobiety, której pragnąłbym choć w połowie tak jak ciebie. Pozostało mi obserwować, co zamierza twój brat, i znaleźć się tam we właściwym czasie. Wiedziałem, że miał dom gdzieś w okolicach Surrey, ale reszta to był czysty przypadek. Gdyby wtedy wygrał, zamiast przegrać znalezienie ciebie zajęłoby mi więcej czasu, to wszystko.

- Nie mogłeś zapytać mamy albo chłopaków Templemana?

- Żeby znowu zaczęła się wtrącać? Wykluczone, moja miła. A ci durnie, Templemanowie, rozpowiedzieliby zaraz po całym mieście, że po tylu latach ciągle pragnę siostry Hawkina.

- A było tak, milordzie?

- Było, pani Donville - wyznał, gładząc jej ramię. - Mam zwyczaj uważać, komu się zwierzam. A ponieważ tak cię korci, żeby zobaczyć, co szykuję w Mortlake, zabiorę cię tam jutro.

- Aż tak bardzo się nie palę, żeby poznać twoje zamiary - zaprotestowała. - Skoro postanowiłeś mieć drugi dom w pobliżu moich braterstwa, to twoja sprawa.

- Pękasz z ciekawości, nie zaprzeczaj.

Phoebe zaczęła się wiercić, Ransome zsunął dłoń na jej biodro.

- No, dobrze, może jestem trochę ciekawa - przyznała. - Śmiem twierdzić, że wielu mężczyzn potrzebuje dwóch domów blisko siebie. Dopóki masz tylko jedną kochankę, która jest dla ciebie jak żona, dopóty nie powinnam zaprzętać sobie tym głowy.

- Zatem w tej waszej małej wycieczce powozikiem do Mortlake chodziło nie tylko o to, żeby się przejechać na świeżym powietrzu? - Złapał ją, kiedy próbowała się odsunąć, i zagarnął pod siebie. - Tylko trochę ciekawa, tak?

- Nie! - odparowała. - Byłam zazdrosna i rozpaczliwie pragnęłam się dowiedzieć, kogo tam trzymasz. A poza wszystkim, skąd o tym wiesz?

- Od robotników - odparł z uśmiechem. - Widzieli, jak zawracałaś. Twoje umiejętności nie zrobiły na nich zbyt wielkiego wrażenia, moja słodka.

- Próbowałam powstrzymać się od płaczu. Hrabina opowiedziała mi dziś o sierotach. Sama bym na to nie wpadła.

- Och... nimfo. Chodź do mnie. Powinienem był cię poinformować.

Nie zapytała go, dlaczego tego nie zrobił, gdyż poznała już przyczynę jego dyskrecji, którą mało kto wiązałby z brutalnie szczerym, niefrasobliwym Buckiem Ransome'em.

- Masz coś przeciwko moim sierotom? - zapytał

- Myślę, że robisz coś wspaniałego, mój kochany. Będziemy mieli jeden dom dla nich, a drugi dla naszych dzieci. Znam parę dobrych kobiet, które chciałyby tam pracować.

- Podoba mi się, kiedy mówisz o naszej rodzinie, moja śliczna Phoebe. Powinniśmy rozwiązać ten problem natychmiast, podobnie jak sprawę konia dla twojej córki. Co ty na to?

- Uhm - mruknęła, wtulając się w niego. - Wszystko we właściwej kolejności, milordzie.

Druga wizyta Phoebe w Greenwater, tym razem w towarzystwie Hetty, Tabby, Claudette i Leona, była znacznie przyjemniejsza, a to z powodu domowej atmosfery, jaką Ransome'owi udało się wyczarować dzięki ciepłym barwom i solidnym meblom w stylu wiejskim. Phoebe rozumiała, dlaczego było tyle krzeseł i ławek, a także całkowicie nieobecna była ostentacja, co ją przedtem tak zdziwiło. Pokoje na górze zostały wyposażone w dwa łóżka, ale w dobudowanej części w nowych pomieszczeniach było sporo miejsc do spania. Tam mieściły się także pokoje dla „kochanki”, z której mogli się śmiać, skoro wszystko zostało wyjaśnione.

Na otaczającym dom terenie ogrodnicy wydzielili małe działki, żeby chłopcy mogli się nauczyć uprawiać różne rośliny. Były też kucyki, ptaszarnia, kurnik i zagroda dla kóz. Ransome powiedział im, że chłopcy nie mieli pojęcia, skąd brało się mleko albo jajka, a

niektórzy z nich nigdy ich nie spróbowali. Patrząc, jak oprowadza ich z entuzjazmem po całym terenie, od stolarni do wozowni i z powrotem, Phoebe po raz kolejny nie mogła się nadziwić, że człowiek, którego kiedyś uważała za rozrzutnego fircyka i lekkoducha, ma drugie, tak różne oblicze. Gdyby oszczerstwa jej szwagierki nie zostały przez przypadek zdemaskowane, do tej pory wątpiłaby w jego wierność.

Po wizycie w Mortlake całe towarzystwo wstąpiło jeszcze do Ham House, gdzie Claudette z zapalem opowiadała Dysartom o nowych planach co do jej nauki. Wizja ewentualnego rozstania z ukochaną guwernantką już tak bardzo jej nie martwiła, gdyż mama wytłumaczyła jej, jak wiele będzie to znaczyło dla panny Maskell i wujka Leona. Oboje potrzebowali poczucia bezpieczeństwa i ukochanej osoby, z którą mogliby założyć rodzinę. Jeżeli nawet małżeństwo najstarszego syna z guwernantką mogło się wydawać dosyć niekonwencjonalne, to w ich rodzinie nie było niczym dziwnym. Konwenanse nie liczą się, gdy stawką jest ludzkie szczęście. A poza wszystkim kochana Tabby to przecież wymarzona kobieta dla wujka Leona.

Tego samego dnia hrabiostwo Dysartowie nadzorowali sprzątanie niektórych pokojów na piętrze, a także strychów w Ham House. Natknęli się tam na meble, które mogły się przydać Leonowi. Rozstawiono je teraz w holu jak na domowej aukcji. Obok rupieci znalazły się przedmioty mniej lub bardziej cenne, a także takie, które miały jedynie sentymentalną wartość. Pokryte kurzem, staromodne i nadjedzone przez mole kilimy, zabawki, obrazy, broń przywieziona z różnych wojen oraz starodawne mundury i dziwaczne nakrycia głowy. Hrabia, który mieszkał w tym domu zaledwie od paru lat, nie potrafił rozpoznać większości tych rzeczy, nie widział więc powodu, aby je trzymać u siebie.

- Powinniśmy rozpaść ogromne ognisko i wrzucić do niego te graty - powiedział z błyskiem w oku. - Część lepszych mebli damy Leonowi. Obrazy też. Te, których nie będzie chciał, można sprzedać na aukcji.

- Wezmę miniatury i powieszę je w garderobie - zdecydowała hrabina. - Może zabrałbyś Leona do jego domku; niech się rozejrzy. Wtedy będziemy wiedzieli, czego potrzebuje. Nie ma po co dawać mu śmieci, które się nie przydadzą.

Nie było w tym nic dziwnego, że obu panom w ich wyprawie towarzyszyły panna Maskell i Claudette, które chciały doradzać w kwestii urządzenia domu. Pragnęły także uchronić Leona przed zagraceniem sobie domu różnymi niemodnymi rupieciami ze strychu Dysartów. Hrabina dostrzegła ten problem już wcześniej.

- Część tych rzeczy - powiedziała do Hetty, Phoebe i Ransome'a - to zwykłe śmieci i jeżeli ich się nie posortuje, mąż gotów spalić te, które mogą mi się przydać, a zachować jakieś ohydne tylko dlatego, że mu się podobają. Spójrzcie tylko na te dwie figury w turbanach. Widzieliście kiedyś coś równie kuriozalnego? Podejrzewam, że będzie chciał je zachować. Ale widzę też coś, czego na pewno nie będzie chciał zostawić. Buck, mój drogi, podaj mi tę podłużną skrzynkę. O tak, właśnie tę.

- Skrzynka na broń, milady?

- Tak, kochanie, są w niej dwa rapiery. On ich nie będzie chciał. Przyniosłam je z pokoju księżnej. Były schowane za drzwiami dla służby.

- Tymi umieszczonymi w ścianie? - zapytała Phoebe, wyciągając szyję, żeby się przyjrzeć.

- Tak. Myślę, że ćwiczyła szermierkę dopóty, dopóki pozwalało jej na to zdrowie. No proszę - zauważyła, ścierając pajęczyny i podnosząc wieko. - Zupełnie jak nowe. Brat mojego męża, John, zginął w pojedynku, bo ktoś ułożył piosenkę o jego ślicznej żonie, lecz on nie był dobrym szermierzem. Dlatego rapiery nie będą tu mile widziane, jak sądzę. Weź je, Buck. Co ci jest, Phoebe? Dobrze się czujesz? Czy znowu nachodzą cię wspomnienia? A może wolałabyś...?

- Och, nie, milady, dziękuję. Tylko... to takie... dziwne.

Wyjęła jeden z rapierów i zaczęła nim balansować. Niestety, brakowało jej wprawy zademonstrowanej przez Hawkynne'ów. Zatem rapiery należały do księżnej Lauderdale, która uprawiała szermierkę. Co miała ona jednak wspólnego z tamtą kłótnią? Czy Phoebe Hawkynne cierpiała przez jakąś kobietę, która nieustannie wtrącała się w jej sprawy?

Ransome wziął od niej rapier i schował go do skrzynki.

- Lepiej usiądź, kochanie - powiedział. - Hetty przyniosła ci już szklanek wody. Wypij chociaż łyk.

- Dziękuję. Piękna robota te rapiery, prawda? Czy jest na nich jakaś data? - Phoebe wzięła szklanekę i upiła łyk, żeby sprawić im przyjemność.

- Na wieku wyryto napis: „Wilkin. Cheapside. Londyn. 1650”. To by się zgadzało, jeśli chodzi o Lauderdale'ów, prawda, milady?

- Hrabina Dysart wyszła za mąż po raz drugi w roku 1672, o ile się nie mylę, i miała w tym czasie całkiem liczną rodzinę. Jej najstarsza córka, Elizabeth, poślubiła lorda Lorne'a, najstarszego syna hrabiego Argylla, lecz nie było to udane małżeństwo. Obaj synowie hrabiny urodzili się w żółtym pokoju. A to mi przypomina, że mam tu coś, co pochodzi z sekretarzyka w tamtym pokoju, a co z pewnością wylądowałoby w ognisku, gdybym tego nie uratowała. - Mówiąc to, przeglądała papiery na stole. - Wiąże się z tym jakaś tajemnica. O, tu jest! - Wyjęła małe płócienne zawiniątko, z którego zwisał kawałek wyblakłej czerwonej wstążki, jakby ktoś go rozwiązał i odłożył. Podała je Phoebe i powiedziała, żeby je rozwinęła. - Masz, kochanie. Zobacz, co w nim jest.

- To... guzik - wyszeptała Phoebe. - Złoty guzik.

- Wygląda raczej na guzik od kamizelki - stwierdził Ransome. - A co jest napisane na tej karteczce?

Liścik był wyblakły i pożółkły i został napisany pięknym, ozdobnym pismem. Phoebe przeczytała głośno:

- „Ten guzik został odcięty od mojej kamizelki przez sekretarza jego wysokości księcia Lauderdale'a, sir Leo Hawkynne'a, jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek kochałam, chociaż on się o tym nie dowie. Napisane dnia 23 czerwca AD 1676”. Och, jakie to smutne - dodała.

Nagle powróciły wspomnienia. Wyraz uwielbienia na twarzy dziewczyny. Ból, kiedy patrzyła, jak całuje swoją żonę. Potajemne ukrycie guzika. I czyja to była kamizelka? Może nigdy się tego nie dowie, ale jeżeli Elizabeth popełniła drobne kłamstwo, można jej chyba wybaczyć? Napisała bowiem, że sir Leo odciął guzik od jej kamizelki, kiedy miała ją na sobie, co świadczyłoby o tym, że chciała wierzyć, iż tak było. Biedna Elizabeth, zmuszona do małżeństwa z człowiekiem, którego nie była w stanie pokochać i któremu miała obowiązek urodzić dzieci. Co takiego działo się w żółtym pokoju, kiedy w którymś momencie poustawiano wokół okien klatki dla ptaków?

Phoebe otarła ukradkiem łzę z policzka, zanim kapnęła na papier, ale Ransome to zauważył.

- Ależ, kochanie, czy to tak bardzo smutne? Drobną pamiątką, i tyle. Nie płacz. - Wziął z jej rąk zawiniątko wraz zawartością i podał je Hetty.

- To nic takiego - wyszeptwała Phoebe, przepraszając w duchu młodą, zrozpaczoną dziewczynę, dla której znaczyło ono wszystko, na co mogła mieć nadzieję. Guzik. Odcięty jego rapierem. - Ona chciała zachować ten guzik na pamiątkę, więc trzeba tak zrobić, milady.

- Masz rację. - W głosie hrabiny zabrzmiało współczucie. - Pamiątki są po to, aby je zachować. Weź to, droga Phoebe, ponieważ dotyczy to twoich przodków. Nie mam pojęcia, kto mógł być tak bardzo zakochany w sir Leo, o czym on nie wiedział. Oczywiście, nie była to jego żona. Jeżeli natknę się na kamizelkę, to ci ją zostawię, dobrze?

- Dziękuję. Ją także chciałabym mieć. Na pamiątkę.

- Na pamiątkę czego, kochanie? - zapytał Ransome, uśmiechając się do niej.

Odpowiedziała uśmiechem, a serce jej wezbrało uczuciem.

- Staję się sentymentalna. Miłość jest krucha, prawda?

- O tak, moja droga - potwierdziła Hetty. - Bardzo krucha.

Phoebe wróciła do Richmond dzień po tym, jak ostatni fragment jej życia znalazł swoje miejsce w układance. Zupełnie jakby wszystkie wydarzenia zostały ukształtowane tak, aby wypełnić ułożony wcześniej plan. Wiedziała, że takie rzeczy się zdarzają innym, lecz nie jej.

Siedzieli razem w ogrodzie, układając plany na przyszłość, czego jeszcze dotąd nie robili.

- Myślę, że i my moglibyśmy zaaranżować przyjęcie - powiedział Ransome, kładąc Phoebe rękę na ramieniu i owijając sobie wokół palca czarny lok. - Co moja pani powie na prośbę kolację dla wszystkich krewnych i znajomych? Zarówno pożytecznych, jak i bezużytecznych? Mam też na myśli Francuzów. Albo, jeżeli wolisz, możemy wydać bal z okazji naszych zaręczyn. A śniadanie po ślubie. Co tylko zechcesz.

- A więc jestem zaręczona, mój miły?

- Hm... tak uważam. A ty nie?

- Słyszałam o przyszłych mężach, którzy klękają na jedno kolano przed przyszłą żoną i ofiarowują jej symboliczny drobiazg. Na przykład pierścionek.

- Pierścionek? Ach, rzeczywiście! Masz rację. Proszę bardzo. - Ransome sięgnął do kieszeni kamizelki. - To coś, co kazałem zrobić, na wypadek gdybym cię odnalazł. Byłbym ci to dał kilka lat temu, gdybyś nie była przeciwna tej idei. Ciekawe, czy pasuje... Daj mi rękę. Nie, tę drugą. Widzisz, pasuje jak ulał!

Niby ostatni fragment układanki, kunsztowny złoty pierścionek wsunął się na jej palec, jakby czekał tylko, aby się poddała losowi.

- Biały perłowy księżyc, otoczony brylantami. Och, jaki piękny! - zachwyciła się Phoebe. - Dziękuję.

- Najpiękniejszy, jaki udało mi się znaleźć, kochanie. Dla najpiękniejszej kobiety.

- Prawie jak ten wisiołek z portretu, Buck. Czy to było zamierzone?

- Częściowo. Jednak emaliowany księżyc lady Hawkynne nie byłby odpowiedni dla mojej Phoebe. Chciałem coś bardziej efektownego. Bardziej stosownego.

Droczyła się z nim tylko, mówiąc o pierścionku, i nawet jej przez myśl nie przeszło, że można by go kupić, nie mówiąc już o związanej z tym ceremonii. Nie przyszło jej też do głowy, że będzie przywiązywał taką wagę do tego, czy jest jego narzeczoną, czy tylko kochanką. Sytuacja była płynna, jak to półzartem powiedział Rossowi.

Phoebe otoczyła dłońmi twarz ukochanego i przyciągnęła go ku sobie, ofiarowując mu siebie, swą miłość i życie, dopóki będzie tego chciał.

- Wracajmy do domu - powiedziała. - Robi się późno, a mamy co świętować, kochany. Jutro porozmawiamy o przyjęciach, dobrze?

Nie spodziewała się, że chwyci ją na ręce i zanieśie do holu, a potem po schodach na górę, jakby była zbyt zmęczona, aby iść o własnych siłach. Miała za to pomiędzy pocałunkami czas, żeby sobie przypomnieć coś podobnego, co przydarzyło się tamtej Phoebe.

Z tą różnicą, że tamci się kłócili, a jej kłótnie z Ransome'em należały do przeszłości.

Epilog

Żółty pokój, wraz z przylegającą garderobą, znajdował się za czasów księżnej Lauderdale w całkiem innym miejscu niż ten, który urządził później hrabia Dysart po tym, jak odziedziczył Ham House w 1799 roku.

Najstarsza córka księżnej, Elizabeth, znana jako Betty, rzeczywiście urodziła obu synów w żółtym pokoju w roku 1680 i 1682, a jej małżeństwo z najstarszym synem hrabiego Argylla nie było udane, rozstali się więc w roku 1696. Kiedy rozgrywa się akcja pierwszej części książki, Betty ma siedemnaście lat, a jej siostra Katherine jest o dwa lata młodsza. Thomas, urodzony w 1651 roku, okrył się sławą jako żołnierz. W mojej powieści wydaje się wprawdzie trochę niedojrzały, ale z pewnością stał się później czarującym mężczyzną, odznaczanym wielokrotnie za męstwo i odwagę.

Portrety księcia i księżnej Lauderdale, razem i osobno, istnieją naprawdę, podobnie jak brązowe popiersie matki księżnej. Natomiast portret sir Leo i Phoebe Hawkynne'ów to fikcja. Portret szóstego hrabiego Dysarta z czasów dzieciństwa wisi nadal w holu, obok portretu jego ukochanej żony Anny Marii, która zmarła w 1804 roku. Pochodząca z 1803 roku akwarela Thomasa Rowlandsona (1756-1827) znajduje się w zbiorach rodziny Tollemache'ów.

Mały złoty wisiołek, wykonany przez brata pierwszej Phoebe, Timothy'ego Lakera, przechodził z pokolenia na pokolenie w rodzinie Hawkynne'ów (później Hawkin) dopóty, dopóki trafił w ręce sir Leona, ojca drugiej Phoebe. Odziedziczyła go jego żona, która nie doceniła wartości klejnotu, więc kiedy została lady Templeman, schowała go do szkatułki z biżuterią, bo wydał się jej niemodny. Dopiero po jej śmierci, wraz z paroma innymi drobiazgami, dostała go Claudette. Portret Hawkynne'ów należał w tym czasie do jej wuja Leona i wisiał w jego domu przy Harley Street, a Claudette potrafiła powiedzieć, w jaki sposób jest z nimi spokrewniona.

Czarnej aksamitnej kamizelki nigdy nie znaleziono, ale nic w tym dziwnego, skoro w owych czasach przekazywano sobie stroje w rodzinie, a potem trafiały one do służących, dopóki się nie rozpadły. Złote guziki zostały odprute i były używane od czasu do czasu.

Leon Hawkin i Tabitha Maskell pobrali się pod koniec 1803 roku, jednak zamówienia od hrabiego Dysarta skończyły się nagle rok później, wraz ze śmiercią jego żony. Hrabia wyjechał z Ham House na wiele lat. Leon i Tabby zamknęli więc „domek” w Ham i przenieśli się do Greenwater, gdzie prowadzili dom dla sierot. Leon był już w tym czasie uznanym i chętnie kupowanym malarzem, podobnie jak jego przyjaciel, Thomas Rowlandson. Niemal co rok wystawiał swoje obrazy w Akademii Królewskiej i nadal zatrudniał Hetty jako gospodynię w londyńskim domu przy Harley Street. Niektórzy podopieczni Leona zostali malarzami.

Wicehrabia i wicehrabina Ransome'owie nadal mieszkali w Ferry House, mieli także dom w Londynie, gdzie wychowywali liczną gromadkę rodzeństwa Claudette. Dopiero po wielu latach, przeglądając dokumenty rodzinne Hawkynne'ów, Phoebe odkryła, że ślub sir Leo i Phoebe odbył się dopiero w rok po dacie podanej w liściku dołączonym do guzika. Co oznacza, że scena w holu rozegrała się, zanim tych dwoje zostało małżeństwem. Wesele nie mogło przecież przeszkodzić planom księcia, więc Phoebe i sir Leo musieli poczekać na jego zgodę.

